

Aby rozpocząć lekturę,  
kliknij na taki przycisk ,  
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym  
LITERATURA.NET.PL  
kliknij na logo poniżej.



**Marek Nowakowski**

# **SIELANKA**

**WYBÓR OPOWIADAŃ**

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

## TEN STARY ŻŁODZIEJ 1958

### TEN STARY ŻŁODZIEJ

Synek czekał zapewne na kogoś przy kiosku. Mrużył oczy i spoglądał w wylot ulicy. Poszperawszy w kieszeniach, zapłacił za piwo. Właśnie wtedy z bramy naprzeciw wyszedł stary chłop o bladej, pomarszczonej twarzy. Od razu dostrzegł Synka. Przygarbił się trochę i przyspieszył kroku. Lecz Synek podbiegł, zastępując mu drogę.

– Sie masz – uśmiechnął się szeroko. – Czekałem. – Zaciągnął na piwo. – Pij – mówił – w taki gorący nie ma jak piwo.

Stary zdmuchnął pianę, popijał drobnymi łykami.

– Dobrze, że przyszedłeś – powiedział Synek – mam coś na oku... – Przyglądził włosy i przysunął się bliżej. – Wypatrzyłem – szepnął – dobrą robotę... i pewną.

Stary otarł rękawem usta.

– Dobra robota – wtrącił spoglądając gdzieś w bok – to jeszcze nic, musisz mądrze się zabrać... pamiętaj – zamilkł i dziwacznie skrzywił usta. – Polecę – mruknął odstawiając kufel – śpieszę się...

Synek chwycił go za rękę.

– Wiem – powiedział szybko – wiem, że trzeba brać się mądrze... właśnie dlatego – trącił starego w pierś – chcę z tobą... Ty – rzekł z uznaniem – umiesz zabierać się do interesu... Pogadamy... – Pociągnął go silnie za guzik.

– Uważaj – mruknął stary – urwiesz. – Rozejrzał się wokoło. Wyciągnął chustkę. Gniótł ją chwilę w rękę i znowu schował do kieszeni.

– Myślisz, że wstawiam farmazon – obruszył się Synek. – Pamiętam – powiedział – jak pod celą opowiadałeś o robotach... Przecież spółdzielnia na Krochmalnej... – zaśmiał się chytrze. – Wiem, wiem... ty ją załatwiłeś. Czysta robota – ożywił się bardzo. Poczerwieniał. Na skroniach błyszczały kropelki potu.

„Gówniarz – pomyślał stary – gówniarz i tabaka.” – Szarpnął kołnierzyk. – Nie lubię – burknął – mieć ciasno pod szyją. Nie lubię – powtórzył ze złością.

– To była czysta robota – posłyszał głos Synka.

– Ciszej – syknął stary złodziej – nie drzyj się tak. – Potem jakby wstydliwie dodał: – E, tam, wcale taki kozak nie byłem.

– Byłeś, byłeś – upierał się Synek. Stary złodziej opuścił głowę.

– Moja – przypomniał – czeka z obiadem... Poszli za kiosk. Tam usiedli na beczkach. Zapalili. Synek przeciągnął się, aż zatrzeszczały kości. Był teraz zadowolony i pewny.

– Tylko ciebie uważam z tych wszystkich urków – mówił – bo inni to popaprańcy. Stary mruknął coś niezrozumiale.

– W ogóle – powiedział Synek – lubię starszych współników... oni, wiadomo...

– Ma się rozumieć – odezwał się stary złodziej i zdusił o beczkę niedopałek. W ustach czuł gorycz. Splunął.

– Jeszcze pod celą – ciągnął Synek – myślałem, żeby z tobą... Dobrze, że wyszedłeś – uśmiechnął się – zarobim razem.

Stary złodziej słuchał z półotwartymi ustami.

– Nie mam już takiej wprawy – wtrącił. Zastanowił się. – Długo siedziałem...

Synek usadowił się wygodniej. Podciągnął spodnie. Marynarkę złożył starannie i położył obok.

– Gorąco – mruknął.

Stary z namysłem oglądał dłonie. Były suche, małe i niewypracowane.

– I nie znam chodów teraz – odezwał się – właściwie rozejrzałbym się jeszcze... – Spojrzał niepewnie na Synka, przelknął głośno ślinę. Grdyka podskoczyła mu śmiesznie.

Synek przechylił się i poklepał go lekko po plecach.

– Ty nigdy nie pękasz – rzekł Synek. – Wiem – zakończył i ziewnął.

Stary złodziej odwrócił głowę. Na balkonie ktoś trzepał z rozmachem dywan. Uśmiechnął się krzywo i sztucznie.

– Nie pękam – powiedział cicho – bo tyle już lat... to i przyzwyczailem się. – Wyciągnął chustkę. Ocierał twarz.

Synek rozkraczył szeroko nogi. Rozchełstana koszula odsłoniła jego owłosione i poznacone tatuażami piersi.

„Też go nazwali – zdziwił się stary – Synek” . Było to przecież chłopisko wielkie i nie takie młode, z gębą zarosniętą pod oczy.

– Jaka to robota? – zapytał gniojąc chustkę – jaka?

– Komis – wyjaśniał Synek – ładnie stoi i nigdy jeszcze nie był robiony... Chodzę już długo koło niego – powiedział. Wstał i założył marynarkę.

„Wielki mi fachowiec – pomyślał stary złodziej – wielki...” – i schował chustkę.

Poszli spacerkiem. Synek spoglądał za dziewczczynami.

– Jak zarobimy – gadał – to dziwek będzie, ile wlicze... Dziwki... – uśmiechnął się marzydzielsko.

– Dziwki albo kratki – mruknął stary.

Skręcili w szeroką, zabudowaną nowymi blokami ulicę.

„Nabudowali tego – pomyślał stary. – Długo siedziałem.”

Synek wyrywał do przodu, kołysząc się po cwaniacku. Ręce założył za pasek, pogwizdywał.

„Z czego się cieszy? – zastanowił się ten stary złodziej – z czego?” – Zachmurzył się. Wzdłuż nosa ponuro żłobiły się głębokie bruzdy.

– Tutaj! – Synek zatrzymał się. Interes był duży, z dwiema wystawami. Za szybami aparaty fotograficzne, harmonie, materiały...

– Dużo – bąknął stary. – Same pokupne rzeczy. – Jego wyblakłe oczy ożywiły się nieco.

– Weźmiem trochę – szeptał Synek – parę paczek... a forsy z tego cały kusz...

Stary złodziej przymknął oczy. Policzką przywarł do chłodnej szyby. Nagle zwrócił się do Synka.

– Długo ty już siedziałeś? – zapytał. Synek zmarszczył czoło. Zastanawiał się.

– Będzie z trójkę – odparł. Popatrzył głupawo.

– Trójkę – powtórzył stary. Zaśmiał się bezgłośnie. – U mnie już dycha – powiedział nie przestając się uśmiechać.

Twarz Synka wyrażała podziw. Przeszli się obok sklepu.

– Zrobimy go od tyłu – tłumaczył Synek. – Tam są drzwi...

– Wiadomo, że od tyłu – potwierdził stary zrędlawie. Odliczyli odległość od rogu. Było czterdzieści pięć kroków. Zaszli od podwórza.

– Tu – szepnął Synek. Przygryzł wargi i potarł ręce. – Tu – powtórzył i wyciągnął rękę. – Trzecia klatka schodowa. Drzwi na lewo to drzwi do komisur... Już prawie nasz...

Stary przesunął ręką po chropawej ścianie.

– Wyważymy drzwi – mruknął.

– Jasne – potwierdził Synek. Podgarnął spadające na oczy kosmyki włosów. – Jeszcze dziś – zaszeptał chrapliwie – jeszcze dziś zrobimy go... – uśmiechnął się radośnie.

„Pewniak – pomyślał stary złodziej. – Pewniak jak każdy młodziak.” – Skrzywił twarz, lecz bez złości. – Potrzebny jeszcze jeden – powiedział głucho – na świecę.

Synek miał takiego. W ogóle wszystko już miał przygotowane, graty też. Stary zamyślił się.

– Z tobą – doszedł doń głos Synka – interes zrobimy na pewno.

Wysmarkał się w palec.

– Cholerny świat – rzekł niespodzianie. Synek zdziwił się – nie wiedział, o co chodzi, ale przytaknął starszemu współnikowi.

Powrócili na swoją ulicę. Zatrzymali się przed odrapanym pekinem.

– Pójdę do chaty – mruknął stary, patrząc w ciemną bramę, z której zalatywało kwaśnym smrodem. – Żeby tylko pewny interes – powiedział. Chrząknął. – Żeby pewny... I jeszcze nie wiem... – dodał, lecz urwał szybko.

Umówili się o zmrok. Synek miał zagwizdać z podwórza.

– Tylko nie wołaj – rzekł stary – bo nie chcę... – zmieszał się trochę – żeby moja... rozumiesz... Synek zrozumiał.

– Wiem – zmrużył oczy – pękasz swojej baby...

Stary nie odpowiedział.

Mieszkał na drugim piętrze. Przed drzwiami postać chwilę. Patrzył z uwagą na wypisane kredą zatarte już litery K + M + B. „Trza by poprawić” – uznał. Nadśluchiwał, wreszcie wszedł. Jego baba odlewała wodę z ziemniaków. Była mała, zasuszona. Włosy splatała w koronę. Usiadł przy stole.

– Wytarłbyś buty – mruknęła nie odwracając się od kuchni. – Wytarłbyś, brudzisz... – Odstawiła garnek i przyjrzała mu się uważnie. Oczy zmrużyła w kose szparki.

– Czego? – mruknął – czego tak ślepie wytrzeszczasz?... – Wyszedł na korytarz, starannie wycierał buty. „Taka nieporutna – pomyślał wchodząc – a wielka cwaniara.”

Podawała zupę. Jadł bez smaku, grzebał łyżką w talerzu.

– Niedobra? – zapytała. Ręce otarła o fartuch i podeszła do stołu.

Opuścił głowę.

– Nie tyle zła – rzekł – co gorąca...

Znów krzątała się przy kuchni. Wtedy odstawił talerz. Zaczął oglądać się w lusterku. Zerknęła nań. Macał brodę, tarł szcęk na policzkach, szczyrzył zęby.

– Staryś już – zaśmiała się nieprzyjaźnie. – Gruchot... i głupi – powiedziała po namyśle.

Lusterko przykrył chustką. Wyciągnął się na łóżku. Przez zmrużone powieki spoglądał na swą kobitę. Myła statki, płukała pod kranem, drucianką szorowała garnek.

„Robotna – pomyślał – i charakterna... Jak trafię, to ubiorę ją jak panią... Wtedy powie, że nie jestem trąba... umiem zarobić... Futrzysko kupię.” – Przymierzył do jej chudych, opadłych ramion. Uśmiechnął się miękko. Zauważyła ten uśmiech. Rozchyliła cienkie wargi. Zakłęła i znów zacisnęła usta.

Z podwórza dobiegi przenikliwy gołębiarski gwizd. Stary złodziej dźwignął się z łóżka.

– Idę... – wymamrotał.

Patrzyła wyczekująco. Przygarbił się.

– Do kumpli – dodał.

– Już trzeci dzień – powiedziała – odkąd wyszedłeś... Łazisz i łazisz... i co z tego? – Wzięła się pod boki.

– Interesy – wyjaśnił.

Twarz kobiety stała się zacięta i obca.

– Twoje interesy – powiedziała – to same wpadki... Ukropu bym na łeb tym kumplom... – szepnęła.

Postał jeszcze chwilę, unikał jej wzroku. Gdy wyszedł, przechyliła się w oknie. Patrzyła w ciemność. Nadsluchiwała. Ciężkie, powłóczące kroki. Chyba jej starego. Usiadła sztywno na łóżku. Ręce złożyła na podołku. Na dole stary złodziej zatrzymał się.

– Cholera! – zaklął przeciągle. Splunął. W bramie czekał Synek z tym trzecim, który miał stanąć na świecy.

– Kto to? – zapytał stary. W zmroku trudno było dostrzec twarze.

– Kaszubiak – rzekł ten trzeci. Przywitali się.

– Kaszubiak? – zastanowił się głośno stary – znam, znam... z twoim ojcem siedzieliśmy w izolatce... Długo...

– Teraz – powiedział Kaszubiak – znów się władował... zakapowali... – Głos miał cienki, nieprzyjemny.

Usiedli na ławce pod ścianą. Obgadali wszystko. Teraz czekali tylko na głęboką noc. Poszli nad glinki. Wylegiwali się na trawie. Wypili ćwiartkę – był smak na więcej, ale nie wolno, bo robić trzeba po trzeźwemu... Kaszubiak wkrótce odszedł. Umówili się pod komisem. Było ciemno... Tu i ówdzie jarzyły się papierosy. Stary milczał spoglądając w zagwieżdżone niebo. Synek pogwizdywał. Przestał i począł śpiewać. Śpiewał ochryple, fałszując.

– Wyłącz się – mruknął stary, zacisnął dłonie... – Ryby straszysz – dodał.

Zaśmieli się. Było cicho i ciepło. „Ładnie” – pomyślał stary.

Lekki wiaterek owiewał twarze. Nad glinkami zrobiło się już pusto. Odeszła ostatnia parka spleciona w uścisku. Zawyla syrena. Długo jeszcze leżeli. Wstali postępując i poszli spacerkiem. Stary oddychał nierówno.

– Moja – szepnął – śpi już... albo... – zamyślił się.

– A moja – wtrącił Synek – czeka. Wie i czeka... Zdrowa jest. – W uśmiechu zabieliły się zęby.

Milczeli. Gdy już doszli do tej szerokiej ulicy, stary rozejrzał się.

– Właściwie – powiedział – noc za jasna. Znów długie milczenie i stukot ich butów.

– Ale niech tam – mruknął stary. Dyszał trochę. – Kawał drogi – rzekł – nogi wysiadają... Synek poprawił zawiniątko z narzędziami.

– Czy aby wszystko wzięłeś? – zaniepokoił się stary złodziej.

– Lewarek – wyliczał Synek – łom, dłuto... – I jeszcze mówił, ale stary nie słuchał.

Minęło ich kilku spóźnionych przechodniów. Zaleciało wódką.

„Spiesz się – pomyślał stary – w kimę.” Obejrzał się za nimi, jakby zazdroszcząc.

Za rogiem czekał Kaszubiak. Był podniecony, chciwie zaciągał się papierosem.

– Spokojnie – szepnął.

Jeszcze raz obgadali wszystko. Było bardzo późno. Chyba koło północy. Ulica pusta. W dali majaczyła sylwetka papugi.

– Ten się nie liczy – rzekł Synek.

Skapo oświetlała ich narożna latarnia. Pokazywała twarze młodych – wilcze, pełne oczekiwania, gębę starego – z cieniami kryjącymi się w bruzdach.

Nagle stary oparł się o ścianę. Wyglądał dziwnie.

– Co ci? – zapytał Synek.

– Żołądek – wymamrotał stary złodziej – nawala... ale już przeszło. – Jeszcze bardziej pomarszczył twarz, chyba w uśmiechu.

Zaszli od tyłu. Stąpali cicho. Liczyli klatki schodowe.

Zatrzymali się. Synek rozpakował narzędzia. Rozejrzeli się. Spokojnie i bardzo cicho. Zabrali się do drzwi. Podważyli kilka razy, lecz trzymały się mocno. Naparli silniej. Zgrzytnęły jak łamana kość. Hałas ten wypełnił czarny korytarz, a nawet wydawało się, że biegnie wyżej ze wzmocnionym natężeniem.

– Kurewstwo – powiedział stary. Zadrzał przeniknięty tym hałasem. „Ostatnia robota – pomyślał. – Ostatnia robota... to zawsze denerwuje...” – pocieszył się. Popluł w dłoń i chwycił łom. Pot oblaził twarz, ogarniał gorący oddech Synka.

Drzwi ustąpiły. Pierwszy pchał się Synek. Nagle usłyszeli z ulicy przeciągły krzyk... W połowie urwał się. Krzyczał Kaszubiak.

Ostry gwizd. Warkot motoru.

– Pękamy – szepnął stary – pękamy... bo inaczej... – niedokończył.

Rzucili się do ucieczki. Biegli nie oglądając się. Za nimi nawoływania, gwizdki. Tupot wielu kroków. Już wpadli w boczną uliczkę. Były tam gruzy, a więc ratunek... Wtedy zabłyśły latarki. Zamrugali powiekami. Wzięto ich ze wszystkich stron. Stanęli oddychając ciężko. Chwycono za ręce. Wielu milicjantów.

– I to był pewny interes – wycharczał ten stary złodziej. – Ty gawniaku. – Zaniósł się duszącym kaszlem. Wytrzeszczył oczy.

„Ma stracha – pomyślał Synek – rozkleił się...” Zachichotał złośliwie.

Nałożono im na ręce kajdanki.

– A najgorsze – już spokojnie powiedział stary – że wpadliśmy z dowodem. – Potem popatrzył na sino błyszczące dybki i dodał ze złością: – Nawet wysmarkać się nie można...

– Zgrywus! – rzekł jeden z milicjantów. Inni zaśmieli się.



## TAPETA

Kobieta była jeszcze nie stara, z porowatym i długim nosem. Towar zachwalała donośnie, przekrzykując pozostałe na rogu baby. Ten w samodziale, zwany Ząbkiem, zapalił papierosa

Jeszcze raz krzyknęła:

– Pierścionki! pierścionki!... okazja!

Czeska biżuteria błyszczała w pudełku, wabiąc wzrok. Handlarki spoglądały zawistnie, bo krzyczała najgłośniej i wszystkim psuła interes.

– Lipa, ale dobrze idzie – bąknął ten w samodziale, wpatrując się w sygnet z krwistym oczkiem. Zamknęła pudełko z towarem.

– Nie zagaduj – powiedziała surowo – wszystko zależy od ciebie... Trzeba tylko przegnać łachudrę i już. – Wykonała szeroki gest, jakby oganiając się od czegoś. Słońce ślizgało się po jej nosie, pokazując pory wielkie jak na truskawce.

– Nie można by inaczej? – zapytał. – Bardziej charakternie?

– Inaczej? – rzekła nieprzyjaźnie. – Inaczej on się nie ruszy, a ja nie jestem przytułek. – Rozzłościła się. – Dawać żreć, ubierać, prac... I za co? Zresztą – dodała – na dwóch nie starczę. – Uśmiechnęła się krzywo. Twarz miała przypudrowaną, z czerwoną opalenizną, która gdzieniegdzie łuszczyła się.

– Tak – powiedział chłopak – on się skończył. – Suwał butem. Żwir chrzęścił przenikliwie.

– Żeby się skończył – westchnęła – ale on chla... zipię, sztywnieje... i nic, budzi się i woła o zaprawkę... Daj – wyjęła mu z ust papierosa i zaciągnęła się chciwie. – I tak jestem anioł – powiedziała – tyle czasu wytrzymać, tyle czasu... – zakrztusiła się dymem. Kaszłała wybałuszając oczy. – Kiedyś to i nadawał mi się, ale już szlus! – krzyknęła prawie. – Teraz jesteś ty... – Uśmiech wyżyłobił jej twarz w wiele zmarszczek głębokich i pokrętnych. Ujęła go pod brodę.

– Ludzie – burknął usuwając głowę. – Uważaj, patrz.

– Cwaniaczku – warknęła – wszystko chcesz, ale sam zawsze z daleka.

– On jest kumpel – szepnął chłopak – dobry kumpel. – Utkwił wzrok w noskach rozchodzonych i popękanych butów. Ona również spojrzała w dół.

– Nowe skoki są ci potrzebne – powiedziała dziwnie miękko. – Mam takie na oku – dodała. – Z podwójnym szyciem, piękne. – Cmoknęła wywijając wargi, pokryte obłazącymi plamami błyszczącej szminki. – Mój chłop – przymrużyła oczy – musi wyglądać jak lalka... – Chwilę patrzyli na siebie. – Garniturek z setki też ci wytrzasnę.

Ten w samodziale rozchylił gapiowato usta. Zęby miał żółte, ze szczerbą na przedzie. Chyba dlatego wołano nań Ząbek.

– I ząbek – zaśmiała się – złoty ząbek... To dobrze wygląda...

Ktoś krzyknął:

– Gliny!

Baby zwijały pospiesznie majdany. Zamajaczył szary mundur. Podjechali motorem. Zgrzyt. Baby wsiąkały w tłum. Bezzębna, która kręciła katanami, powiedziała ze złością:

– Kurewski dzień, nic nie trafiłam... – Spojrzała na tego w samodziale i uśmiechnęła się przymilnie. – Udany, udany ten twój blatniak, Mela – zamruczała. Poszła kołysząc niekształtą, prawie kwadratową postacią, obleczoną w zielony, na łokciach zrudziały płaszcz.

– Już całe miasto o tym gada... – rzekł posepnie Ząbek. – Bo wszystkie – przerwała Mela – czekają, kiedy go przegnasz.

Potrząsnęła pudełkiem, w którym zabrzęczała biżuteria. Twarz jej była teraz zacięta i bardzo stara. Ząbek westchnął ciężko.

– Idziemy – bąknęła Mela. Słońce, słabe już i do połowy skryte za biurowcem, musnęło jej twarz i wygładziło ją nieco.

Puścił ją przodem. Żuł zapałkę. Patrzył na jej drgający zadek. „Wszystkie dupy – pomyślał – są takie same.” Wypluł zapałkę roztartą na żółtą i włóknistą masę.

Skręcili w niewielką uliczkę, cichą i wciśniętą między wypalone ruiny. Po gwarnym śródmieściu, które było tuż, uliczka ta ogarniała nieoczekiwanym spokojem. Jakiś w drelichu, stojący w półmroku bramy, odprowadził ich uważnym spojrzeniem. Na cegłach grali w oko. Ktoś krzyknął za nimi. „Wojtek lub Kulas” – poznawał po głosie Ząbek. Na lewo, za poszarpaną ścianą, zachował się kawał kamienicy.

– Tutaj – odezwała się Mela wchodząc na schodki. – Musisz załatwić... to jest chłop a robotą.

Ząbek zamruczał niezrozumiale. Mela pochyliła się nad klamką.

– Nie ma – mruknęła.

Długo mocowała się z zamkiem. Z piętra płynęła radiowa muzyka. Ząbek zasłuchał się.

– Będzie głupio – burknął przymykając oczy. Mela zaklęła, obracając zgrzytliwie kluczem. Drzwi otworzyły się tak nagle, że drgnął uderzony hałasem. Pokoik był niewielki, z oknem przesłoniętym żółtą kotarą. Pod ścianą tapczan, naprzeciw szafa, a pośrodku stół. Usiadł. Mela szukała czegoś na półce. Szeleścił papier; coś posypało się białą strużką.

– Miałam ćwiartkę – powiedziała – ale już wychłał. Gdy zdjęła z siebie płaszcz i jeszcze jakieś bety, wyglądała zgrabnie i całkiem niczego. Ciężko rzuciła się na tapczan, który zaskrzypiał piszcząco.

– Miękki – uśmiechnęła się – będzie nam dobrze.

Chłopak, wsparłszy się o stół, schował twarz w dłonie i przez rozchylone palce spoglądał na nią uważnie.

– Patrz – Mela otworzyła szafę. Przewracała wzorzyste łachy i bieliznę. – Mam wszystko, co najlepsze... to jest nylonowy spód... pod sukienkę – dodała widząc głupią minę Ząbka. – A to... – Utopiła ręce w wielokolorowej kupie ciuchów. Wyliczała.

Nie słuchał.

– Rozbierać umiesz – pchnęła go lekko – a nie wiesz, co ściągasz. – Splunęła pogardliwie. – Jego bety są gdzie indziej – wskazała unrowskie pudełko.

Dostrzegł na wierzchu kombinezon, podarty i zaplamiony.

– To tenis świąteczny – zakpiła.

Przeglądała się uważnie w lusterku. Usta złożyła w ryjek.

Chłopak znów spoglądał na nią przez palce. W jej gębie wszystko było wielkie – mięsiste usta i potężna kwadratowa broda.

– Ząbek – powiedziała bardzo cicho – musisz to załatwić... po męsku... siły to on nie ma za grosz... do niczego – wyrzuciła ze ściągniętych ust, odkładając lusterko.

Zaśmiał się odchylając twarz. Posłyszała ten chichot.

– Nie myśl – rzekła – że ja coś z nim... już od roku nic... Tam kima – wyciągnęła rękę wskazując kątem za szafą. Czerniał tam zamazany mrokiem toból. W ciszy mieszkanka potrzaskiwał sennie ogień.

– Ładna meta – mruknął Ząbek rozglądając się leniwie.

– Najważniejsze, że własna. – Staneła przy oknie, rozsunęła zasłonę. – Zarabiam też nie-  
źle... spytaj się dziewczyn... wszystkie zazdroszczą.

– Z Tapety był kiedyś charakterny wspólnik – półgłosem powiedział Ząbek, jakby nie sły-  
sząc jej słów. Palce zatopił w swych pokręconych i szorstkich włosach.

Rozległy się ciężkie kroki. Zasłuchali się. Kroki zbliżały się.

– On – mruknęła Mela, jej postać rysowała się czarną bryłą na tle okna.

Pukanie. Nie odezwała się. Wyczekiwanie i kaszel zza drzwi. Wreszcie wszedł. Rozglądał  
się. Twarzy nie było widać.

– Cześć, Ząbek – powiedział wyciągając rękę. Tamten opuścił głowę, ręce ukrył pod sto-  
łem. „Tak będzie lepiej – pomyślał – trzeba zacząć od razu...”

Mietek Tapeta popatrzył na Melę, potem musnął Ząbka krótkim spojrzeniem. Podeszedł do  
kuchni. Zaglądał do garnków. Wtykał nisko głowę.

– Nic nie ma – westchnął.

– W restauracji – warknęła Mela i nagle przekreśliła kontakt.

Żółte światło zalało izbę. Ząbek zamrugał bezradnie powiekami. Obrócił się ostrożnie ku  
Tapecie. Stary doliniarz był zgarbiony i niewysoki. Teraz uśmiechnął się dziwnie. Ząbek  
wyciągnął chustkę. Tapeta ciągle uśmiechał się. Ząbek wycierał hałaśliwie nos. Tapeta usiadł  
za stołem. Oczy miał zaczerwienione, przecierał je nieustannie. Twarz szara i galaretowata,  
spływająca do dołu. Z rozpiętej koszuli, już bardzo brudnej i wymiętej, sterczała sucha i po-  
cięta zmarszczkami szyja.

– Zaraz wrócę – rzekła Mela. Głośno zatrzasnęła drzwi. Stary Tapeta apatycznie zwiesił  
głowę, zaś Ząbek podparł się łokciami. Tapeta spoglądał niekiedy nań uważnie, jakby z zafraso-  
waniem. Chłopak czuł to spojrzenie, ciążyło mu nawet. Nad nimi na piętrze rozlegały się  
tupotania, częste i drażniące.

– Tupią i tupią – przerwał męczącą ciszę Ząbek. Wyprostował się i schował ręce pod stół.  
Z natężeniem spoglądał w sufit.

– Pewnie tańczą. – Stary Tapeta też zadarł głowę. Potem potarł policzki, które pokrywał  
rzadki i brudny zarost. Zerknął na Ząbka. – Kawał chłopca z ciebie... – powiedział z uznaniem  
i dalej tarł policzki. Myślał o czymś, fałdując nisko czoło. – A tak niedawno – zagadał znowu  
– uczyłem cię doliny... – Gębę miał trójkątną, teraz w cieniu jakąś małą. – Pamiętam, jak  
bałeś się roboty – szepnął.

„Teraz – myślał Ząbek – teraz walnę prostym. W szczękę. Bez słowa... Najlepiej bez gad-  
ki.” Rozprostował spoutniałą dłoń. „To próchno – myślał – ten Tapeta rozłoży się od razu.”

– Czekaj – Tapeta zastanowił się półgłosem – gdzie to jeździliśmy w twoją pierwszą doli-  
nę?

– Od Głównego... dziesiątką – bezwiednie odpowiedział Ząbek. Ocierał dłoń o spodnie.  
Nie pomagało, zaraz oblaził ją wstrętny pot. „Teraz – myślał dalej – jakby ustawił się... Mam  
dobre kopyto... Złoży się od pierwszej dawki. Albo – przygryzł wargi – powiem mu wpierv i  
potem dołożę.” – Syknął, gdyż przygryzione wargi zabolowały wściekle.

– Lecą lata – powiedział ze złością Tapeta – cholernie lecą. – Przymknął oczy okolone  
promieniami malutkich i ostrych zmarszczek. – Kiedyś też byłem kozak... a ty szczawik, sy-  
nek jeszcze. – Zaśmiał się chrapliwie. – Pod celą zawsze patrzyłeś w okno. Ktoś gadał, że  
chcesz wyfrunąć prosto na Pańską, do swojej starej.

– Chyba Balon – rzekł Ząbek. – Tak, na pewno Balon.

– Tak, tak – pokiwał głową Tapeta – Balon... Pierwszy raz tak zawsze jest... A teraz... –  
podniósł wysoko rękę. Palce drżały silnie, jakby wprawione w zamierzony ruch. – Koniec –  
mruknął – taka łapa to szajs, do żadnej roboty...

Ząbek też wyciągnął dłoń i rozstawił palce.

– I tobie też drżą – zdziwił się Tapeta.

„Baran” – pomyślał Ząbek i znów zacisnął pięść. Dłoń potniała, ślizgały się palce. „Teraz – myślał Ząbek – teraz.”

Wyciągnął sporty. Zapalili.

„Można by za kłapy go – zastanowił się Ząbek. – I trzasnąć łbem, raz, drugi.”

Tapeta opuścił głowę, prawie dotykał nią stołu. Włosy rzadkie, mysiego koloru i pełne łupieżu.

„Albo inaczej – myślał Ząbek – nadepnę na girę... warknie coś, wtedy dam mu wycisk.” Wysunął ostrożnie nogę, szukał buta Tapety. Lecz tylko dotknął i odsunął się spiesznie. Gorącość oblała mu twarz. Zwilżył wargi. Skóra na nich była obca i sucha jak pergamin. Dostrzegł zatarty tatuaż na dłoni starego. „Kłute przy mnie – stwierdził – pod 102 celą.” Sam też coś kłut wtedy. Przypominał. Usłyszał niewyraźny głos Tapety.

– Zaraz – mówił tamten – przyjdzie moja... „Tylko nie twoja!” – pomyślał, zaś głośno zapytał:

– Mela?

– Tak – rzekł Tapeta – znaczy się Melania. Ty... – Tapeta urwał, potarł brodę – ty masz u niej fory, więc możesz – mówił, jakby mocując się ze słowami – powiedzieć, że zmieścimy się tutaj we trójkę. Rozumiesz? We trójkę. Ty masz fory u niej – stuknął paluchem w stół. Stukot rozległ się głucho. Ząbek zacisnął dłonie na kolanach.

– Ty z nią na tapczanie – szepnął Tapeta – a ja... mam takie swoje miejsce. – Uśmiechnął się gorzko i spojrział w kąt za szafę.

Ząbek gwałtownie podniósł głowę. Grdyka poruszyła się miękko pod skórą.

– Przestali już tańczyć – powiedział i wzrok utkwiał w suficie. Widniała tam sinawa plama, szeroko rozlana pośrodku.

– Oni zawsze tańczą – Tapeta zaniósł się długim rżącym kaszlem. – To miedziaki.

– Późno już... – zaczął Ząbek, lecz nie dokończył. Skrzypnęły drzwi. Weszła Mela. Patrzyła na nich. Prawie jednocześnie pochylili się nad stołem. Więc widziała tylko gęste i zmierzwione kłaki młodego i mysia, zapyloną łupieżem głowę swego dawnego chłopca.

Ząbek wstał szybko.

– Skoczę – powiedział patrząc z natężeniem w okno pełne granatowej ciemności – skoczę – powtórzył – po swoje ciuchy. Mało jest tego – wyjaśnił – nie oszczędzałem.

– Więc jak? – zapytała Mela.

– Ano, chyba zmieścimy się we trójkę – powiedział po namyśle chłopak zwany Ząbkiem. – Ja przy tobie – spojrział na tapczan.

Jednocześnie Tapeta zerknął na swoje posłanie za szafą. Był tam siennik, na którym sypiał, i tramwajarski kozuch do przykrycia.

– I wychłać coś przyniosę – dodał Ząbek. Uśmiechnął się.

Psiakrew! – zaklęła Mela głucho i splunęła.

## DREWNIAKI... ALBO DZIEWCZYNA KAPUSIA

– To był kiedyś dobry urke – powiedział niższy z mężczyzn – i charakterny jak mało kto.

– Uhm... – mruknął chudy, o twarzy małej i trójkątnej; suwał dłonią po lepkiej ceracie.

Knajpa już pustoszała. Barmanka spoglądała nieprzyjaźnie. Chudy wysączył chciwie odrobinę piwa.

– Ostatnio – odezwał się, nie przestając poruszać dłonią – siedziałem z nim pod jedną cełą... on ciągle biegał z językiem do naczelnika. Wspólników sypał. Była z niego straszna kurwa – zakończył i ścisnął dłoń.

– Straszna... – powtórzył niższy przeciągle. Z zewnątrz ktoś walnął w drzwi. Brzęknęły przejmująco szyby.

– Psiakrew – mruknęła barmanka.

– A dziewczynę ma dobrą – szepnął chudy, obgryzając uporczywie paznokcie. Dłoń miał szeroką, białą, z niebieskimi, grubo wężłającymi żyłami.

Niski przeciągnął się leniwie. Wzięli czapki i wyszli na ulicę. Chłodny wiatr bił w twarze. Przechodniów było niewiele, wszyscy w płaszczach z podniesionymi kołnierzami. Mały pociągnął kumpla za rękaw. Przystanęli.

– Tyle go znałem – mruknął – i nigdy bym nie przypuszczał.

Chudy twarz miał teraz zaciętą, błyszczącą ślisko światłem pobliskiej latarni.

– Należy mu się – powiedział głucho – należy. Szli milcząc. Niski nadażał z trudem, gdyż chudy wyciągał porządnie nogi. Na rogu krzątały się już dziwki. Chodziły pojedynczo lub po dwie. Mężczyzn prosiły o ogień, zagadywały przymilnie. Stróż w bramie owinął się szczelnie baraním kożuchem, wysunął nogi i zapatrzył się gdzieś ponad domy. Ci dwaj rozglądali się uważnie. Niski pozdrowił jedną z dziwek, krzywą i pryszczatą.

– Jeszcze jej nie ma – odezwał się chudy. Ten niższy pokiwał głową.

– Ona wychodzi później – mruknął.

– Może w ogóle nie przyjdzie? – zatroskał się chudy. – Może już czeka na niego...

Niższy z mężczyzn oparł się o ścianę. Był jeszcze nie stary, ale pomarszczony i łysawy. Spojrzenie miał przygaszone, wypelzłe.

– Kupę czasu – rzekł wreszcie – nie widziałem go... kupę, będzie ze trzy lata. Ostatnim wyrokiem... – urwał i podniósł się na palcach. Chudy spojrział za nim. Dziewczyna, na którą czekali, stała na przystanku kołyszając niedbale torebką. Jej włosy były bardzo jasne i długie. Facet z teczką spoglądał na nią ciekawie. Postąpił krok naprzód i utknął niezdecydowanie.

– Już przyszła – szepnął mały.

– I od razu – zauważył jego kumpel – ma klienta. Dobrego frajera – dodał – widać, że panisko. Zarobi – zaszeptał jakby do siebie – kupi mu wody, wszystkiego... – Potarł twarz, która stała się gorąca.

Dziewczyna roześmiała się głośno i odrzuciła daleko na jezdnię niedopałek. Stała pod latarnią. Zauważyła tych dwóch. Przywitali się w milczeniu. Chudy przygryzł wargi i opuścił wzrok. Prawie dotykały go jej piersi, wysokie i pełne, obciśnięte jaskrawym sweterkiem.

– Widzieliście Sztajera? – głos dziewczyny dźwięczał nieco chrapliwie. – Spił się i bije frajerów. Szczęścia szuka. – Śmiech wyłoblił dołeczki w policzkach.

Czuli zapach ostrych perfum. Niższego ujęła pod brodę.

– Smutni – zauważyła – nie doprawieni. – Poszperała w lakierowanej torebce. – Macie – rzekła wesoło – na ćwiartkę.

„Zadowolona – pomyślał chudy – bo wie, że on...” Odsunął rękę dziewczyny.

– Twój chłop – warknął – będzie tutaj dziś przed północą. Spowazniała i skinęła głową. Była to ładna i młoda dziwka.

– Przed północą – powtórzył mały.

Ten drugi podrzucał na dłoni pudełko z papierosami.

– Twój chłop – powiedział marszcząc dziwnie twarz – to... – urwał i schował pudełko do kieszeni – to wielka kurwa... Patrzyła nań wyczekująco.

– Kapuś – dodał.

Mały uśmiechnął się wstydliwie.

– Pojedziem po niego na dworzec – rzekł chudy. Uniosła wysoko brwi.

– Razem – wyjaśnił mały – przecież to stary nasz kumpel. – Splunął i długo rozcierał bu-tem ślinę.

Chudy przypatrywał się dziewczynie spod przymrużonych powiek. „Twarz okrągła, świeża – zdziwił się. – Nie wygląda na dziwkę.” Zderzył się z jej wzrokiem, odległym i czystym. Teraz spojrzenie utkwił w chodniku. „Dziewka – bezgłośnie powtarzał – dziwka...”

Mały znowu zmarszczył się wstydliwie.

– Jak możesz – powiedział łagodnie – pracować na takiego łachudrę. Jak możesz?

– I to jeszcze tak... – wyrzucił z siebie chudy. Jej twarz nie zmieniła wyrazu. Pewna i otwarta.

– Kiedy siedziałem z nim – mruknął chudy – to prawie co tydzień dostawał od ciebie for-  
sę... myślisz, że dziękował?

Klął, że mało...

– Więcej nie mogłam – wtrąciła gwałtownie – niewielu teraz porządnym klientów.

– Głupiaś – syknął chudy – zupełnie głupiaś! Takiemu nygusowi – powiedział głucho. – No, ale on dziś wraca, nareszcie wraca – dodał mściwie.

– Weźmiem taryfę – rzekł niski – i podskoczmy razem.

Cofnęła się o krok i opuściła głowę, gładząc torebkę.

– Jasne, że razem – rzekł chudy. Głos jego był ostry, nieprzyjazny, chusteczką ocierał twarz. Zatrzymali małego, odrapanego opla.

– Wschodni – rzucił chudy.

Taksówka, parszając i dygocąc, ruszyła naprzód. Wcisnęli się w siedzenie. Chwilami ich twarze ukazywały się dokładnie w świetle mijanych latarni. Ten mały trącił swego kumpla w plecy i wskazał na dziewczynę, skuloną, zmartwiałą. Chudy przeklął szeptem. „Myśli...” – był pewien, że o nim myśli. Taksówka zatrzymała się gwałtownie, wytrącając ich z odrętwie-  
nia.

W brudnej poczekalni dworcowej żółte, mdlące światło ukazywało zmęczone i senne twa-  
rze ludzi. Wiejskie baby obłożone tobołkami, dzieci skulone w pokraczne kłębki, chrapania  
cienkie i długie... drażniący poświst zakatarzonego opoja. Środkiem przechadzał się wypro-  
stowany, o chmurnej twarzy milicjant. Przy bufecie zarośnięty włóczęga prawil coś pijanym,  
plączącym się głosem. Zatrzymali się pod oknem, z którego widać było czarne płaszczyzny  
peronów. Z dala dochodził zdarty głos megafonu.

– Już niedługo – zauważył niski. Dziewczyna rozpląszczyła twarz na szybie. Chudy  
uśmiechnął się krzywo. „Fajna dziwka – pomyślał – fajna.” Mały wskazał ukradkiem jej peł-  
ny, zgrabny zadek. Zmarszczył oblesnie twarz. Chudy przełknął głośno ślinę. Od wyjścia z  
więzienia nie miał jeszcze żadnej dziewczyny.

– Słuchaj – zaczął chrapliwie – po co ci to wszystko? Zwróciła doń twarz.

– Po co ci – powtórzył – taki chłop? Zarobić, nie zarobi. Nie umie. Tylko chla i przecież ciągle cię tłucze. Wydeła usta.

– Wiem, wiem – rzekł gwałtownie – ile już razy chodziłaś z podbitymi ślepiami. – Oddychał nierówno. – I niszczysz się – dodał zmęczonym głosem – ciągle na rogu... to zdrowie odbiera... A on – splunął – jeszcze kręcił z innymi dziwkami. Całą stajnię miał...

Dziewczyna zacisnęła usta.

– Tak – powiedziała cicho – bić to on porządnie bił.- Poczęła kiwać głową, jakby skandując przypominające się przeżycia. – Jak tylko miał to zrobić, zaraz zapalał papierosa – mówiła. – Walił cichcem i włosy mu zawsze spadały na oczy. Długie nosił – dodała wyjaśniająco. Jej twarz złagodniała, wzrok skrył się pod opuszczonymi powiekami.

Chudy mocno zacisnął garść. „Głupia kurwa – żuł ze złością – głupia...”

– Tak, tak – westchnęła.

Mały poruszył znacząco ramionami. Jego chudy kumpel gniótł ze złością papierosa, wreszcie przełamał go i odrzucił.

– Ostatnio – odezwała się dziewczyna – przed samą wpadką też dał mi wycisk. Niekiepski. – Podniosła wzrok na tych dwóch. Zobaczyła wymiętą twarz niskiego i złą, pełną zaciętości chudego. – Ale z tym już będzie koniec – dodała pospiesznie – nie dam się... Chudy uśmiechnął się smutno.

– Koniec – powiedział przeciągliwie – to zależy od niego. A później znajdzie inną, co lepiej trafia, wtedy kopnie ciebie.

Nie odpowiedziała, lecz twarz jej mówiła, że nie wierzy w to.

– Dziewczynę taką jak ty – mówił dalej chudy – inny na rękach by nosił... nie puszczałby na ulicę... Ubrać jak lalkę i chodzić na roboty chce się wtedy... bo wiadomo, dla kogo się trafia. – Spoglądał na nią zachłannie.

– Pewnie – wtrącił mały poziewając.

– Musisz skończyć z nim – rzekł głucho chudy. – Koniecznie.

Uważnie patrzyła w ciemność za oknem. Milicjant zmierzył ich długim spojrzeniem. Mały wtulił głowę w ramiona i poruszył się niepewnie.

– Bo on – kończył chudy – nie umie cię uszanować. Odwróciła się od okna. Teraz twarz jej wyrażała trudny, bolesny prawie namysł.

– Taki chłop jak on – mówił szybko, z nadzieją w głosie chudy – co to za chłop...

Przerwała wyciągając rękę. Przypatrywała mu się kpiąco.

– Wcale nie byle jaki – rzekła głośno. – Gust to ja mam. Jest przystojny – uśmiechnęła się łagodnie. – Ma takie cygańskie oczy – szepnęła – takie, że aż... – przeciągnęła się rozkosznie.

– Musi mieć dobrego zaganiacza – wtrącił mały – bo tak go wspominasz.

Chudy przygryzł wargi.

– I włosy – mówiła miękko – długie, falujące... A na szyi czarny pieprzyk... mało który chłop ma taki pieprzyk... Tak, tak – dodała zobaczywszy kpiącą gębę małego – wielu już znałam i żaden... W ogóle... – zakończyła gwałtownie.

Przyjrzała się teraz chudemu o małej trójkątnej twarzy, jakby porównując. Przykulił się trochę pod jej chłodnym i dokładnym spojrzeniem. Ten mały zachichotał. Babina, śpiąca obok na drewnianych skrzynkach, jęknęła rzewnie przez sen. Pan w pumpach oparł brodę o laskę.

Chudy poruszył się niecierpliwie.

– Niby nie jesteś trąba – podjął znowu – chodzisz do miasta... a tak oślepląś. Przecież on tylko leci na twoją forszę. – Wczepił się palcami w parapet. – I listy od innej dostawał – rzekł niedbale – a jak jej odpisywał...

Twarc dziewczyny skurczyła się.

– Jak? – spytała.

– Ano – odparł chudy – tak jak się pisze babie, która mocno w łeb wlała.  
– Nie powinnaś tak za nim obstawać – wtrącił stanowczo mały. – Z innym lepiej byś wygrała – dodał spoglądając znacząco na swego chudego kumpla.

Zamyśliła się bębniąc palcami w szybę.

– Niekiepska – szepnął mały, a po chwili mlasnął śmiesznie, chudy przytaknął skwapliwie i przymrużył oczy.

Podeszli do drzwi. Za parę minut powinien nadejść pociąg z Siedlec. Tym pociągiem przyjeżdżał on, jej chłop.

– Pamiętaj – szepnął do niej chudy – nie odzywaj się do tego ciapciaka, ja z nim załatwię.

– Nic, ani słowa – przyłączył się mały. Nie odpowiedziała, tylko nieznacznie pokiwała głową. Z torebki wyjęła szminek i podmalowała usta, uważnie przeglądając się w lusterku.

„Dla niego” – pomyślał ze złością chudy. Z głośnika rozległy się bełkotliwe, zlewające się słowa.

Ten kapuś szedł szybkim krokiem, wysunawszy do przodu głowę. Kołysał się w ramionach. Ubranie na nim wisiało, wymięte i obszarpane. Minął budkę biletera i dopiero wtedy dostrzegł ich. Zatrzymał się i rozchylił usta. Dziewczyna wpatrywała się weń z łapczywą dokładnością. Włosy krótkie, bez połysku, twarz blada, lecz ta sama, dobrze jej znana, z lekkim, drwiącym grymasem. Usta zacisnął w wąską, upartą linię. Postąpił krok, jakby chcąc ich minąć. Przesunął dłoń po krótkich, sterczących włosach.

– Przyszłaś – mruknął. Jego wzrok ślizgał się po twarzach tych dwóch, którzy tkwili nieruchomo. – Przyszłaś – powtórzył i wyciągnął do niej rękę.

Długo zapalała papierosa.

Gwizdnął leciutko.

– Nie chcesz! – rzekł nie przestając spoglądać na tamtych. Rękę wsunął za marynarkę.

„Nadrabia miną” – pomyślała dziewczyna. Widziała, jak krzywił się złośliwie. Znała te jego miny dobrze. Podciągnął opadające, dziurawe na kolanach spodnie.

Chudy chrząknął wymownie.

– Przyszliśmy – rzekł ochryple – przywitać...

– Tak, tak – powiedział piskliwie ten mały. Kapuś milczał omijając ich spojrzeniem. Zgarbił się trochę. Dziewczyna zdusiła w palcach papierosa.

Wyszli. Ci dwaj po bokach kapusia i jasnowłosa dziewczyna parę kroków za nimi. Po ciężkiej, pełnej zaduchu atmosferze poczekalni ogarnęło ich rześkie, nieco wilgotne powietrze jesiennej nocy. Chudy odetchnął głęboko, zatrzymał się nieznacznie i mocno ścisnął łokieć dziewczyny. Na kozłach dorożek drzemali woźnice. Niebo wisiało ciężkie, skołtunione. Gdzieś wzbił się przenikliwy gwizd. Ich buty stuknęły głucho. Kapuś szedł niedbale, rozbujanym krokiem. „Tak zawsze chodzi” – pomyślała dziewczyna. On zaś obejrzał się na nią. Parsknął gardłowym śmiechem.

– Głupia suka – mruknął półgłosem. Znow zaśmiał się. Drgnęła, lecz szybko się opanowała. „Podskakuje – myślała łagodnie – jak zwykle podskakuje... udaje kozaka.” Szli teraz wzdłuż płotu. Chudy jeszcze raz chwycił rękę dziewczyny, zakaszłał znacząco i machnął krótkim ciosem z boku. Głowa kapusia odskoczyła jak piłka. Mały szepnął nieprzyjemnym śmiechem i odsunął się ostrożnie.

„Teraz – uznał chudy – walnę łbem i wezmę pod obcasy.” Złapał kapusia za kłapy i... nagle otrzymał od tyłu mocne, krótkie uderzenie w ciemię. Zachwiał się i opuścił ręce. W głowie zawirowało.

Gdy otworzył oczy, kapuś już był daleko. Jego sylwetka rozpływała się w ciemności. Mały próbował gonić go niezgrabnie, ale wkrótce przestał, dysząc i przeklinając. Dziewczyna stała na jednej nodze, niezdarnie utrzymując równowagę, i wkładała but.

– Ty... ty... – chudy szukał z wściekłością słowa. Potarł obolałą głowę.

– Klops – posłyszał zadyszany głos małego kumpla – ona jest strasznie za nim.



Chudy dostrzegł jej twarz spokojną, nieprzeniknioną, zdawało mu się, że z leciutkim uśmiechem.

- Puścił krew – powiedziała cicho – nie mogłam patrzeć i... Przerwał jej.
- Buty to masz niegorsze – powiedział już spokojnie i jeszcze raz potarł głowę. Syknął.
- Drewniaki – wyjaśniła krótko dziewczyna. „Charakterna – pomyślał z uznaniem chudy – charakterna jak mało kto...”

## BENEK KWIACIARZ 1961

### BENEK KWIACIARZ

Tej nowej z przeciwka umarł chłop. Stało się to tak nagle, że przez chwilę jeszcze nie wierzyla. Wyglądał, jakby przysnął mocno. Tylko oklapł na twarzy trochę za bardzo.

Poleciała do sąsiadów.

Obejrzeni. Ktoś ujął bezwładną rękę. – Zimna – powiedział. Zaświecili latarką w oczy, próbowali też z lusterkiem.

– Wykitował! Musowo, że wykitował... – upierał się na korytarzu zaprawiony krawiec Skarbenko. – Czuję to. – Pociągnął nosem i zatoczył się na ścianę.

Jeszcze raz błysnęli latarką w ściągniętą twarz mężczyzny. Rudy westchnął ciężko. Ta nowa naciągnęła kołdrę na głowę nieboszczyka. Milczała. Tylko najbliżej stojący widzieli, jak porusza ustami bardzo leciutko.

Krawiec Skarbenko przysnął nad śmierzącym zlewem w korytarzu. Kopnięto go w kostkę. Zajęczał cienko. Dzieci piszcząc skryły się po kątach.

– Ho, ho – dziwiono się na podwórzu. – Musieli być bardzo ze sobą.

– Niestary był mężczyzna – wtrąciła żona krawca. – Ledwie po czterdziestce. – Przypomniała sobie o swoim. Szybko wbiegła na trzeszczące schody. Hałas wypełnił korytarz. Ciągnęła go z trudem, zwiślał ciężko na poręczy.

– Bardzo byli ze sobą, nieboszczyk i ona! – zarechotał furman Satynowski. – Bardzo! – Zmrużył znacząco oko.

– Przestałbyś! – wrzasnęła jego kobita. Wasiakowa splunęła kilkakroć. Tylko Czesiek Rekin zadzierał głowę, obojętny, wsunawszy ręce do kieszeni.

– Piękne niebo – powiedział półgłosem, skrzywił się leciutko – dużo gwiazd. – Kiwnął do Benka Kwiciarza, który uśmiechnął się nijako i wdeptał w ziemię niedopałek papierosa. Kobiety z podwórza przestały gadać, wpatrzyły się w okno mieszkania tej nowej. Migotało tam nikiel żółte światło, snuły się cienie. Najęte baby obmywały nieboszczyka.

Ludzie rozeszli się ociężale. Zasnęła kamienica.

\*

Podjechał karawan. Motor zakaszłał, mocno zaleciało benzyną.

– Coś tam w środku... – Sinawy szofer pokręcił głową. Wsłuchał się w dychawiczne odgłosy silnika. – Nawala – mruknął z posępną miną – nawala.

Dzieci ostrożnie obmacywały koła. Na schodach czekali już krewni tej nowej. Elegancko ubrany garbus o szczurzej twarzy i gruba kobieta. Nowa pokazała się w sieni. Wzięli ją pod rękę.

– To chyba z jego strony – zaszepiała żona krawca. – Tak jakby podobni. – Przypatrywała się garbusowi dokładnie. Przymknęła oczy, porównując.

Tragarze, przeskakując po trzy schodki, wbiegli do mieszkania, ułożyli trumnę na pasach. W drzwiach tłoczyli się ludzie.

– Uwaga! uwaga! – pokrzykiwał tragarz w okrągłej czapce. Schody były strome, na półpiętrze trumna zawadziła o poręcz, zachybotła na pasach. Rozszedł się ostry trupi smród.

– Takie to życie – westchnął Skarbeńko i obrócił w palcach pilśniowy kapelusz.

Ta nowa ukryła twarz w dłoniach.

– Młody był chłop. I jak wyglądał... Samo zdrowie – szepnęła któraś z kobiet, przeżegnawszy się zrećźnie.

– Paskudne sprawy. – Skarbeńko poruszył gwałtownie kapeluszem. Był nie zaprawiony i trzęsła mu się pomarszczona szyja.

Benek Kwiciarz splunął i wyszedł na podwórze. Łapał zachłannie powietrze; zapalił papierosa, ale długo jeszcze czuł ten smród.

Zaterkotał motor. Strzeliło coś w środku. Terkot urwał się, nagle spotężniał.

– Złapał! – ucieszył się sinawy szofer. – Trzeba umieć go podejść – zwrócił uradowaną twarz do tragarzy, którzy siedzieli po bokach trumny, szeroko rozstawiwszy nogi.

Wóz-karawan wyjechał z podwórza i kołyszac się nabrał biegu. Wzbił się kurz, który skrył dzieci pędzące za samochodem. Stary wyliniały pies. Dziadek, wygiął grzbiet i szczechnął krótko.

Pojechali na warszawski cmentarz – powiedziała Wasiakowa. – Podobno mają tam swoją parcelę. – Ubrana była w czarną, trochę wytartą na przedzie, aksamitną sukienkę.

Skarbeńko przejrzał się w szybie, starannie wyklepał kapelusz i westchnął urywanie. Dostrzegł Benka Kwiciarza, wciągnął policzki i mrugnął doń.

– Ćwiarteczka? – uchylił kapelusza. – Ćwiarteczka akurat na zaprawkę.

– Trzeba poszukać frajera – warknął Kwiciarz, wielkie, zarośnięte, brudne chłopisko. – Poszukaj... niech postawi, ale nie ja. – Pochylił się, spojrział chmurnie na Skarbeńkę.

– Drobiazg – odparł statecznie krawiec. Oczy zmrużył, znów wydał policzki. Tajemniczo poprawił coś pod marynarką, zarysował się wypukły owalny kształt – pewnie flaszka.

Benek Kwiciarz wzruszył ramionami. Nie lubił pić z krawcem. Rozejrzał się wokoło. Podwórze opustoszało. Splunął, czuł jeszcze ten trupi zapach po nieboszczyku. Cicho, unosząc wysoko nogi, zaszedł psa Dziadka od tyłu i przydeptał mu ogon. Kundel zaskowyczał i uciekł szorując brzuchem ziemię.

– Złapał bieg – powiedział Kwiciarz i nie oglądając się wyszedł przed bramę.

Naprzeciw, w budce kolejki WKD-owskiej, kasjer Zygmunt wychylał się z okienka – drobił chleb gołębiom. Szyny błyszczały sino.

Gorąc. Benek rozluźnił kołnierzyk, zapragnął napić się piwa. Poszedł do kiosku.

\*

Wrócił dziś Kwiciarz wcześniej z roboty. Na podwórzu kamienicy nie było nikogo. Zapalił papierosa, zastanawiając się, gdzie iść. Postanowił wybrać się na glinki. Lubił patrzeć na rybaków, tkwiących nieruchomo nad zielonkawą wodą. Zdusił o ścianę papierosa, dym nie smakował w to gorące, duszne popołudnie.

Ciężko stąpał wzbijając kurz na ceglastej drodze.

– Żydu! Żydu! – posłyszał wołanie zza szkoły. Obejrzał się. Olek Nawiślak, stryjeczny brat, zamachał ręką. Przywitali się. Nawiślak też był czarny, ale nie taki żydowaty jak Benek, może dlatego, że z mniejszym zarostem, a i golił się zawsze starannie. Zagadkowo skrzywił teraz twarz, badawczo spojrział na Kwiciarza.

– Pusty jestem – mruknął Benek. – Przed wypłatą... ani feniga.

Olek Nawiślak nie przestawał uśmiechać się zagadkowo.

- Na ten flakon zawsze mam – wycedził wreszcie.
- Można u Paciorka. – Kwiaciarz nieufnie spoglądał na brata.

Nawiślak pociągnął go za sobą.

Na prawo, za ceglastą drogą, była budowa. Tam, w stróżówce u kolejarzkiego emeryta Paciorka, zawsze można dostać flaszkę. Nawiślak zabębnił w szybę. Chrapanie ustało. Paciorek wysadził siwą, skołtunioną głowę i przetarł oczy. Poszperał w kącie budy, brzęknęły kubelki.

- Pijta – kolejarz wręczył im flaszkę – zaprawiajta. – Nałożył okulary i przeliczył papierki.
- Porwane – zrzędził – trzeba podkleić. – Zatrzasnął drzwi.

Szli rozgarniając łopiany. Trawa za płotem wybujała wysoko, wyraźnie znaczyły się wygniecione miejsca. Usiedli pod akacją.

Benek Kwiaciarz ponuro zerknął na stryjecznego brata. Zazdrościł mu trochę... Przystojniak. Wygolony. W garniturku.

- A kobita nie zrobi ci jakiegoś tararamu? – zagadnął.

– Kobita. – Nawiślak podciągnął nogawki, odsłonił kolorowe w paski skarpetki. – Trzeba umieć babę wychować – rzekł z lekkim, drwiącym uśmiechem. – Nauczysz się... – Odbił flaszkę.

Zrobili z cegieł stoliczek. Benek Kwiaciarz wyciągnął się na ziemi i zmrzywszy oczy spoglądał w jasne niebo. Z budowy dochodziły pokrzykiwania murarzy, na głównej ulicy zadudniły pod kolejką szyny.

– Niejedną flaszkę mogę jeszcze zrobić – posłyszał głos Nawiślaka. – I balecisko jakieś trzeba urządzić.

Benek Kwiaciarz podparł się łokciami i wpatrzył w brata.

- Mam metę u kumpla – mówił Nawiślak. – Za gorzałkę odstąpi cały pokój.

– Balecisko – powtórzył z zastanowieniem Kwiaciarz.

– Tylko – rzekł Nawiślak – chata jest. Sztuki jakieś dobrać. Ale pewne. Żeby niedługo. – Poglądził się po gładko, wygolonych policzkach. – Mojej powiedziałem, że idę na trzecią zmianę. Cała noc – szepnęła przeciągle. – Dziwki jak laleczki – trącił Kwiaciarza w pierś i odrzucił za siebie pustą flaszkę. Szkło rozprysło się z brzękiem.

Mam. – Benek wstał gwałtownie. – Mam takie sztuki.

\*

Było ciemno. Przed domkiem nad gliniankami słoneczniki kołysały się ciężko. Załomotali w ścianę.

- Znajomoszczanka – szepnęła Benek. – Lubi tę robotę. A ma też siostrę... młodszą.

– To ja z nią – Nawiślakowi zaświeciły się oczy. Przywarli do ściany. Cisza. Kwiaciarz walnął pięścią. Drzwi zatrzeszczały sucho.

- Ale buda. – Nawiślak kopnął w próg. – Niedługo się rozleci.

We wnętrzu coś zakwiliło.

– Ma dzieciaka – chrypnął Kwiaciarz. Przygryzł wargę i wsłuchał się w szelesty dochodzące z budy.

– Nie chce wpuścić – ziewnął Nawiślak. Wtedy drzwi otworzyły się gwałtownie. Czarna postać zamajaczyła w szparze. Kwiaciarz jęknął boleśnie. Czymś twardym dostał w czoło. Zatoczył się. Uderzenia spadały na tył głowy, plecy. Rzucił się do ucieczki. Ostre trzciny smagały twarz. Nawiślak chichocząc pobiegł za nim. Wrzask z budki ścigał ich daleko.

– Kurewski syn! Do matki z dzieckiem! Kurewski syn! – kobiecy cienki głos niepokoił ciszę. Przykucnęli nad błyszczącą granatową wodą.

- Ona – szepnęła Benek Kwiaciarz i wsłuchał się w ten wrzask.

Zaraz też zabrzmiał męski, niewyraźny.

Kwiaciarz czubkami palców przesunął po głowie, jęknął. Dłoń była mokra.

- Ma frajera. – Podniósł do oczu dłoń, ale w ciemności nie mógł nic dostrzec.

– I pewnie cham, bo bije młotkiem. –Nawiślak przeciągnął się i zaśmiał urywanie.  
W fabrycznym bloku zabłysło kilka światełek.  
– Pobudziła – zaszeptał Nawiślak.  
– Młotkiem ?! – zastanowił się Benek Kwiciarz. Wysunął przed siebie rękę, oświetlił ją teraz biały księżycowy blask. Krew. Ogarnęła go złość, oburącz począł szarpać twarde, mocno wrosnięte w brzeg trzciny. Potoczył się po stromym brzegu. Nawiślak śmiał się cienko, dłonią osłaniając usta.  
– Nie mam fartu – zaskowyczał Kwiciarz – wcale! Olek podał mu rękę, wciągnął na górę. Chwilę stali przygarbieni. Przed sobą widzieli chwiejne łby słoneczników.  
– Ty to masz fart! – wykrztusił Kwiciarz. Bolały go skronie, w ustach czuł kwaśną gorycz po wódce.  
– Masz słabą głowę, zaprawiłeś za dużo. – Nawiślak podniósł kołnierz i wydobyl papiery. Długo szukali zapalek.

\*

Ta nowa z przeciwka nie mogła się uspokoić po stracie swojego chłopca. Wystawała w bramie, spacerowała po podwórku wzdłuż ścian, dzieci sypały w nią piachem. Zaciskała dłoń na trzepaku i powtarzała przerażonym szeptem:

– Nie ma, nie ma... – Czasem dodawała: – Wicusia.  
– Wincenty mu było – wyjaśniła kobietom Wasiakowa. Zapamiętała dobrze to imię z żalobnej blachy na trumnie.

Przygrzewało mocno. Baby rozeszły się do mieszkań. Nowa zadarła głowę i szeroko rozwartymi oczyma patrzyła w żółtą, oślepiającą kulę słońca. Skarbeńko uchylił drzwi pracowni i podparłszy brodę, zacmokał wymownie. Benek Kwiciarz też wodził za nią zmęczonym, złym spojrzeniem. Wygolił się dziś starannie, na policzki i czoło nalepił różowe plastry. Przed wyjściem rozgarnął włosy, obejrzał wierzch głowy w lusterku, wreszcie odrzucił je w kąt. Rozleciało się z hałasem. Matka pozbierała ułamki szkła, próbowała złożyć i przylepić na deskę. Nie mogła. Nic nie powiedziała. Kwiciarz zjadł obiad i wyszedł przed kamienicę.

– Nie ma... – posłyszał za plecami głos tej nowej.  
– Dostała zajoba – mruknął. Odwrócił się. Gładziła sztachety parkanu, oczy miała przymknięte. Maryśka z sutereny usiadła na schodkach, podwinęła szlafrok – odsłoniły się suche nogi z ciemnymi śladami po wrzodach. Nowa znów zaszepiała coś monotonicznie.  
– Co? Co? –zapytała Maryśka.  
– Nic – rzekł Kwiciarz, roześmiał się głośno, zadrgały mu nozdrza. – Tylko ten pan Wincenty – zaczął uroczyście – on musiał być w pręcie cięty... Ten pan Wincenty – powtórzył grubo. Podszedł do tej nowej z przeciwka.

Baba Satynowskiego otarła umączzone ręce w fartuch, usiadła na parapecie.  
– Poeta! – parsknęła półgębkiem. Maryśka przymilnie wyciągnęła trójkątną twarz do Kwiciarza. Zmierzył ją niechętnym spojrzeniem.

– Paskudne kurwiszcze. – Odwrócił się plecami.  
– W pręcie, powiadasz? – zamruczał głupi Japa. Podrapał psa Dziadka po oklapłych uszach. – Cięty czy wcięty? – zastanawiał się szeptem.

Ta nowa podeszła do nich, oczy miała przymglone.  
– O tak, tak – powiedziała smutno. Była porządnie głuchawa.  
Teraz śmieli się już wszyscy. Kobiety wyglądały z okien.  
– To był kochanek – uznała Maryśka. – Tylko kochanka się tak pamięta. – Dziwacznie skurczyła wargi.

Chiba – mrucał głupi Japa. – Chiba... musiał być bardzo jej podchadzaszczy... Chiba.

\*

– Wstawaj! Późno! – Matka pociągnęła Kwiciarza za ramię. – Poczęła szarpać za bezwładnie opadającą na podłogę rękę.

Belkotał gniewnie, nie otwierając oczu. Wreszcie zerwał się ogłupiony snem.

– Łeb – zajęczał dotykając czoła – łeb. – Przetarł oczy. Zanurzył twarz w kubie. Zimna woda trochę otrzeźwiła go. Obejrzał twarz w szkle świętego obrazka nad łóżkiem. Mętnie zapatrzył się w okno. Dzień wstawał czysty, z błękitnym niebem.

– Ale masz gębę... jak zbój – matka podsunęła mu garnek z zsiadłym mlekiem.

– Niedługo się zagoi – odpowiedział. Pił łapczywie. Siedziała naprzeciw.

– Pijanico – jej głos zabrzmiał surowo. Gdy wychodził, chrząknęła znacząco. – Dziś sobota. – Pogroziła pięścią. – Sobota! Pamiętaj! – Myślała o wypłacie.

Matka Kwiciarza zasała łóżko, wyklepała poduszkę. Nad kilimkiem wisiała oprawiona w złoczone ramki fotografia ponurego mężczyzny z szeroko rozsiadłym nad wargą wąsem. Przechyliła się. Łokciem wytarła kurz ze złoczonej, karbowanej ramki. Otworzyła okno. Benek dużymi krokami mijał kiosk z piwem. – Podobny – szepnęła. Jej stary tak samo chodził zawsze. I tak samo trudno go było zbudzić po wódce. – Pijusy – powiedziała miękko. Zdjęła ze stołu obrus, wytrzepała nad zlewem i złożyła w równy prostokąt.

Duży czerwony szyld kwiaciami bił w oczy zaraz za komisariatem. Z bliska odczytywało się przekrzywione nieco litery napisu: „Specjalność – wiązanki ślubne i wieńce.” Był to nieduży, wpadnięty w ziemię murowany budynek. Za płotem rozpościerały się równe, jakby wyznaczone linią, kwiatowe zagony, dalej pobłyskiwały inspekty.

Tutaj pracował Benek Kwiciarz.

Szef palcami muskał nastroszone róże, złożył spory pęk i postawił w wazonie na wystawie.

– Te dziś po dziesięć. – Odsunął się nieco i przyjrzał baniastym naczyniom z towarem.

Benek spryskał wodą przywiedle peonie, dołożył kilka pąków i umieścił w tyle za różami. Szef rozkaszał się astmatycznie, wybałuszył zaczerwienione oczy.

– A w ten... – wykrztusił – ładuj białe. – Złożył ręce na kolanach i przymknął oczy, twarz miał zmęczoną, poszarzałą.

„Też zaprawił” – uznał z zadowoleniem Benek. Przysiadł na skrzynce. Milcząco spoglądali na drzwi. Przez matową szybę niewyraźnym konturem występowały domy nad stawem, przechodnie przesuwali się dziwnymi smugami. Szef splunął, przygarbił się i zdeptał papierosa.

– Nie smakuje – mruknął.

„Gryzie go – Kwiciarz zerkał na starego z ukosa – gryzie...”

Fajowaty nos szefa obwisiał śmiesznie, blizna na policzku rysowała się białą strzępiastą linią. Benek chytrze, prawie niedostrzegalnie skrzywił twarz.

– Nie warto – szepnął miękko.

Szef poruszył się niespokojnie, zachybotła skrzynka.

– Co? – warknął ze złością. – Pytam się... co nie warto?

– Ona – Benek Kwiciarz szybko umknął ze spojrzeniem. Dłonią dotknął chłodnej szyby. Spojrzał w wystawę – w połowie jej wysokości kończyło się matowe szkło, wyżej było zwykłe, popstrzone przez muchy. Widział za glinkami gęste czuby parkowych drzew. Sznur towarowych wagonów mijał przejazd.

Szef szarpnął kołnierzyk koszuli, wyglądał tak, jakby łapał powietrze, poszperał w kieszeniach.

– Masz – wetknął Benkowi dwudziestozłotowy banknot – skocz. Przynieś... cwaniaczku. Umiesz postarać się o ćwiartkę. – Pogroził mu pięścią, ale bez złości. Monotonnie kołysał się

na skrzynce. Wysunął nogi, zawiązał troki kalesonów. – Wywłoka – stęknął wstając z siedzenia. Niecierpliwie wyczekiwał Benka.

Wrócił z ćwiartką i kawałkiem kiszki na zagrychę. Pociągnęli po zdrowym łyku. Stary kwiaciarz odetchnął głęboko, oczy mu pojaśniały.

– Dobrze – powiedział – pomaga... Wypij od razu, no, trach – radził Benkowi. Łapczywie palił papierosa. – I dym już smakuje – ucieszył się. Przymknął oczy i znów, widać było wyraźnie, spochmurniał.

„To ci cholera – Benek wysączył resztkę wódki. – Gryzie go jeszcze... To ci... Przecież...” Przypominał sobie twarz baby starego. Ani ładna. Chuda. I taka bladź! Zsunął dwie skrzynki i usiadł wygodnie. Zrobiło mu się ciepło w żołądku i głowa przestała boleć. Muchy szeleściły na szybach, z kranu kropelkami sączyła się woda. Ziewali raz po raz. Dopiero pierwszy klient, woźny z pobliskiej szkoły, wyrwał ich z odrętwienia.

\*

Benek Kwiaciarz spotkał Todka na stacji. Wypili po piwie i oparli się o barierkę. Ludzie długim korowodem schodzili z peronu. Na przejeździe zastrachany węglarski koń wierzgnął nogami, zatrzeszczał dyszel, z wozu czarną strużką sypał się miał. Furman kłął przenikliwie i okładał kijem ostry zad szkapiny.

– Zaląkł się – mruknął Benek.

Słyszeli chrapliwe poświstywanie konia.

– Satynowskiego chabeta. Wsiowa. – Todek starannie przyczesał włosy, ułożył z nich na tyle głowy dwa śmieszne skrzydełka. Zwrócili spojrzenie na zielony kiosk. Zebrała się tam grupka mężczyzn. Zdmuchiwali z kufli pianę. Pijany węglarz potoczył się na ścianę, czapka zakryła mu oczy, niezdarnie wyciągnął ręce.

– Dojrzewa – powiedział ponuro Todek. Spoglądał uważnie. – Tak jak ja wczoraj. W tym samym miejscu. Całą noc. Cholernie zimno. – Wzdrygnął się. – Też od piwa początek.

Węglarz miękko podwinął nogi i opadł na ziemię.

– Zasnął. – Todek pokiwał głową. – Jak ja wczoraj.

– I ja też kiedyś tutaj – roześmiał się Kwiaciarz. – Niefartowne miejsce.

Ludzie pod kioskiem ciasną gromadką napierali do okienka, grzebali po kieszeniach i odginając najmniejszy palec ujmowali w dłoń porterowe butelki.

– Miałem ładne parę złotych. Ładne – mruknął Todek. – A rano?! – Złe bruzdy wyrosły mu koło ust. – Nic!

Główną ulicą przejechały trzy błyszczące lakierem stary. Pędziły hałaśliwie. Odprowadzili je wzrokiem do zakrętu.

– Nowe – rzekł Kwiaciarz. – Nie dotarte.

– Możliwe wozy – przytaknął Todek. Podniósł się na dłoniach i usiadł okraciem na barierce. – A za te ładne parę złotych, co miałem – kołysał się niezgrabnie, opuścił głowę, aż krew spłynęła mu do twarzy – można by w porządnej knajpie z muzyką. Jakaś laleczka... Warto by mądrzej – westchnął.

– Warto – przyznał Kwiaciarz – za te parę złotych. Ale jak?

Przeszedł milicjant. Służbowo, z paskiem pod brodą. Przy kiosku zapanowało ożywienie. Mężczyźni ujęli pod pachy obwisającego węglarza, ułożyli go między beczkami.

Władek milicjant szedł niedbale, drobnym, spacerowym kroczkiem. Na tych spod kiosku zerknął krótko, ale uważnie.

– Ten Władek to wielki nygus, wielki. – Kwiaciarz splunął z pogardą.

– Wszyscy są dobrzy – powiedział zagadkowo Todek. Zeskoczył na ziemię. – Zmęczyłem się, trzeba wypić. – Wyciągnął garść z banknotem. – Mam dziesięć. Ty dziesięć, i flakon. Taki już jestem – wykrzywił twarz w bladym uśmiechu. – Jedna ćwierć, druga i abarotno. A

inne chłopaki – wygładził papierek, złożył w kwadrat – są mądrzejsze. Taki Andrzej Magister. Te to umieją żyć. Luluńki se z miasta sprowadzają. Umieją.

Benek Kwiciarz palcem namacał w kieszeni najdrobniejszą papierki. „Na co ma widzieć więcej – pomyślał. – Jak zobaczy, to nic, tylko zrób drugą ćwiartkę i zrób...”

– Chyba skoczmy za stację – uznał Todek. – Bliżej. Więc poszli do tego monopolowego za stację.

– A jak on, ten Andrzej? – zapytał Kwiciarz.

– On! – Todek aż przystanął. – Kozak. Umie żyć. Jakie dziwki. I forsy dużo nie wyda. Mądrała. Żadna go nie rozpruje. I wcale nie taki przystojniak. Tylko ma podejście. – Cmoknął zawistnie.

– Ma fart – burknął Benek. – Fart. Bo jak się nie ma fartu, to nic nie wyjdzie.

– Jeszcze jaki. – Todek wszedł na schodki sklepu, wyjął grzebień i przyczesał swe rzadkie, jakby mokre włosy. Uważnie sprawdził pieniądze.

\*

Z tymi dwiema bandoskami od Millera umówił się Olek Nawiślak.

W sezonie do roboty w polu przyjechało tych dziewczyn chyba ze czterdzieści. Czasem w świąteczne dni wychodziły na miasto gromadkami, po cztery, pięć. „Zdrowe, sama rzepa”, jak mówił Todek. Chichotały okrywając dłonią usta i bardzo spoglądały za chłopakami.

Nawiślak o zmierzchu zaszedł pod okna Kwiciarza i gwizdnął przenikliwie. Pociągnął Benka przed bramę.

– Wybrałem dobry towar – powiedział. – Tylko trzeba ostro. Koniecznie ostro. Takie wsiowe inaczej nie uważają. A dobre. Najlepsze.

Kupili u piegowatej Jadźki butelkę owocowego wina i paczkę herbatników. Poszli torem kolejki. Za ruinami piekarni zaczynały się pola. Za Gęsim Stawkiem wyraźnie było widać krzyż przy szczęśliwickiej drodze.

– Tam mają czekać – objaśnił Nawiślak.

Zmierzch zgęstniał niespodzianie, pola zszarzały, a miasteczko za ich plecami występowało teraz zamazaną plamą domostw i drzew. Już z daleka zobaczyli dziewczyny idące naprzeciwko. Te spostrzegły ich i zawróciły. Dogonili i zastąpili im drogę. Szepcząc przysiadły w rowie. Były młode, może siedemnastoletnie, o jasnych, połamanych korbówkami włosach. Usiedli po bokach. Olek Nawiślak rozpakował herbatniki, poczęstował, wybił o ziemię korek z butelki. Wzbraniały się od picia, wreszcie starsza pociągnęła niezły łyk.

– Ładnie ciągniesz. – Nawiślak poklepał ją po udzie.

Spojrzały po sobie i zaśmiały się krótko.

Teraz już parami poszli w stronę fortu. Czarne oczy strzelnic zwiększały się z każdym krokiem. Od śmieci zalegających zbocza szły w górę smużki dymu, zalaływało kwaśnym smrodem palonej starzyzny i rozmaitego paskudztwa. Przechodzili przez leszczynowe zarośla, gałęzie uderzały w twarz. Olek, który szedł pierwszy, uczynił za plecami krótki zna czący ruch ręką i pociągnął swoją do przykrytej krzewami kotlinki.

– A my usiądziem tu – rzeki Benek Kwiciarz.

Przysiedli pod betonowym słupkiem. Od razu spróbował przycisnąć się do jej miękkiego, dużego ciała, ale szturchnęła go w bok i mruknęła coś niechętnie.

„Zimna chamica” – pomyślał Kwiciarz. W ciemności widział tylko niewyraźny zarys jej twarzy, siedziała przykulona, z rękoma założonymi na kolanach. Stamtąd, gdzie był Nawiślak z tą drugą, dochodziły zdławione szepty, trzask gałązek i znów leciutki, radosny chichot.

Dziewczyna uniosła się trochę, patrzyła w krzaki.

– Dobrali się – powiedziała śpiewnie. Coś jak zawiść zabrzmiało w tym głosie.



Wtedy Kwiciarz złapał ją wpół, łagodnie pogładził po szerokich plecach. Przysunął twarz do policzka dziewczyny, włosy laskotały go w nos. Naprężyła mięśnie i odsunęła w bok głowę.

– Nie chcę – wykrztusiła – nie chcę. Benek Kwiciarz przywarł silniej, spoconą dłonią walnął ją w plecy.

– Nie skacz! Nie skacz – przygiął do ziemi za kark. Sapała urywanie.

– Ważniaczka... – zabelkotał i pchnął ją łokciem. Nastąpiła długa, z nieznośnym potrzaskiem leszczynowych gałązek cisza.

Wstała pierwsza, obciągnęła sukienkę i przyglądała włosy.

– I zachciało ci się!

W blasku zapałki usta Kwiciarza skurczył śmiech. Na ścieżce spotkali się z Nawiślakiem. Dziewczyny szły przodem. Przy obejściu Millera pożegnali je.

– Wpadniem niedługo – obiecał Nawiślak. Dziewczyny ostrożnie odemknęły furtkę. Zagrzytały zawiasy. Przed gankiem szczerknął łańcuch, zaskomlał pies.

Postali chwilę na drodze. Domy miasteczka wystąpiły przed nimi niekształtną czarną masą na tle nieba. Widzieli tylko jedno światełko połyskujące ruchliwie.

– No i jak? – zapytał Benek.

– Jak?! – roześmiał się Nawiślak. – Sposobem. Trzeba tylko coś obiecać. Takie chamki strasznie są na to łase... Powiedziałem, że będziem chodzić razem, to, śmo, owo... A potem już mogłem, co chciałem.

– Moja była gorsza – głos Benka Kwiciarza zabrzmiał głucho – zrobiłem ją siłowym numerem. Po krzyżu dołożyłem i pękła.

– Siłowy. To nie ma przyjemności. Najlepiej sposobem – skrzywił się Nawiślak. W świetle latarni z budowy obejrzał dokładnie ubranie, wygładził koszulę i chusteczką przetarł buty. Rozstali się.

– Moja może podskakiwać – wyjaśnił – rozumiesz, późno już.

Benek spoglądał na czarną, szybko znikającą sylwetkę stryjecznego brata. Zamamrotał niezrozumiale.

\*

Rankiem na podwórzu kamienicy rozległ się przenikliwy wrzask.

– To Rudy ze swoją – mruknęła matka Kwiciarza spojrzawszy w okno.

Benek zbiegł na dół. Pod śmietnikiem stały już kobiety z suterem. Wasiakowa odepchnęła je i jak przed słońcem osłoniła oczy. Rudy szarpał swoją, pochyliwszy nisko krwawo błyszczącą głowę. Z trzaskiem odlatywały guziki. Bluzka zsunęła się z ramion, ukazując żółtawą z niebieskimi żyłkami pierś. Kobieta wczepiła palce w poprzeczkę trzepaka. Kopnął ją parę razy.

– Ja ci! – mamrotał – ja ci!...

– Zbytnik – westchnął furman Satynowski. – Załatwia ją po swojemu. Załatwia – ziewnął szeroko i usiadł na schodkach.

– Łobuzisko! – gniewnie syknęła Maryśka.

– Łobuz to nosi na wierzchu – powiedział furman. Znów wzbil się krzyk kobiety Rudego, jeszcze cieńszy, bardziej przenikliwy.

– Ale ma głos, ho, ho... – uznał ktoś z podziwem. Z kolejkowego przystanku podchodzili ludzie. Wysoki z teczką szczerwienił z oburzenia. Pod starannie wygoloną skórą zadrgały szczęki.

– Bestialstwo! – Machnął teczką. – Bestialstwo, proszę... Kobieta Rudego wlepiła weń piękne, załzawione oczy.

– Frajer! – wrzasnęła nienawistnie. – Frajer! Rudy przestał tłuc. Groźnie przybliżył się do tego z teczką.

– Pilnuj swojej – na czoło opadły mu kosmyki włosów. – Pilnuj swojej kochanicy...  
– Żeby ją czasem słoń... – krzyknął ktoś z boku.  
Ten z teczką drobnym krokiem cofnął się za plecy ludzi.  
– On, panie dziejku, tak ją tego... wychowawczo – Skarbenko chwycił go za guzik marynarki. – Żeby wiedziała.  
Furman Satynowski wybuchnął donośnym śmiechem. Rudy machnął kobietę dłonią na płask po szyi.  
– Rozpieprzę! – głos mu opadł, przeszedł w chrypliwy skowyt – rozpieprzę!... wszystko!  
– Rudziuniu – furman wstał ze schodków, poklepał go delikatnie po plecach – Rudziuniu... starczy – zaszeptał w ucho.  
Ci z bazaru, Czesiek Rekin i ten jego Brzydał, spoglądali na to wszystko z pobłażliwą wzgardą. Rekin językiem przesunął w kącik ust papierosa, siny wałeczek popiołu osypał mu kłapę. Brzydał ziewał raz po raz. Wasiakowa spojrzała nań nieprzyjaźnie.  
– Świntuchy – warknęła.  
– Szanowna pani – Brzydał skłonił się niedbale – ile to już razy mówiłem, że wszystko rzecz gustu. Gustu! – podkreślił.  
– A w ogóle – dodał Rekin – tę babę to ja usadzę. – Postąpił krok.  
Wasiakowa schowała się do bramy. Benek Kwiciarz parsknął stłumionym śmiechem.  
– Aleś babę wystraszył – powiedział. Rekin zmrużył przyjaźnie oczy.  
– Zapalisz? – Wyciągnął amerykańki. Rudy ze swoją kobitą wyszli na ulicę. Na przystanku z łoskotem przyhamowała niebiesko-żółta kolejka.

\*

Był to późny wieczór. Ostatnich zalanych gości „Zdroju” kelner Racyjka ujął mocno za kołnierze i wywalił na schodki. Opadli w trawę belkocząc i przeklinając. Kwiciarz i Todek postali chwilę na przejeździe, nie chcieli im się wracać do domu. Przystanęli pod słupem. Spoglądali w opustoszałe ulice. Tylko w budce dróżnika słabo majaczyło światło, dochodziły stamtąd ochryple głosy.

– Zaprawiają – westchnął Todek.

Gdzieś w oddali między rzędami kasztanów zarysowało się kilka niewielkich jak kukielki ludzkich postaci. Zniknęły w ciemności. Todek szczęknął zębami, podniósł kołnierz. Wraz z lekkim wiatrem ogarniał chłód.

Ten mały człowieczek w naciągniętej na oczy cyklistówce podszedł do nich bezszelestnie, przytrzymując się parkanu. Dopiero gdy kichnął, szybko obrócili głowy.

Stał przy nich z wyciągniętą ręką, coś w niej pobłykiwało sinawo.

– Spluwa! – Kwiciarz szeroko otworzył oczy. – Spluwa? – wymamrotał.

– Ręce do góry! – wrzasnął ten mały – do góry! – Zadygotał nerwowo i spryskał ich śliną.

– Tylko bez plucia. Nieładnie – obojętnie powiedział Todek.

Kwiciarz podniósł w górę ramiona. A Todek skurczył się jakby i rzucił w bok krótkie, uważne spojrzenie. Było pusto i cicho. Wrzask w dróżniczej budce też wygasł nagle.

– Szybko! – mały wysunął dłoń ze spluwą. Dostrzegli jego twarz pomarszczoną, starawą, z zadartym nosem. „Strzeli!” – przeleciało przez głowę Kwiciarzowi. Spojrzał zdziwiony na Todka, który leniwie uniośł łokcie.

– O, tak - ucieszył się mały – tak, tak. – Przystąpił z nogi na nogę, stal pistoletu błysnęła mocniej.

Ręce Todka opadły na plecy małego, nastąpiło to w ułamku sekundy. Człowieczek zawirował w powietrzu, pistolet zatoczył łuk i stuknął głucho o kamienie. Todek przytrzymał go za kłapy i trzepnął po pomarszczonej twarzy.

– Więc tak?... Łajno, łajno – zapiszczał mały. Dostał kopniaka, upadł na brzuch. Todek podniósł pistolet, obejrzał – zgrzytnął zamek.

– Pusty... – mruknął. Odrzucił spluwę pod płot. Zdziwili się. Mały człowieczek poruszył stopami, twarz ukrył w łokciu.

– Łajno – załkał. Coś jeszcze stęknął. Dołożyli parę obcasów. Przycichł. Szybko weszli w wąską uliczkę prowadzącą do kamienicy. Za chwilę posłyszeli wołanie i tupot kroków. Kroki narastały niepokojąco.

– Goni? – zdziwił się Todek.

Przystanęli za drzewem. Mały przeleciał obok nich z wysuniętą do przodu spluwą. Spoglądali za nim. Wreszcie rozplynał się u końca widzenia.

– Wariat – z zastanowieniem mruknął Todek. – Wariat.

– Wariat – powtórzył Kwaciarczyk. – Na pewno wariat. – „Ale skąd miał spluwę?” – zastanowił się. – Jakiś dziwny, bo i wódki nie było czuć. Tak wyskoczył nie wiadomo skąd.

– Wszarż – Todek machnął ręką.

Zadyszani przystanęli w ciasnej, pełnej stęchłego zaduchu sieni kamienicy.

Przechodzili przez gęsty ogród Milewskich, nocna wilgoć osiadała na twarzy, gałęzie szeleściły tajemniczo.

– A Magister znów jedną taką z miasta sprowadził – odezwał się nagle Todek. – Artycha! – Zaklął.

\*

Kwaciarczyk długo marudził przy goleniu. Przeglądał żyłki, ścinał włoski na przegubie dłoni. Dokładnie namydlał twarz. Odłożył pędzel i wyjrzał przez okno. Czapa mydlin ściekała soplami po szyi. Przysiadł na parapecie. Dzień był niedzielny. Ludzie grupkami podążali do kościoła. Przez lufcik dolatywały śmiechy, skrzyp butów.

– Marudzisz – powiedziała matka. Spoglądała na niego z wyrzutem.

Powrócił do golenia. Maszynka brała zarost miękko, bez zacinań. Wydał czyste policzki. Znowu wychylił głowę z lufcika. Kilka dziewczyn szło spacerkiem od przystanku. Rozglądały się leniwie. Niska, ze słonecznikiem w dłoni, spojrzała w górę, wyglądało na to, że patrzy w jego okno. Odsunął krzeselko. Gdy po chwili wyjrzał, ulica była pusta, jakby wymieciona. Tylko pies, Dziadek, obwąchiwał płot; wywiesił jęzor i uwalil się pod akacją.

– Mógłbyś wyjść – matka utkwiała w nim surowe spojrzenie – a nie tak sterczeć jak... – bezgłośnie poruszyła cienkimi wargami. Też była ubrana niedzielnie, w ciemną, trochę zapyloną sukienkę. – Do kościoła albo gdzie – mruknęła. – Dzień ładny.

– Można – przytaknął Kwaciarczyk.

Wyszedł narzuciwszy na ramiona marynarkę. Na schodkach zapalił papierosa. Ta nowa z przeciwka pochylała się nad Dziadkiem. Gładziła go po skołtunionych, pełnych łopianowych rzepów kudłach. Dziadek zmrużył czerwone oczy i przesunął po ziemi grubym ogonem. Za śmietnikiem stłumiony pisk. Dzieci ostrożnie wysunęły głowy.

– Pan Wincenty w pręcie cięty! – wrzasnęły zgodnie. – Pan Wincenty... – najgłośniej krzyczał chłopak furmanów, który wlaź na kłapę śmietnika.

„Spodobało im się... spodobało” – ucieszył się Kwaciarczyk.

Ta nowa schowała się do bramy.

Kwaciarczyk zarzucił na ramię marynarkę i usiadł na ławce. Monotonnie poruszał nogami. Ogarniało go gorące, duszne powietrze. Rozluźnił koszulę, gorąc piekł twarz, przez zmrużone oczy prześwitywała słoneczna czerwień. Z pierwszego piętra wyjrzała matka. Spoglądała w dół – na samodzielną kraciastą czapkę i jego długie, wolno stukające o bruk nogi. Zatrzaśnęła lufcik. Wtedy Benek Kwaciarczyk, osłaniając dłonią oczy, spojrzał w górę, ale nic nie zobaczył.

\*

Zapukał leciutko. Cisza. Stuknął głośniej.

– Włazić! włazić! – usłyszał męski głos. W długim korytarzu panował półmrok, przez kuchenne drzwi płynęło trochę dziennego światła. Andrzej Magister był w piżamie, rozdeptane bambosze zsuwały mu się ze stóp.

– A, a – mruknął uprzejmie – kwiatki dla mnie.

– Zamówione – rzekł Benek. – Tylko trzeba zaraz w wodę – dodał.

– Wiem, wiem. – Magister zamyślił się, potarł nie ogolone policzki. Wziął bukiet i szerzej otworzył drzwi kuchni. Smuga jasności oświetliła go dokładnie. Był niewysoki, z wypukłym brzuchem, nabrzmiałą twarzą. Z czoła opadał kosmyk posiwiałych błyszczących włosów.

„Taki wielki kozak – z niedowierzaniem pomyślał Kwiciarz – taki...” Przyjrzał mu się uważnie, dłonie wsunął za pasek. – A kwiaty ładne... białe róże, goździki, trochę aszparagusa – powiedział niewyraźnie.

Magister zachichotał, klepnął Benka po ramieniu.

– Kwiaty! Nic po nich – powiedział. – Ale dobra, dobra. Najważniejsze, że przyszedłeś – skrzywił twarz w mnóstwo zmarszczek, w których pobłyskiwał zarost. – My przecież niejedną już wódkę razem. – Wciągnął brzuch, zapiął piżamę. Wyglądał teraz inaczej niż na początku, jakby okazał się. Podniósł się na palcach i pogładził lakierowane drzwi pokoju. – Mam tu jedną taką – zaszeptał. – Niezgorza. Z miasta. I ty, Beniu, możesz z nią... Bardzo lubi to wszystko. Już po wódce. A nawet gdyby ci się stawiała, to możesz parę razy po schabach. Nikogo nie ma. A niezgorza.

– Z miasta? – zastanowił się Kwiciarz. Andrzej Magister przyświadczył z dziwnym uśmiechem i popchnął go do pokoju. Kwiciarz pośliznął się na błyszczącej posadzce.

Dziewczyna z miasta leżała na tapczanie. Zauważył jej palce, lekko uderzające w klawisze radia. Było mroczno, na ścianie błyszczało coś złotawo.

– Kolega, specjalista od kwiatów – przedstawił Andrzej Magister.

Benek skłonił się niezgrabnie. Dziewczyna poruszyła dłonią.

Widział jej profil. Ładna. Wzrok przeniósł na ścianę. Teraz rozróżniał kontury obrazów. Ramy przebijały przez mrok wytartym złotym blaskiem. Brzęknęło szkło. Magister napełnił kieliszki. Wypili – dopiero wtedy zwróciła twarz do Benka.

„Jakby z filmu” – pomyślał Kwiciarz. Podobną twarz widział już na okładce tygodnika. Dużo włosów na ramionach. Tam na okładce też. „Artycha.” – Nieznacznie wytarł dłonie o spodnie. – „Artycha.”

Magister trącił go w łokieć i wyszedł z pokoju. Zapanowała cisza. Uporczywie wpatrywał się w butelkę, na dnie było trochę wódki, setka, nie więcej.

– Wyszedł – powiedziała dziewczyna, głos miała cienki, wysoki. Podkurczyła nogi. – Tłusty. Obrzydliwy. Fałdy – szepnęła jakby do siebie. – Prawda? – zwróciła nań spojrzenie. – Kolega? – zapytała i nie czekając na odpowiedź, przekreśliła gałkę radia.

Chrypliwa muzyka napełniła pokój. Benek Kwiciarz wychylił wódkę z butelki. Wierchem dłoni otarł usta.

– Wyszedł, wyszedł – śpiewnie powtarzała dziewczyna. Uniosła się na łokciach, szlafrok odkrył nogi. Lekko dotknęła opuszczonej głowy Benka. Ruszył się gwałtownie, potracił stolik.

– Kiepsko cię widać – powiedziała. – Tak tu ciemno. Muzyka zabrzmiała ostatnim, długim akordem. Teraz obcy, donośny głos.

– Pokaż się – dziewczyna przechyliła się do niego. „Oni robią ze mnie barana. Na pewno. Ten nygus i ta jego...” – Poczł rosnącą złość. Wstał, przeszedł ostrożnie po śliskiej posadzce i nie patrząc na tapczan otworzył drzwi. Jej głos zginął w chrypliwym radiowym hałasie.

Przesunął dłonią po twarzy. Przeszukał kieszenie. Nie znalazł papierosa. Z kuchni doszedł kaszel, potem miękki szelest bamboszy.

Andrzej Magister, ubrany, wygolony, gładził krawat w szafirowe paski.

– I co? – zapytał.

– Papierosa – bąknął Kwiciarz. Magister poczęstował.

– Załatwiłeś? – przysunął się doń blisko i zadarł głowę. – Bo mnie się nie chciało – rzekł.

– Nie w moim typie. – Urwał, oczy zrobiły mu się okrągłe.

– Nygusie! – wykrztusił Kwiciarz, chwycił go za krawat, ściągnął mocno – nygusie!... – Potrzęsnał jak kukłą.

Magister prychnął śmiesznie, zamrugnął powiekami. Kwiciarz opuścił ręce.

– Ciebie i tę twoją szmatę... – Twarz miał szarą, zmęczoną.

Magister cofał się tyłem, pogubił bambosze. W pokoju zadźwięczał śpiew, ale już nie radiowy.

„Ona” – pomyślał Kwiciarz. Ociężale wyszedł z mieszkania.

Andrzej Magister poprawił krawat, gwizdnął leciutko i nałożył łańcuch na drzwi.

Kwiciarz przystanął pod płotem.

„Ma fart – poruszył ciężko ręką – ma...” Spojrzał w zasłonięte storą okna. Westchnął i odszedł szybko, po drodze przeliczył dwuzłotówki – starczy mu na setę.

\*

Czarnowłosa dziewczyna od paru dni pracowała u rzeźnika. Benek Kwiciarz zobaczył ją przechodząc koło sklepu. Pokazała się w szybie. Niczegowata, tylko jakby dumna jakaś. Ominęła go obojętnym spojrzeniem. Podpatrywał ją nieznacznie. Porządnie niczegowata. Potarł szyję. Ktoś walnął go nagle w plecy. Odwrócił się szczerwieniał i zły. Rzeźnik Sieradzan, stary kumpel nieboszczyka ojca, krzywił twarz w chytrym uśmiechu.

– Nowa – powiedział. – I niezła.

– Możliwa – przytaknął Kwiciarz.

– Dobra. Zobacz, jaka fajna – Sieradzan cmoknął i wskazał na sklep.

Widać ją było dokładnie. Z haka ściągała długie wianek kiełbasy.

– Ninka. I na robocie się zna – rzeźnik uważnie obserwował jej ruchy. – A wiesz ty, Beniu... powiada ona, ta Ninka, że nie ma co robić wieczorem. Nudno jej! Taka dziewczucha! – klepnął się po udach i natrętnie przechylił do Kwiciarza. – To już chyba z naszych chłopaków są trąby – ciągnął. – Bo mnie jeszcze, jak jestem przy niej...

– Trąby, nie trąby – odpowiedział Kwiciarz – tylko nie ma podejścia.

Sieradzan wytarł hałaśliwie nos. Otworzył drzwi sklepu i wrzasnął:

– Ninka! Ninka!

Kwiciarz zaklął, przygładził włosy.

– Masz sposób – powiedział rzeźnik i przytrzymał go za ramię.

Czarnowłosa Ninka wyszła przed sklep.

– Chłopak stąd – Sieradzan przymrużył oko. – Wysoki, kwiciarz, umie zarobić, a i też...

– Daj pan spokój – powiedział Benek. W dłoniach obracał samodziiałową czapkę.

Ninka rozjaśniła twarz w ładnym, zalotnym uśmiechu.

\*

Ta nowa z przeciwka siedziała na ławce. Maryśka spojrzała na nią przyjaźnie, pociągnęła nosem.

– Ciężko żyć, ciężko – zagadała.

– Taki był zdrów. – Nowa uniosła smutną twarz. – Taki... I nie ma go już.

Maryśka podwinęła sukienkę i przysiadła obok.

– Też znalazłam jednego takiego... – Zamyśliła się. – Mydlarz. Zdrowy był, wypić lubiał, pożartować, i zjeść mógł. I zrobiło mu się coś w środku. – Przymknęła oczy, cień jakiś wystąpił na jej brzydkiej twarzy. – Fajny był – szepnęła. – I jak się czuł!

– On też – oczy tej nowej zabłysły ożywieniem.

– Pewnie rak – powiedziała Maryśka. – Wszystko rak. Krawiec Skarbeńko stanął w drzwiach pracowni, ale zaraz szybko cofnął głowę.

– Dziwna jakaś – mruknął do żony. – Wzdycha! Jakby coś tego – wskazującym palcem stuknął w czoło. – Był chłop. Nie ma chłopca. – Rozłożył ręce. – I powinna od początku się urządzić. A nie tak. Nie ostatnia przecież. Trochę głuchawa. To może i lepiej.

Jego pomarszczona kobieta uniosła żelazko, poślinionym palcem dotknęła od spodu. Zaskwierczało.

– Wystarczy – powiedziała. – Możesz prasować.

– A Zygmunt, fryzjer – Skarbeńko ostrożnie zsunął okulary na koniec nosa – zgląda za nią ten Zygmunt. Ciągle. Głupia baba! – Na desce rozłożył granatowe z trójkątną łata na tyle spodnie. Przesunął żelazkiem. Znieruchomiał. – Ciekawe, co z tego wyjdzie – zaszeptał. – Zygmunt porządnie leci na nią.

Uważaj – mruknęła żona. – Spalisz.

\*

W rzeźniczym sklepie przyjmowali towar. Dwaj w pasiastych fartuchach wyciągali z samochodu skrzynki. Błyszczała w nich czerwona tłusta kiełbasa. Sieradzan rozparty na ladzie obliczał coś w ceratowym zeszycie, wpychał do ust ołówki; przymknął oczy. Czarna Ninka rozwieszała kiełbasy na białych kafelkowych ścianach.

Kwaciarz odgarnął trzciny, rozłożył marynarkę. Z tego brzegu stawu sklep było widać wyraźnie. Za cyplem przykucnął nad wodą ospowaty Borek. Zanęcił ryby kartoflem i patrzył czujnie na spławiki. Kącikiem oka zobaczył Kwaciarza, pozdrowił ręką i krzyknął:

– Nowe wędkę! Bambusowe! Zobacz! Tylko ryby kiepsko biorą! Jeszcze nic od południa! – Borek podciągnął na kołowrotku trochę żyłki, czerwony spławik podpłynął do brzegu.

– Bo brudna woda – powiedział Kwaciarz. – Ja już sprzedałem swoje kije.

Borek uniosł wędkę. Szarpnął.

– Brała. Ale uciekła, cwaniara – rzekł ponuro. Zapadał zmierzch. Trzciny szemrały i sylwetki rybaków zacierały się w szarości. Kwaciarz przed sobą miał drzwi rzeźniczego sklepu. Już zamykali. Sieradzan rozsunął kraty, w poprzek nałożył żelazną sztabę.

Czarna Ninka szła powoli wzdłuż stawu. Kwaciarz dołem, przychyłony w trzcinach, nadszedł za nią. Ospowaty Borek odprowadził go zdziwionym spojrzeniem. Benek pod barakiem straży pożarnej wspinał się wyżej. Zastąpił drogę dziewczynie. Przywitali się.

– Dziś dłużej trochę. Przywieźli towar – powiedziała.

– Ja też – wtrącił Kwaciarz. – Parę wieńców było na jutro. Pilne zamówienie.

– Taka robota to chyba niezła – zainteresowała się. – Lubię kwiaty.

– Niezła – potwierdził. – I popłatna. Mało jest teraz od tego fachowców... A ja od dwunastu lat – dodał z dumą.

– Długo. – Dziewczyna przeczesła włosy, palcem rozdzielała nad czołem rzadką, śmieszoną grzywkę. – Ja tam nie lubię swojej przy mięsie – zwierzyła się. – W lato śmierdzi paskudnie. I palce się świecą.

Szli spacerkiem. Od parku ogarniał przyjemny zapach wiosennego kwiecia.

– Pachnie. Fajnie pachnie. – Czarna Ninka pociągnęła nosem.

– Można przez park – rzekł Kwaciarz.

Znaleźli się w ciemnej alei z listowiem nisko ponad głowami.

U góry krakały wrony, ich gniazda gęsto oblepiały czubki parkowych drzew. Przy płocie widać było drewnianą podłogę i podwyższenie dla orkiestry.

- Dechy. – Czarna Ninka przystanąła. – Tańczą.
- Ostatnio rzadko, bo rozrabiają – objaśnił Kwiciarz.
- Ładnie tutaj. Warto odpocząć – powiedziała dziewczyna.

Siedli na ostatniej ławce.

„Sama chce” – uznał z radością Benek i zacisnął dłoń na oparciu.

Rozejrzał się. Pusto. Tylko za pałacykiem ruchliwe ogniki papierosów. „Najlepiej od razu” – postanowił. Wysunął rękę szukając jej twarzy. Nim jednak dotknął, odsunęła się na kraniec ławki.

– Coś ty sobie myślał? – powiedziała spokojnie. Wyciągnął chusteczkę, długo wycierał nos.

– Szybkiś! – trąciła go w plecy.

Otworzył pudełko sportów, ale nie zapaliwszy położył na ławce. Teraz ostrożnie ujął dziewczynę za rękę. Przechylił się podkurczając nogi. Ławka zakołysała się trochę.

– Tylko nic w usta – niewyraźnie posłyszał jej głos. – Już – odepchnęła go łokciem – już... Ale zarost to masz – powiedziała z podziwem. Poglądziła po brodzie. – Twardy.

„Mądralka. Nie chce od razu” – Kwiciarz namacał paczkę z papierosami, wyciągnął jednego.

– Szybko rośnie – rzekł mruklawie. – Ale nie zawsze jest czas ogolić się.

Pewnie – przytaknęła Ninka.

\*

Stasiek Marynarz wysunął głowę i postąpił krok do białowłosego Zanorzyka.

– Spodnie! – syknął. – Gdzie spodnie? Gdzie? – zacisnął pięść, zbielała skóra na kostce.

Zanorzyk przywarł do muru, rzucił wzrokiem na boki.

– Ty, ty – wolno powtarzał Marynarz. Nagle w rękę błysnęła mu brzytwa. Rzucił się do przodu. Zatoczył się na ścianę. Wtedy Zanorzyk uskokczył i długimi susami wybiegł na podwórze. Zaraz z bramy wyrzała jakaś przysadzista baba i wrzasnęła cienko. Wasiakowa. Wyszypali się mężczyźni. Furman Satynowski, Jelonkoszczaki, Benek Kwiciarz. Chwycili z tyłu Marynarza.

– Opanuj się! Opanuj... jak pragnę Boga! – prosił furman.

Marynarz zwarł szczęki, kropelkami wystąpił na nich pot.

– Zarżnę! – wykrztusił – zarżnę!

Wykręcili mu ramiona, brzytwa wypadła. Satynowski podniósł ją, złożył i ostrożnie wsunął do kieszeni. Marynarz zwiśł im bezwładnie na rękach, rozchylił usta.

– Już mu przeszło – szepnął Benek Kwiciarz. Puścili. Zamrugął powiekami. Zanorzyk przykucnął za śmietnikiem. Ostrożnie wysunął głowę. Furman Satynowski machnął doń ręką.

– Tego skurwegosyna – powiedział zmęczonym głosem Marynarz – tego...

Dopytywali ciekawie. Stanęli plecami do śmietnika.

Zanorzyk przeczołgał się w koniec podwórza. Znikł za płotem.

Była to paskudna, frajerska sprawa. Marynarz wyszedł przed paroma dniami z odsiadki. Z kopalni. Miał parę złotych. Chciał ubrać się trochę. Dał Zanorzykowi sześć stów na spodnie. Zanorzyk pojechał do miasta. Miał metę na piękne, modne spodnie. Nie było go kilka dni. Wrócił zaprawiony porządnie. Bez spodni.

– I złapało mnie to co zawsze. Byłbym zarżnął skurwegosyna – rzekł na ostatek Marynarz.

Przytaknęli. Znali to dobrze. Robiło się wtedy Marynarzowi biało przed oczyma i na nic nie zważał.

– Wskoczyliśmy na czas – powiedział Kwiciarz.

– A on... – rozmyślał furman Satynowski – nic, tylko u kochanicy był.  
– Choćby i tak... Wyrok z tego duży, a i żal psiego syna – wtrącił najmłodszy z Jelonkoszczaków.  
– Forsę odda. Musi oddać – rzekł Kwiciarz.  
– Byłby wyrok – powtarzał półgłosem krawiec Skarbeńko – duży wyrok. – Westchnął śmiesznie i ze strachu spojrzął na Marynarza.  
Czesiek Rekin zapalił amerykana. Wonny dym przyjemnie ogarnął nozdrza, wzbijał się delikatną niebieskawą chmurką.  
– Daj zajarzyć – mruknął Marynarz.  
Rekin podsunął mu uprzejmie papierosy.  
Pal – częstował. – To pomaga.  
Benek Kwiciarz poprawił czapkę.  
– Lecę – machnął ręką chłopakom.  
Najmłodszy z Jelonkoszczaków podbiegł do niego.  
– Beniu – tajemniczo zniżył głos, spojrzął za siebie – potrzebna mi wiązanka. Tylko żeby piękna. Żenię się – oznajmił. Był mały i spoglądając na Benka, wysoko zadzierał głowę. – Koniecznie, za parę dni. Stawiam większą wódkę – rzekł radośnie. – Tylko żeby piękna. Bo rozumiesz, niech wiedzą – przymrużył oko, zatarł dłonie.

\*

– Z niej jest niekiepska sztuka – zaczął Nawiślak – widziałem, widziałem. – Spojrzął na chłopaków.  
Furman i Marynarz uśmiechali się nieznacznie. Tylko Todek pozostał obojętny, nachmurniony.  
– Niekiepska. – Nawiślak zmarszczył czoło i przymknął oczy. – Tak, tak – powtarzał, jakby przypominając sobie.  
Benek Kwiciarz chciał odejść, ale Nawiślak przytrzymał go za rękaw.  
– Mój gust, czarne piórka, dobra w zadku.  
– Możliwa – Kwiciarz rozpogodził nieco twarz.  
– Gites, gites pakulszczanka – wtrącił Marynarz. – Widzieliśmy.  
– Ona jest nie stąd. – Kwiciarz obracał w palcach swą samodzielną kraciastą czapkę. – Dopiero parę dni tutaj. Chcę z nią kręcić. Pasuje mi – zwrócił się do Nawiślaka.  
– Pewnie, z taką można zakręcić. Tylko mądrze – Nawiślak uważnie przesunął dłonią po wygolonym policzku. – Ja bym wziął ją na gorzałkę, potem podlał winkiem i poszłoby już łatwo.  
– Można – burknął niechętnie Kwiciarz. – Rozmaicie można – dodał. Wepchnął w czapkę wyłazające papiery, nacisnął ją na głowę.  
– Każdą trzeba szybko załatwić – powiedział stanowczo Nawiślak. – Ja też swoją od razu. Tak najlepiej. I jaka z niej teraz kobita. Nie skacze. Szanuje.  
– Tylko tak – przytaknął Satynowski.  
– Można – zgodził się Kwiciarz. – Na razie – machnął na pożegnanie ręką i wyszedł z bramy.  
– Trzeba od razu – posłyszał za plecami głos stryjecznego brata – bo niby z tobą chodzi, a z innym... takie one są.  
Rozległ się chichoczący śmiech. Nawet Todek rozjaśnił twarz.



\*

Kwiciarz przystanął przed sklepem. Sieradzan otworzył drzwi.

– Należy mi się ćwiartka – powiedział wesoło. – Zblatowałem was.

– E tam – zmieszał się Benek – ćwiartkę można zawsze wypić...

Czarna Ninka zdjęła fartuch i przywitała się z nim.

– Nie przeszkadzam – rzeźnik wypchnął dziewczynę i zatrasnął drzwi.

Usiedli nad glinianką. Za groblą Borek nęcił ryby kartoflem. Ugniatał małe kulki i rzucał na wodę. – Ja bym tak nie mogła – powiedziała Ninka – siedzieć, siedzieć i ciągle patrzeć w wodę.

– Ja też – przytaknął Kwiciarz. Z przeciwległego brzegu ktoś skoczył w wodę. Pokazały się białe bryzgi.

– Delfinem zasuwa – szepnął Kwiciarz. Pływak zbliżył się do grobli. Borek wrzasnął nań ze złością. Pływak oddalił się rozcarniając wodę ostrymi wyrzutami ramion.

– Płoszył mu ryby – objaśnił Kwiciarz. Ninka od rzeźnika przypatrzyła mu się uważnie – ostry profil, szczęki zarastały gęstą czarną szczecina.

Kwiciarz owinął na dłoni suchą trzcinę. Szarpnął. Trzymała się mocno. Szczerwienił i przechyliwszy się do tyłu pociągnął.

Ustąpiła; łamał na małe kawałki.

– Jak chcesz... – rzucał w wodę te kawałki, pokazały się koła na spokojnej, gładkiej powierzchni. Przymknął oczy. – Jak chcesz – powtórzył niewyraźnie – to mozem chodzić ze sobą.

Ninka od rzeźnika znów przyjrzała mu się dokładnie. Obciągnęła na kolanach sukienkę. – Dlaczego nie – odpowiedziała.

\*

Szef przypatrywał się wystawie.

– Same paki. – Był zadowolony. – Dobrze wygląda. Zza przepierzenia dochodziło po-gwizdywanie. Benek Kwiciarz szykował wiązanek dla najmłodszego z Jelonkoszczaków.

Szef odchylił zasłonę.

– Ładnie wychodzi – pochwalił. – Akurat dla kumpla.

– Udało się – przyznał Benek.

Poprawił zieleń w wiązance, mocniej podwiązał drutem.

– Tobie też przydałaby się baba – rzekł szef.

– Kobita?! – W oczach Kwiciarza błysnęło niedowierzanie. – A sam pan wiesz najlepiej, ile mogą krwi napsuć. – Usiadł w kucki, zapalił papierosa. – Ta pańska – ściszył głos – przecież łachudrowata porządnie była.

– Łachudrowata, nie łachudrowata – szef przykucnął obok niego. – To nic. I tak... zresztą... – urwał i posmutniał.

Benek ostrożnie powiesił na ścianie tę ślubną wiązanek dla najmłodszego z Jelonkoszczaków.

Zawsze to dla kumpla – rzekł. – Musi dobrze wyglądać.

\*

Przez lufcik dolatywał głos matki:

– Obrzydliwość!

Kwaciarz wysunął głowę. Zobaczył Wasiakową. Odstawiła kubek z wodą, pociągnęła matkę za rękę.

Skarbeńko kołysał się w drzwiach, coś pokrzykiwał do kobiet. Pies Dziadek podniósł łeb i szczeknął krótko. W samym kącie podwórza żona Rudego trzepała kołdrę. Pochyliła się nisko. Wiatr podniósł sukienkę, odsłonił nogi.

„Nieźła” – przypatrzył się Kwaciarz.

Ukazał się Rudy. Odsunął swoją i sam zabrał się do trzepania. Machał wściekle. Wzbijał kurz.

„Ten Rudy to nawet nieźle ze swoją.” – Benek gwizdnął po gołębiarsku na palcach.

Rudy obejrzał się i pogroził mu z uśmiechem. Z pracowni Skarbenka dochodziło monotonne terkotanie singera. Kwaciarz zawiązał krawat, obejrzał się w lustrze, lekko przekrzywił czapkę.

Ubrał się świątecznie w tenisowy garnitur i wiśniowe buty z potrójnym szyciem.

– Tabaka – szepnął zawiązując sznurowadła – tabaka. – Rozmyślał o Nawisłaku. „Wielki spec. A swoją kobitę ma brzydką... Przecież – uznał – lepiej nie brać się do baby nachalnie, tylko poczekać... A później – uśmiechnął się miękko – będzie tego jak miodu...” Całkiem wyraźnie widział czarną Ninkę od rzeźnika. Przeszedł się kilka razy w poprzek pokoju. Buty były trochę przyciasne, uwierały w palcach. „Na razie – postanowił – wcale nie będę na to leciał...”

Na schodach minął się z matką.

– Do miasta skoczę – krzyknął już z dołu – kupić jakiś ciuch. Bo stare już wszystko...

Matka na progu pokiwała głową.

\*

Przez chwilę nie wierzono. Ze wszystkich okien wychyliły się głowy.

– On ?! Kwaciarz ?! Benek ?! – powtarzano w zadziwieniu.

– Bujda! – rozległ się czyjś ochryply głos.

– Tak. Wypadł. Jak pragnę Boga – gorączkowo mówił najmłodszy z Jelonkoszczaków. – Trup na miejscu. Widziałem.

Wyległa cała kamienica. I pies Dziadek poszczekując pobiegł za nimi. Pędzili ścieżką wzdłuż toru, minęli obejście Millera. Mężczyźni pierwsi znaleźli się na miejscu. Nie skłamał najmłodszy z Jelonkoszczaków. Przy telegraficznym słupie zobaczyli ciało Kwaciarza. Przykryty był papierowym workiem po cemencie. Szerokimi plamami zakrzepła krew. Dobrze widać było świąteczne, z potrójnym szyciem, buty.

– Jego buty – mruknął ktoś.

Satynowski ostrożnie uniósł rąbek papierowego worka.

– Paskudnie wygląda – westchnął. Nasunął papier na twarz Kwaciarza. Z wagonów stojącej WKD-owskiej kolejki wysiadali ludzie. Mały w konduktorskim mundurze powiedział ostrym głosem:

– Wracal z miasta zaprawiony porządnie. Zasnął na schodkach i wypadł.

– W takim biegu – odezwał się Todek. – W takim biegu...

– I paczkę jakąś miał – przypomniał sobie konduktor. Wrócił do wagonu, ukazał się po chwili z zawiniątkiem pod pachą.

– Trza by ciotce – Nawisłak wyciągnął rękę. – Oddam.

– Jak przyjdzie, to się odda – konduktor poruszył przecząco głową.

Wkrótce nadbiegły kobiety. Pierwsza Wasiakowa. Ostrożnie zerknęła na trupa, przy-  
mknęła oczy. Matka Kwiciarza przycisnęła się między ludźmi. Konduktor wetknął jej w rękę  
zawiniątko po zmarłym. Stała z nisko opuszczoną głową. Milczała. Spoglądano na nią cieka-  
wie. Ustały szepty.

Zawarczał motocykl. Przyhamował ostro. Wzbił się tuman ceglatego kurzu. Przyjechali  
milicjanci. Ten w konduktorskim mundurze podbiegł do nich, gestykulował z ożywieniem.

Matka Kwiciarza dziwnie wysunęła rękę, trzymała ją nieruchomo przed sobą. Kobiety  
westchnęły znacząco.

– No, no, Nawiślakowa – Wasiakowa trąciła ją lekko w plecy. – Starczy już. Trzeba przy-  
gotować wszystko – powiedziała grubym głosem – oporządzić go jakoś. Panie, świeć nad  
jego duszą...

Matka Kwiciarza uniosła głowę, twarz miała małą, pomarszczoną i bardzo cienkie usta.  
Wasiakowa ujęła ją mocno pod rękę, tak przeszły między ludźmi. Oglądano się za nimi.  
Zniknęły za zakrętem ceglastej drogi.

Ta nowa z przeciwka zakryła oczy.

– Młody – szepnęła – taki młody.

– Za dużo zaprawiał – posłyszała miękki głos za plecami. Obejrzała się. Fryzjer Zygmunt  
wysunął przymilnie szczękę, obciągnął marynarkę. – Bardzo pani współczująca – powiedział.  
Przysunął się do niej.

Uśmiechnęła się blado.

– Za dużo, za dużo – przytaknął Skarbenko i rzucił niespokojne spojrzenie na trupa.

– Rozejść się! – zabrzmiał surowy głos Władka milicjanta. – Rozejść się... Nie ma na co  
patrzeć.

– Pójdziem – rzekł Nawiślak. Z zainteresowaniem spojrzął na tę nową z przeciwka.

– Lubilem go – Czesiek Rekin wyciągnął amerykańki. Zapalili i poszli gromadką. Mary-  
narz, Todek, Rekin, furman Satynowski i Nawiślak Olek. Jeszcze tylko Maryśka pochyliła się  
nad trupem.

– Przystojny był – chusteczką przetarła oczy. – Taki murzynowaty, żydowaty, trochę jakby  
Mulat...

Władek milicjant pokiwał głową. Wiatr szeleścił papierowym workiem okrywającym ciało  
Benka Kwiciarza, odsłonił kawałek ucha ze strużką czarnej, zakrzepłej krwi.

\*

Po pogrzebie Nawiślak Olek zaprosił wszystkich do „Zdroju”. Zgodzili się chętnie. Dzień  
przecież był chłodny, z dokuczliwym wiatrem. Zmroziło ich porządnie. Tylko czarna Ninka  
wzbraniała się trochę.

– Nie mam czasu – szepnęła. – A i nie znam nikogo. Nawiślak ujął ją za łokieć i otworzył  
drzwi „Zdroju”. Rozsiedli się w pierwszej izbie. Było tu cicho i ciemno, trochę dziennego  
światła sączyło się przez zabite dyktą okno. Nie było nikogo, tylko Wujcio, skulony nad pustą  
ćwiartką, powtarzał coś bełkotliwie. Furman z Marynarzem wypchnęli go za drzwi. Opierał  
się trochę w progu, ale zaraz przysiadł na stopniach.

Basia kelnerka parsknęła piskliwym śmiechem.

– Fajnie – Nawiślak rozejrzył się wokoło – fajnie... Kulawy harmonista przerwał drzemkę,  
szybko uniósł harmonię i przesunął kciukami po klawiszach. Popłynął długi, żalony ton.

– Nie graj! – krzyknął Nawiślak. – Zaraz dostaniesz się zaprawić, ale nie graj. Pochowali-  
śmy dziś Benka.

Czarna Ninka westchnęła ciężko. Kulawy harmonista przymrużył oczy.

– Znałem, znałem – powiedział płacząco. Podsunął im swoją szklaneczkę i szepnął jakby do siebie: – Przychodził tutaj często.

Basia kelnerka przyniosła wódkę, śledziowe sałatki i piwo. Z zaciekawieniem przyjrzała się czarnej Nince; zwróciła spojrzenie na Nawiślaka i lekko poruszyła głowę. Nawiślak przysunął swoje krzeselko do czarnej Ninki. Od początku już spodobała mu się ta dziewczyna. „Niezgorsza” – zatarł dłonie. Pochwalił gust Benka Kwiciarza.

Pierwsze wódki wychylili w milczeniu. Ninka wymawiała się od picia.

– Trzeba do końca. Wódki nie można zostawiać – powtarzał Nawiślak.

Chłopaki z kamienicy przytaknęli z powagą. Wiedzieli, o co mu chodzi. Todek poszperał w kieszeni, pod stołem przeliczył papierki.

– Stawiam następnego – oznajmił burkliwie. Marynarz i furman Satynowski dołożyli się do tego następnego litra.

– Dla pani kolorowa – zażądał Nawiślak. Basia kelnerka przyniosła ratafię. Czarna Ninka z torebki wyjęła lusterko, z uwagą obejrzała policzki, przypudrowała nos.

– Już czerwienieję – powiedziała. – Za dużo. Nie lubię tak ciągnąć, bo zaraz robię się czerwona. – Jednak wypila.

„Aby podać jej trochę gorzały – uznał Nawiślak – a później...” Oczy mu zabłyśły cygańsko, delikatnie pogładził ją po dłoni. Cofnęła rękę. Todek zachichotał złośliwie. Nawiślak przysunął się jeszcze bliżej i szeptał z ożywieniem. Wpatrzył się w karczek dziewczyny, widoczny w wycięciu sukienki, i pasemko czarnych falistych włosów.

Przy stole rozprawiano głośno. Pochlali już wszyscy porządnie. Nawiślak ocierał spoconą twarz, chciwie palił papierosy i mówił do Ninki nieustannie.

Nagle zauważył, że dziewczyna nie słucha go wcale, zapatrzona przed siebie. Zmarszczył czoło, odsunął się z krzeselkiem. Naprzeciw dziewczyny siedział Todek i też patrzył na nią. Nawiślak zacisnął palce na krawędzi stołu. Ogarnęła go złość. Ninka nie spuszczała spojrzenia z Todka, a nawet uśmiechała się nieznacznie. Nawiślak pochylił głowę. Pod stołem dojrzał nogę Todka wysuniętą daleko. Przygniatał łydkę dziewczyny. Nie drgnęła nawet. Todkowi żyły grubo wylazły na czoło, uniósł kieliszek i coś powiedział do niej, przekrzykując wrzawę.

Poprawiła włosy, palcem rozdzieliła na czole rzadką, śmieszna grzywkę i też podniosła swój kieliszek.

Nawiślak zgrzytnął zębami, chciał kopnąć Todka w ten nowy, błyszczący but. Ale tylko skrzywił usta dziwacznie, jakby ze smutkiem. „Lepszy ode mnie, lepszy” – pomyślał. Zaraz też twarz mu się rozpogodziła. „Widać lubi ona bykowatych – uznał – przecież Benek też był taki.” Przechylił się po pijacku, obwisły mu usta, włosy kosmykami dotykały stołu. Z tej sennej drętwoty wyrwał go donośny głos Todka. W zadziwieniu zamrugał powiekami.

– *Hankę!* – krzyczał Todek do harmonisty. – *Wal Hankę! Hankę!*

Kulawy poderwał się, nałożył szybko pasy i przesunął dłonią po klawiszach. Popłynęły dźwięki tej smutnej pieśni o miłości.

– „... Hanko, twe ciało słodko pręży się, wygina... Hanko, niechaj przemienie ból i gniew...” – zanucił Todek, twarz miał głupawą i łapczywie patrzył na czarną Ninke. – To moja piosenka – łokciem podparł brodę i uśmiechnął się radośnie. – Moja. Piękna!

– Ładna – przyświadczyła Ninka. – Bardzo ładna. Todek rozchylił usta.

„Lepszy ode mnie” – jeszcze raz pomyślał Nawiślak i uniósł szklaneczkę.

Pijmy – powiedział.

## SIELANKA

Wśród chłopaków z „Sielanki” najlepiej wyglądał Długi. Zwracał uwagę nie tylko wzrostem. Chodził niby to niedbale, jednak po cwaniacku jakoś, przekrzywił głowę i uważnie spoglądał spod przymrużonych powiek.

Gdy pierwszy raz po tej przerwie przyszedł tutaj, zatrzymał się w korytarzu i przyjrzał szatniarzom. „Sami nowi – pomyślał – kawał czasu nie byłem w mieście...” Pomacał w palcach zieloną miękką kotarę. – Fajna – mruknął zwracając twarz w kierunku szatni. Najstarszy z szatniarzy szeroko rozłożył ręce. Długi westchnął i odgarnął zasłonę.

Pierwsza sala „Sielanki” tonęła w nastrojowym półmroku. Tłoczno. Parkiet błyszczał ślisko. Długi ostrożnie stawiał stopy; skierował się na lewo i uśmiechnął z zadowoleniem. Bar na starym miejscu, tylko barmanka inna, ruda i przysadzista.

„Trzy lata. Trzy.” Długi rozstawił palce na szkle baru i przycisnął mocno. Zostały wilgotne, niknące powoli odciski. Z ostatniego wyroku siedział pełną trójkę, dopiero przed tygodniem wrócił do miasta. Ubrany był byle jak, w podniszczony brązowy garnitur, na kolanach występowały wypukłe, fałdziste wypchania. Zakotyła się lekko, po marynarsku rozstawił nogi i dokładnie obejrzał salę. Tam, przy parkiecie, siedziały dziewczyny, też patrzyły na niego. Te przy pierwszym stoliku: Hanka i Leniwa Iza, wyciągnęły szyje. Iza pogładziła majestatycznym ruchem jasne, puszyste włosy.

– Przystojniak – mruknęła.

– I taki jakby cwaniakowaty – dodała Hanka Artycha. Księżę Nocy, Rysiek, co miał wariackie papiery, również przyjrzał się Długiemu natarczywie.

Nagle Długi uniośł rękę i coś powiedział przekrzykując wrzawę. Dostrzegł Hiszpana, starego swego kumpla.

– Hiszpan! – powtarzał – Hiszpan! – Radością pojaśniała mu twarz.

– Ładny teraz – uznała Iza.

Hiszpan zerwał się z krzesła, ale Księżę Nocy przytrzymał go za rękaw.

– Co za jeden? – zapytał. Zmarszczył czoło i śmiesznie poruszył grubo nawisłymi brwiami.

– Urke! – wrzasnął Hiszpan. – Stary urke, mój kumpel... – Podbiegł do Długiego, mocno ścisnęli sobie dłonie. Zaciągnął do stolika.

Orkiestra zagrała akurat *Siwy włos*, ten, który walił w perkusję, twarz miał małpią, jakby znajomą. „Może któryś ze starych?” – Długi z zastanowieniem przygryzł wargę. Kiedy znalazł się bliżej, stwierdził, że to pomyłka.

– Skąd wyskoczyłeś? – dopytywał Hiszpan.

– Z Siedlec – odparł Długi.

– Ciężka ciurma, ciężka – zacmokał Hiszpan. Cieszył się bardzo, poklepywał Długiego i znajomym ruchem przyglądał równe prostokąciki baczków.

Księżę Nocy podstawił Długiemu krzesło.

– On mówi, żeś swojak – wskazał na Hiszpana, który przymrużył oko i napełnił kieliszki. Wypili. Księżę Nocy otarł bibułą usta.

– Przecież frajer tak nie wygląda! – wesoło parsknął Hiszpan. – Nie może tak wyglądać. – Znał dobrze Długiego. Razem mieszkali na Solcu w sąsiednich podwórzach. Kiedy Hiszpan zaczął chodzić do miasta, z Długiego był jeszcze kajtek, ale już zaczynał robić się cwaniakowaty. Przyglądali się teraz sobie uważnie.

– Nic się nie zmieniłeś – uznał Hiszpan – tylko jakby schudłeś, ale wiadomo... ciurma... A to nie przy mnie kłute – pochylił twarz nad przegubem dłoni Długiego. Oglądał kalendarzyk złodziejski z wschodzącym słońcem wolności u góry; w kalendarzyku wypisane były trzy cyfry: raz, dwa, trzy. – Parę ładnych lat – pokiwał głową Hiszpan – trzy wyroki.

– Trzy – powtórzył w zamyśleniu Książę Nocy. Potarł ucho, rozpogodził twarz. – U mnie już pięć.

– Twoje wyroki! Po miesiącu. Takie wyroki... – zarechotał Hiszpan.

Rysiek, zwany Księciem Nocy, zaklął i sięgnął po gorzałkę. Żle przełknął i ciężko zakaszczał w garść.

Orkiestra ciągnęła smutny refren, Lodek Kerman, łysawy zapiewajło, nachylił się do mikrofonu i wyciągnął ochryple: – „Pomyśl, miła, ile to już lat...”

– Tak, tak... na pewno nie frajer – zamruczał Książę Nocy – wzorki ma ładne, dobrze kłute. – Począł mocować się z rękawem koszuli, obnażył chude ramię. Zobaczyli czarno tatuowany wizerunek kobiety. – A dalej... – Książę szarpał koszulę. Z trzaskiem odleciał guzik. Wtedy przestał, zacisnął usta i zrobił swoją starą – dla nieznanomych groźną – minę. Wysunął do przodu krogulcze nosisko, twarz miał małą, trójkątną, z głęboką blizną wzdłuż policzka. – Pamiętaj, nie jesteś frajer, to pamiętaj – głos zniżył do tajemniczego świstu, przytrzymał Długiego za dłoń.

Długi odepchnął go silnie, oczy zmrużył w kłujące szparki.

– Daj mu gadać – Hiszpan przedzielił ich ręką. – To farmazonista, ale równy kumpel. Daj – prosił. Długi rozluźnił naprężone ciało.

– Trzeba zawsze jak wąż – mamrotał przestraszony nieco Książę. – Jak wąż. Czasem inaczej, ale przeważnie od tyłu nygusa i kosą go w plechy! – Zacisnął palce na widelcu, przeszył nim powietrze. Wyglądał błędnie, czarniawy, z błyszczącymi oczyma.

– Farmazonista. Duży farmazonista – przytaknął Długi. Razem z Hiszpanem wygodnie usadowili bełkoczącego Księcia na fotelu. Zaraz zachrapał, na brodę cienką nitką pociekła mu ślina.

– Za dużo chła. I od razu dostaje zajoba. – Hiszpan przyglądał zwichrzone, siwawe gdzieś tam włosy Księcia Nocy. Dziewczyny zebrały się teraz przy dwóch zsuniętych stolikach obok podwyższenia dla orkiestry. Iza Leniwa, najwyższa wśród nich, siedziała nieporuszona, piękna i ważna jak pani. Nieznacznie obróciła głowę i spojrzała na Długiego. Poprawiła włosy i jednocześnie z Hanką Artychą wypily po kieliszku pod pomarańczowy sok. Znow zerknęła tam do tyłu, gdzie siedzieli oni. Wtedy po raz pierwszy ich spojrzenia spotkały się, Długi widział ją dokładnie.

– Modelk – wycedził przez zaciśnięte zęby.

Hiszpan przytaknął, parsknął gardłowym śmiechem i dodał:

– Ale ważniaczka, za duża ważniaczka.

Długi jeszcze raz nieznacznie zerknął na dziewczynę. Oczy miała wielkie, nachalne. Na ślepo szukała czegoś w torebce, przypudrowała nos.

Inne dziewczyny przy tym stoliku rozprawiły wrzaskliwie, nisko pochylając głowy, lub też taksująco oglądały frajerków, których przybywało coraz więcej. A ona, ta Iza, siedziała obojętnie, wyniosła, i ciągle wytrzeszczała swoje wielkie niebieskie gały na Długiego.

Przygarbił się, dłonie ułożył równo na stoliku i oglądając paznokcie burknął do Hiszpana:

– Nigdy jej nie widziałem w mieście. A przecież wszystkie znałem – dodał po chwili. – Wszystkie.

– Bo ona od niedawna. Miała chłopca. Jednego takiego prywaciarza, i pękła mu w miasto – wyjaśniał Hiszpan. – Teraz pracuje na własną rękę – pisnął cienkim, złośliwym śmiechem. – Dlaczego? – rozłożył ręce. – Nie wiadomo. – Popatrzył na Izę i głośno zamlaskał grubymi czerwonymi wargami.

– Zdrowa – wymamrotał Długi.

– Co? – nie zrozumiał Hiszpan.

– Ano, te niektóre nowe dziwki zdrowe są – wyjaśnił niechętnie Długi.

– I charakterne – z ożywieniem przyświadczył Hiszpan. – Jak zarobią, to i pochlać przy nich można, a czasem też... – Klepnął Długiego w kolano. – Nie zginiesz tutaj!

Długi wdusił w popielniczkę papierosa i wyciągnął grzebień. Przyczesał krótkie jeszcze włosy.

– Ładne masz piórka, gęste – Hiszpan obejrzał go z boku. Sam też przyglądał swoje falujące, czarne jak sadza włosy.

„Nic się nie zmienił – Długiemu śmiechem drgnęły wargi. – Jak zawsze zachwała swoje kłaki.” – Okrył dłonią usta i powiedział z udanym podziwem:

– Twoje to dopiero porządne piórka. – Potem poszperał w kieszeniach, zaszeleścił czymś pod stołem. – Ile tu kosztuje ćwiartka? – zapytał z zafrasowaną miną.

Prawie równocześnie zawołali kelnera, pokazali mu na szkło.

\*

Miało się już ku końcowi. Sala opustoszała. Muzykanci porozpinali białe koszule i sennie kołysali się na krzesłach, ich twarze w świetle przyćmionych lamp pobłyskiwały tłusto. Noc była dziś właściwie kiepska. Tutejsi podrywacze nie mieli żadnego trafunku.

– Ani jednego frajera z sikorem – rozprawiał przy barze miodziak Ząbek. Jeszcze raz omiółł salę uważnym spojrzeniem.

Barmanka Marysia pokiwała współczująco głową.

– Większa dla mnie! – szczechnął Ząbek. Wsparł brodę łokciem, przed sobą miał porysowane, mdłe lustro.

W kącie, przy zielonych kotarach, krzątał się już zamiatacz, pobrzękiwał szuflą i śpiącym gościom nacierał z głupawym uśmiechem uszy.

Dziewczyny też nie miały lepiej. Pojedynczo, po dwie opuszczały lokal. Bez frajerów. Tylko Iza Leniwa poderwała jednego o wyglądzie buchaltera. Uchwycił ją mocno pod rękę, potem dłonią prześlizgiwał po biodrach. Odtrąciła go ze złością. Mały z wysuniętą usznię szczęką szedł za nią, pokrzykiwał błagalnie.

– Znalazła. Ona zawsze znajdzie – mruknął Hiszpan. Kierownik sali uśmiechnął się miękko.

– Iza jak bank – powiedział. – Zarobić da i sama dobrze zarobi.

Długi ręce splótł na kolanach, głęboko wsunął się w fotel. Zamiatacz podszedł do nich i oparł o stolik szuflę.

– Zamykamy. Dziękujemy – oznajmił cienko. Potrząsnął Księciem Nocy, który wyciągnął dłoń z zakrzywionymi jak szpony palcami. – Ech – zamruczał zamiatacz, w uśmiechu na jego rumianych chłopskich policzkach pojawiły się dołeczki. – Taki żeś zawsze uparty. – Z wolna nacierał odstające, z kępkami kłaków uszy Księcia Nocy.

– Pójdziem – rzeki Hiszpan – złapiem taryfę i skoczymy na dworzec.

Powlekli się z Długim do wyjścia. Szatniarze pozdrowili ich usznię. Hiszpan rozłożył ręce.

– Nic nie płacimy – powiedział chmurnie. – Ani feniga. – Dotknął kieszeni.

Noc była chłodna, z przyjemnością wdychali rześkie powietrze. Długi wyciągnął w górę rękę, przegiął się z rozkoszą.

- Gites, gites – szepnął.
- Gites? – zdziwił się Hiszpan.
- To moja pierwsza wódka na wolności – uroczyście wyjaśnił Długi.

Uliczne dziewczyny stały na tramwajowej wysepce rozkrzyczaną gromadką, jakiś pijany obchodził je poplątanym krokiem. Jedna z nich, w chustce, podstawiała mu zręcznie nogę – pijany upadł na jezdnię. Zabrzmiał donośny, chrypliwy śmiech dziewczyn.

- Zadowolone – syknął Hiszpan. – Z czego się cieszą? – Wzruszył ramionami.

Ten porządnie zaprawiony frajer wpadł im w ręce przy postoju taksówek.

– Pewnie do dworca – zagadał przyjaźnie. – Ja też... to może razem? – W świetle latarni skóra jego wypchanej brązowej teki błyszczała świeżo.

Hiszpan szturchnął Długiego w bok.

– Dlaczego nie – odpowiedział szybko. Zatrzymali małego opelka, szoferak chciał zagadać do nich, pokazał na dziwki, ale zauważywszy ściągniętą, chmurną twarz Hiszpana urwał w połowie słowa.

– Bo do domu wracać nie warto – głośno rozmyślał ten z teczką. – Nie warto... Zdałoby się jakąś doprawkę... – Wyciągnął dłoń, przedstawił się grzecznie.

Nazwisko swoje wymienił wyraźnie, ale nawet nie zwrócili uwagi. Hiszpan znów szturchnął Długiego i zamrugał znacząco. Długi poczuł niepokój i wytarł dłonie w oparcie. Jechali milcząc, frajer z teczką pogwizdywał jakąś znajomą melodię.

- Tira, tirara, tirara – zanucił.

– Ładne – pochwalił Hiszpan.

– Właśnie – rzekł ten frajer. – Bardzo melodyjne. Już zaczynało szarzeć. Wystąpiły ponure we mgle kontury domów. Za Żelazną tramwajarze pracowali na szynach, słyhać było twardy zgrzyt żelaza i pobłyskiwały czerwone latarenki.

Dziewczyny i tutaj stały gromadką, paliły w rękawach papierosy. Wysoki chłop w sztywnej okrągłej czapce objął jedną od tyłu. Odskoczyła, dała mu po karku. Wysoki zatoczył się na czerwoną latarnię. Światelko zamigotało w rzadkiej ciemności.

- Twoja miara, też taki długi – parsknął Hiszpan. Ten z teczką chrząknął uprzejmie.

– Dworzec! – Szoferak przyhamował z fantazją przed zieloną pobiedą. – Najlepsza meta.

– „Meta”... też słowo. – Ten z teczką wyciągnął portfel. – Ale właściwie dobrze... „meta” – powtórzył.

Pochyleni podpatrywali uważnie, jak wyciągał pieniądze. Dostrzegli parę czerwonych papierków i jeszcze coś głębiej, jakby brunatne.

„Burasek, burasek” – Hiszpan poruszył wargami. Niżej nasunął czapkę, ukrył pod daszkiem rozbiegane oczy.

Długi uczył napięcie podskakujące do gardła.

„A co w teczce? – myślał – co w teczce?” Była brązowa, nowiutka i wypchana. Zacisnął pięści.

Znaleźli się w wielkiej, mdło oświetlonej i pełnej dymu hali dworca. Ogarnęło ich duszne ciepło, słyhać było monotonne poświstywanie wielu śpiących. Drzemali pokotem przy ścianach, wtuleni między toboły, kołysząc raz po raz opadającymi głowami. Przy kiosku ktoś komuś oblał piwem płaszcz; błysnęły złowrogo okulary na ostrym nosie. Wrzask dziecka, nagły i przenikliwy, przebił ten równy mrukliwy gwar. W korytarzu podmiejskiej poczekalni było mroczno i bardziej duszno. Lampy przebijały słabym światłem przez dym i kurz. Szli powolutku, Hiszpan przyjaźnie ujął tego z teczką pod ramię. Rudawy włóczęga odprowadził ich zdziwionym spojrzeniem. Przetarł kułakiem oczy i mruknął coś do siwej, obrzękłej starowiny, przykulonej na okiennym parapecie.

- Ano, ano – zagderała, wyżej naciągnęła kołnierz.

– Pst – syknął Rudy. – Pst.

Długi posłyszał ich szepty, pogroził za plecami pięścią.



Ten z teczką rozprawiał z ożywieniem, Hiszpan potakiwał nieustannie. Długi zgubił ich gadaninę, wirowało mu trochę przed oczyma i z trudem rozpoznawał w tych czerwonych tańczących plamach ludzkie twarze.

„Jestem zaprawiony” – pomyślał z niepokojem. Obciągnął marynarkę i wyprostował plecy, jakby strząsając zdradziecki ciężar gołdy. Grzecznie puścił przodem tego frajera z teczką. W skrzypienie drzwi wplótł się urywany szept Hiszpana:

– Trza podlać go trochę porterm i jakimś wińskiem. Długi zacisnął szczęki, znów zamigotała mu przed oczyma nowiutka, wypchana teczka. Oparli się o lepki blat bufetu.

– Porterki, tylko porterki. – Hiszpan pogładził bufetową po białej, piegowatej dłoni.

– Znaczy... portrety. – Ten z teczką zgodnie pokiwał głową.

Czarniawy doliniarz Plebaniaczek dostrzegł ich z daleka, poprawił czapkę i przeskoczył przez dwie śpiące dziewczuchy.

Hiszpan odstawił porterową butelkę i uczynił krótki, tajemny ruch ręką. Plebaniaczek zrozumiał, nie podszedł do nich. Usiadł na becze po piwie, skrzyżował nogi i zapadł w nagłą drzemkę. Uważał jednak na nich. Niekiedy jego wzrok przenikliwy i jakby zawistny zatrzymywał się na nowiutkiej teczce tego ich frajera. Pili dużymi haustami, pogadywali od niechcienia, Hiszpan zamówił wino. Ten z teczką ziewnął szeroko, ujął w dłonie głowę i czknął w pusty kufel.

„Dojrzewa” – ucieszył się Długi.

Tamten zaś przymknął oczy i jeszcze raz czknął potężnie.

„Już, już.” Napięcie ścisnęło gardło Długiego. Chciwie wysączył resztkę porteru, opuścił ciężko powieki, spojrzenie miał kłujące, bardzo uporczywe. Powoli, nieznacznie ujął tę brązową teczkę za pasek, chwycił mocno, zacisnął palce. Brązowa nowiutka skóra zamigotała przed oczyma. Odsunął się ostrożnie i przygarbił nieco. Począł odchodzić ciężkim, niedbałym krokiem. Wsunął teczkę pod pachę. Wtedy uderzył go nagle w plecy czyjś piskliwy głos. Zadygotał. „Dyla do korytarza, tylko do korytarza, a wtedy pękne.” Znowu posłyszał ów piskliwy głos.

Przy drzwiach dognał go Hiszpan. Dyszał ciężko, złapał za klapy. Ten frajer też podbiegł i głupawo rozchylił usta.

– Dawaj, ty, ty! – Hiszpan wyszarpnął mu teczkę, śpiesznie wręczył tamtemu. – Spił się... spił – powtarzał. – A on, jak zaprawi, to zgrywus z niego i wariat wielki. Zupełny wariat – spróbował zażartować. Twardą jak drewno dłonią poklepał Długiego po karku. – Ty zgrywusie, ty – wycedził przez zęby.

Znaleźli się w mrocznym od dymu korytarzu podmiejskiej poczekalni. Przy bagażowni, wśród gromady podróżnych, zgubili tego frajera z teczką. Wbiegli do klozetu. Przystanęli przed śmierdzącym ściekiem.

– Trąbo, trąbo! – Hiszpan sczerwieniał, szarpnął rozporek. – Za szybkiś – dorzucił łagodniej, zobaczywszy smutną, bezradną twarz Długiego. – Byłaby wpadka, a i straciliśmy dobry zarobek – narzekał. – Cała noc bez fartu.

– Nie mogłem wytrzymać – wymamrotał Długi. Zadarł głowę, spoglądał w sufit. – Nie mogłem i wziąłem tę kurewską teczkę. – Widział na suficie faliste linie spękanego tynku i ciemne zacieki.

– Ty zawsze nie masz fartu. – Hiszpan wzruszył ramionami. – Przedtem też nie. Zawsze za szybko. – Prztyknął dziwacznie palcami i podszedł do klozetowego dziadka. Uścisnęli sobie dłonie. Dziadek poczęstował go papierosem. – Zarobić można tylko sposobem – rzekł Hiszpan. – Sposobem. A nie tak na chama.

Pewnie – przytaknął dziadek.

\*

Długi wyszedł przed bramę. Rozglądał się poziewając. Było chłodno, od Wisły szedł przenikliwy powiew. Dziś po raz pierwszy od trzech dni wyszedł na ulicę. Właściwie też nie z własnej chęci, ale Łysa Ciota, u której mieszkał, spoglądała już na niego nieprzyjaźnie, zaczęła narzekać na brak forsy.

Zdjął czapkę z gwoździa i powiedział mrukliwie:

– Pójdę, przelecę się...

– No chiba – rozpogodziła twarz Łysa Ciota – dzień ładny, a też... – wlepila weń chytre, wredne oczy.

Trzasnął drzwiami. Jeszcze na schodach, odwróciwszy głowę, zobaczył jej ruchliwy cień w uchylonych drzwiach. Przeskakiwał po trzy schodki. Dopiero w bramie zatrzymał się. Był zły. Myślał ze wstydem o swoim farcie. „Tak jak wtedy. Tak jak wtedy” – przypominał posępnie.

Bo właśnie wtedy, przed trzema laty, też fartu nie miał. Wpadł głupio, z własnej winy – pośpieszył się w robocie i miał klops. – Fart – szepnął. Zmarszczył czoło, jakby jeszcze coś sobie przypomniał.

Na ulicy chłodny wiatr bił w twarz. Postawił kołnierz i wtulił głowę w ramiona. Zza rogu Książęcej posłyszał tupot kroków. Ktoś biegł. Zobaczył Hiszpana. Chciał cofnąć się do bramy, ale tamten zamachał doń ręką.

– Sie masz – powiedział przyjaźnie.

Długi odburknął i poczuł gorąco oblewające uszy. Czujnie spojrzął w twarz Hiszpana, lecz prócz radosnego uśmiechu nic w niej nie zobaczył.

– Wieje – mruknął i okręcił się drelichowym płaszczem.

– Co z tobą? – dopytywał Hiszpan. – Nie widać cię w mieście. Chyba ze trzy dni... Długi zacisnął usta.

– Rozumiem, rozumiem. – Hiszpan wyciągnął papierosy. – Po odsiadce chce się zawsze trochę odpocząć, wykimać porządnie. Ja sam też. Musowo.

– Siedziałem w chacie – przytaknął Długi. Nie przyjął papierosa i postanowił odejść.

– A w mieście ostatnio nieźle, nawet zupełnie nieźle. – Hiszpan obmacał kieszeń, z ukosa zerknął na Długiego. – Trafiłem parę złotych.

Długi odwrócił się i zapatrzył w wylot ulicy. Widać tam było parkowe drzewa o smutnych, pożółkłych koronach.

– Nie przejmuj się – Hiszpan pociągnął go za rękaw. – Rozmaicie bywa. Co będziem tak stać – mruknął. – Pójdziemy.

Poszli na metę do Lewandowskich. W czerwonej, z utraconym balkonem ruderze znajdowała się najlepsza tutaj na Dole meta.

– Najlepsza – zachwalał Hiszpan – zresztą sam wiesz... Tak jak dawniej. Chcesz gorzałki, dostaniesz, pograsz w sztory i dziewczynę zawsze możesz sprowadzić, przekimasz się z nią jak u siebie. Gut meta – gadał wesoło, jak nakręcony.

W ciasnym korytarzu zalatywało stęchlizną. Zapukali.

Lewandowska otworzyła drzwi.

– Sąsiedzi... – Ostrożnie, prawie niesłyszalnie przekręciła klucz w zamku.

Z kuchni dochodził gwar rozmów, ktoś kłął wymyślnie.

– Kapują – szepnęła Lewandowska. – Najwięcej Paciorkowa – dodała. – Stara szmata. Przez złość. – Twarz miała dość młodą, ale na policzkach obciągniętą żółtą jak pergamin skórą, z licznymi zmarszczkami układającymi się w symetryczne wzory. Obejrzała ich uważnie. Hiszpana szczyptała pod brodę.

– Trafionyś. A dużo? – odkryła od razu. I nie czekając na odpowiedź, przyjrzała się Długiemu. – Ciebie to skądsisź znam.

„Poznała” – ucieszył się Długi i pocałował babę w rękę.

– Idźcie do kuchni – popchnęła ich. – Dziś w kuchni jest gra. – Poklepała się po wypukłym brzuchu. Szerokobiodra, o mądrej twarzy baba.

– Pani to jeszcze tego – zażartował Hiszpan.

– Nie z tobą – burknęła.

Przy kuchennym, przykrytym ceratą stole siedzieli: Lolo, Wygibus i Karaluch, stare złodziejachy z Dołu.

– Mój bank – warknął poczerwieniały, zły Karaluch. Pociągnął jeszcze jedną kartę. Przeliczał, poślinił palec i ułożył karty w półkolisty wachlarz.

– Oko? – zaciekawiał się Hiszpan.

Karaluch opuścił dłoń, karty sypnęły się po ceracie.

– Fura! – powiedział radośnie Lolo. Szerokim ruchem zgarnął pieniądze; zebrał już przed sobą sporą kupę pomiętych papierków. Były tam piątki, dwudziestki i parę czerwonych.

– Poznałem, poznałem – mruknął Wygibus do Długiego. – Aleś chłop, wtedy chyba byleś mniejszy – zadarł głowę.

Rzeczywiście. Długi w tej ciasnej kuchence wyglądał niczym olbrzym.

Lolo, który był wygrany, zapukał w ścianę. Za chwilę przyszła Lewandowska. Poprosił o wódkę.

– Ja stawiam – oznajmił dumnie. – I jeszcze postawię.

– Tylko pod serek. Dziś nie ma innej zakąski. – Kobieta dokładnie przeliczyła pieniądze.

Wygibus przetasował karty, wygładził zagięte, tłuste rogi.

– Ale sztory. Dużo gotówki już przeszło przez te sztory. – Zastanowił się.

– Szybciej – mruknął Karaluch i wystawił rozdygotaną dłoń.

– Pociągniem i my – rzekł Hiszpan. Długi przesunął taboret, usiadł przy kuchni.

– Jestem pusty – odezwał się niechętnie.

– Jak chcesz, to mogę ci parę złotych... – Hiszpan sięgnął do kieszeni.

Długi nie chciał. Przymknął oczy. Ktoś trącił go w ramię. Na kuchennym blacie postawili mu szklanekę gorzałki. Niewyraźnie słyszał głosy grających. „To Lolo” – odróżnił szczekliwy bas Lolka z Dobrej. „A to Hiszpan...” Potem nie znany mu głos, cienki i starczy. „Wygibus.” Pociągnął trochę wódki, zagryzł cuchnącym żółtym serem. Spojrzał na tych przy stole. Gra szła ze zmiennym szczęściem. Najbardziej jednak trafiał Lolo.

– Oko! – pokrzykiwał. – Oko!

– Pokaż – Karaluch uważnie sprawdzał jego karty, odkładał w milczeniu i twarz mu posępniała.

Hiszpan grą się nie przejmował, niedbale w dwóch palcach trzymał karty, pogwizdywał *Cichą wodę*.

„Panisko, panisko” – pomyślał Długi. Widział go z profilu:

kędzierzawy prostokątny baczek, wywalone wargi i czarna szczcę na brodzie. Wargi drżały, Hiszpan obliczał karty.

Znużyło Długiego to patrzenie. Podeszedł do okna i zabębnił w szybę. Na zewnątrz zalegała już granatowa ciemność. Trochę czarniejsze od wszystkiego kontury parkowych drzew falowały w wietrze. Długi bębni! w szybę uporczywie, denerwująco; zagłuszył rozmowę grających. Gwałtownie podeszedł do stołu.

– Chodź – szturchnął Hiszpana w ramię. Lolo zgarnął pieniądze.

– Jestem trafiony – gwizdnął leciutko. Przeliczał, wygładzał i schował za pazuchę.

– Żeby tu z nami grał taki Waldek, to wszystkich by opitolił – rozległ się cichy głos Karalucha. – On jest najlepszy na Dole we wszystko. W numerki, sztos, baka, co chcesz. Wszystkich – zacisnął pięść.

– A tak to wziąłem ja – cieszył się Lolo.  
– Właśnie... aby nie ty – Karaluch utkwiał w nim zimne jak sztyleciki oczy. – Aby nie ty. – Pochylił się nad stołem, grzebał w kieszeniach. – I jeszcze mogę zagrać. – Rzucił na ceratę nikłowy płaski zegarek.  
– Ładny fant – ocenił Wygibus. Przetarł szkiełko i przyłożył do ucha. – Dobrze chodzi.  
Hiszpan z Długim zaraz wyszli z tej mety.  
– Oni coś mają do siebie – zastanowił się Hiszpan. – Ale co? Z tego może być młócka – mruzczał. – Tyle że Lolo chyba nie da się Karaluchowi. Młodszy.  
– Nie wiadomo, Karaluch ma swoje sposoby – rzekł Długi. Przypomniawszy sobie, jak kiedyś stary Karaluch kochał się z Saszką z Żelaznej. Złapał go za nos. I ciągnął, ciągnął. Nie puszczał. Saszka wrzeszczała wtedy płaczliwym głosem: – Rany boskie! Oberwie! Chłopaki, oberwie! – Działo się to przy Głównym. Rozdzielili ich. Saszka zwał od razu, trzymając się za nos.  
– Będzie heca. Musi być heca – skrzywił się Długi. Uliczka była pusta, w parku migotały światła latarń. Hiszpan zadarł głowę, patrzył w okna na pierwszym piętrze. Dwa jasne prostokąty.  
– Mają zdrowie do tych kart – westchnął – mają... Na rogu Księżęcej i Ludnej przystanęli. Hiszpan okręcił szalikiem szyję i przyglądał baczki. Twarz miał teraz w smudze jasności złą, jakby smutną.  
– Chyba skoczę do kobity – rozmyślał szeptem. – Mam chęć. Skoczę.  
Długi już miał odchodzić, gdy tamten przytrzymał go.  
– Spieszysz się w kimę?! – powiedział ze złością. Oparł się o słup, butem złościł błotnistą ziemię. – Jak chcesz – rzeki surowo – to mogę razem chodzić do miasta. Na spółkę.  
– Na spółkę – powtórzył Długi. Szeroko rozstawił nogi, jego cień wystąpił na chodniku, też długi, przy końcu roztopiony w ciemności.  
– Pewnie. Znamy się tyle lat, od szczawika jeszcze. A że ci wtedy nie wyszło – Hiszpan machnęła ręką. – Zdarza się. Zawsze. Ja sam też kiedyś...  
Odszedł bez pożegnania. Zaraz też zniknął w parkowej alejce. Wiatr zamiótł tumanem liści, szeleściły sucho jak grochovina. Długi wyciągnął zapalniczki, ruchliwy ogień ukrył w dłoniach i przypalił papierosa.

\*

Orkiestra pobrzękując instrumentami zasiadła na podwyższeniu. Czerwone ślepie lampek rzucały światło na parkiet.

– Zaczyna się wygib – zatarł ręce Hiszpan. Zawinał na palcach kędzierzawe baczki, pociągnął. Rozmyślał z ukrytą w dłoniach twarzą. Czekali wszyscy. Dziewczyny odwracały się nieznacznie i spoglądały na przybywających.

Eugeniusz, Zbyszek Cham i Ząbek, najcwańsi lokalowi podrywacze, siedzieli na wysokich stołkach i postukiwali w szkło baru. Kierownik sali tanecznie spacerował między stolikami. Też wyczekiwał, cwany tłusciuch.

Tylko Księżę Nocy, Rysiek, co miał wariackie papiery, już chyba pół godziny nachylał nad stolikiem dziewczyn spoconą twarzą.

– Izuńka – mówił błagalnie. – Izuńka... – Wpatrzył się w karafkę, przeniósł wzrok na Izę Leniwą.

Była nieporuszona, wyniosła. Począł wzdychać śmiesznie. Hanka Artycha wyjęła zza biustonosza pomiętą czerwoną papierkę. Wygladziła na dłoni.

– Masz, zapraw się – wsunęła Księżu Nocy do kieszeni. Skłonił się nisko i pobiegł do baru.

– Ten Rysiek to on żyje z dziwek. – Hiszpan wzruszył ramionami. – Udaje wielkie szuruburu, a właściwie tylko z dziwek żyje. I dają mu – zdziwił się. – Ani już taki przystojniak,

wyniszczony i wariat. Największy ma fart u Hanki Artychy – podniósł głos, przekrzykiwał rżnącą do słuchu orkiestrę.

Długi gapił się na Izę, nie słuchał. Uśmiechnęła się miękko. Spochmurniał, wygładził obrus i począł uważnie przysłuchiwać się rozmowie. Kulawy Fredek, paser z bazaru, napełnił kieliszki.

– Ładne one i ważne – wyszczerzył srebrne zęby – ale aby mieć tylko parę złotych... to każdą... każdą – powtórzył z naciskiem. – Nie ma takiej, co by nie chciała.

Iza Leniwa przysunęła się do Hanki, poszeptały ze śmiechem.

„Zatańczyć – pomyślał Długi – zatańczyć. Chyba nie odmówi.” Wsłuchał się w muzykę, lecz był to jeszcze ten kawałek nie do tańca.

– Cholernie ciągną – powiedział ze złością. Od szatni szło przez salę rozbawione towarzystwo. Trzech starszych facetów i bardzo czarna, farbowana kobieta. Szukali miejsca. Jurek kelner podbiegł do nich i skłonił się grzecznie.

– Kupa frajerstwa, duża kupa. Może coś z tego... – Hiszpan klepnął Długiego po kolanie.

Ten minę miał głupawą, zamrugał powiekami.

– Coś ty taki? – zdziwił się Hiszpan.

Długi napełnił kieliszki. Wypili. Orkiestra zagrała kawałek do tańca. Kilka par wybiegło równocześnie na parkiet. Ale Długi nie ruszył się z krzesła, tylko kącikiem oka spoglądał na Leniwą Izę.

– Jeden już odpadł – szepnął.

Ten w szarym garniturze, o wyglądzie handlika z bazaru, prosi! jeszcze, gestykulował wymownie. Plecy Izy Leniwej pozostały nieruchome, krótkim ruchem odgarnęła włosy. Widział Długi doskonale.

– Mądralka – cmoknął Hiszpan. – Szuka lepszego. Potem odmówiła drugiemu. Młody chłopak, na pewno cwaniaczek.

– Ten znów pusty! Bez grosza! A podskakuje – uznał Hiszpan.

– Z nikim nie zatańczyła – ucieszył się Długi. – Z nikim. Pod światło obejrzał karafkę, mrugnął do Hiszpana. – Zrobiłbyś jeszcze jakąś ćwierć albo pół...

– Zaprawimy później – rzeki Hiszpan. – Teraz podskoczmy do baru. Każdy na swoją grabę. I trzeba kogoś doklepać. Tylko pamiętaj – mocno ścisnął łokieć Długiego – nie szybko. Powolutku. Jak już dobrze zaprawiony, to ciągnij mu skórę albo spinaj zegarek. Tylko powolutku, nie nerwowo.

Było już tłoczno, wszystkie stoliki zajęte, a patrząc po gębach wokoło, można było mieć pewność, że dużo jest tutaj nadzianych nie byle jaką forszą nygusów.

Jurek kelner uśmiechnął się porozumiewawczo.

Długi przeszedł obok stolika dziewczyn. Zaciśnął szczęki i minę zrobił obojętną, chmurną. Iza spoglądała za nim. Znalazł wolne miejsce na skraju baru.

– „Złociste włoski...” – zanucił fałszywie. W lustrze naprzeciw odbijała się jego twarz, zniekształcona przez zmienne błyski światła. W samym krańcu lustra widział rozpartego Hiszpana, a dalej czyjeś siwe włosy i czerwoną szyję. Hiszpan wznosił wysoko rękę, pomachiwał nad siwą głową. „Pracuje na numer” – skrzywił się Długi. Spojrzał po bokach. Pijany w wytartej skórze rozchybotaną dłonią rozlewał piwo. Próbował unieść kufel.

– Postaw. Poczekaj. Odpoczniesz, wypijesz – warczała barmanka.

– Nie mogę, muszę – wytarta skóra zakołysała się na stołku. Próbował oprzeć nogi na poręcz, ale opadały ciężko. Barmanka usunęła mu spod łokcia kufel i zachichotała ostrym, nieprzyjemnym głosem.

„Wstrętna ździra.” – Długi po pańsku strzelił z palców. – Mała dla mnie! – zawołał.

Nim wypił, ktoś trącił go lekko w plecy. Obrócił się gwałtownie. To była Leniwa Iza.

– Posuń się – odepchnęła go trochę i usiadła na brzegu wysokiego stołka. – Już trochę cię znam – powiedziała szeptem. – Chodzisz z chłopakami w pace.

Pokiwał głową, naprężony, z zaciśniętymi palcami.

- Skąd jesteś?
- Z Dołu – wymamrotał.
- Wszyscy są z Dołu – Leniwa Iza natrętnie zajrzała mu w twarz. – Hiszpan, Lolo, Wygi-bus, cała nabojka – skrzywiła dziwacznie twarz.
- „Zgrywa się” – pomyślał.
- Ten w wytartej skórze znieruchomiał, wytrzeszczył oczy.
- Jaka piękna – załkał nagle.
- Długi pchnął go kułakiem w pierś. Nie bronił się, zabełkotał i zwisł nad barem. Długi pa-trzył na niego, twarz miał złą, wreszcie wzruszył ramionami.
- Miałabyś frajera – spróbował zażartować. – W skórze. Jakby z forsą... – Ogarnęło go zmieszanie, przymknął oczy.
- A z kim chodzisz w parze? – posłyszał jej głos.
- Z Hiszpanem – burknął.
- Znam, znam – odwróciła popielniczkę do góry dnem. Gdy znów spojrział na nią, przecze-sywała starannie włosy w lustrze.
- W tym lustrze każda maska jest straszna – powiedział z niejakim zadowoleniem. Też się przejrzał i przyglądał włosy. Z tyłu dobiegały dźwięki muzyki, gwar pijanych głosów.
- Sam tak zaprawiasz? – Iza ostrożnie poruszyła pustym kieliszkiem. – Sam?
- Możemy razem. – Skinął na barmankę. Wypiła chętnie.
- Mam smak dzisiaj, ale doprawić możemy przy moim stoliku.
- Nie chciał, ale gdy wzięła go za rękę, poszedł posłusznie za nią. Siedziała tam Hanka Ar-tycha.
- To ten przystojniak – powiedziała śpiewnie. – Pamiętam.
- Długi po męsku ścisnął jej dłoń.
- Boli – pisnęła z przymilnym uśmiechem. – Będiesz z nim kręcić? – dopytywała Izy.
- Przystojniak to może on nie jest – wolno mówiła Iza – ale taki jakiś.
- Hanka osłoniła oczy przed jaskrawym światłem lamp i spojrziała na Długiego z rozważą.
- Niekiepski – wyszczerzyła zęby. „Robią barana – pomyślał Długi. – Albo...” Gwałtownie odsunął od siebie napełniony już kieliszek.
- To wszystko jest głupia mowa – jego głos brzmiał głucho – frajerska mowa...
- Jakiś facet poprosił Hankę Artychę do tańca. Iza obejrzała się za nimi.
- Chcę jechać z tobą na metę. – Długi widział jej gęste, faliste na ramionach włosy. – To jest dobra meta – dodał posepnie. Wyczekiwał na odpowiedź: śmiech, drwinę.
- Iza Leniwa starannie szminkowała usta, przejechała językiem po jaskrawej czerwoności. Długi zacisnął szczęki.
- Misiuńki moje – powiedziała wtedy dziewczyna miękkim głosem. – Misiuńki, wielkie, blondasowate. Czekałam na takiego. – Spróbowała pogłodzić go po policzku, lecz siedział odchylony do tyłu i nie dostała dłonią.
- „Zaprawiona” – pomyślał przez chwilę. Ale jej oczy były trzeźwe – wielkie i niebieskie. Teraz wiedział, że pójdzie.
- Chodź – wykrztusił. Wstali, podał jej torebkę. Przy parkiecie zatrzymała się jeszcze.
- Patrz – pociągnęła go za rękaw. – Ale ona, ta Hanka, tańczy. Tym kuprem zawija. – Uważnie obejrzała tańczące pary. – Wszyscy kiepsko – wyduła usta.
- Chodź – powtórzył.
- Do szatni odprowadziła ich jazgotliwa, pełna brzęku grzechotek muzyka. Kilku mężczyzn spod baru obejrzało się równocześnie. Ktoś westchnął. Hiszpan zmarszczył czoło, nagle wrzasnął złym głosem:
- Szefowo, jedna większa!
- Barmanka Marysia nałapała mu po znajomości pełną lufę.

\*

Wiatr hałasował w koronach drzew, opadały liście. Zebrali się przy pierwszej ławce od Książęcej.

– Koniecznie trzeba parę złotych, koniecznie. – Karaluch zaszurał stopami. Liście pożółkłe, spęczniałe wilgocią szeleściły miękko.

– Jesień – powiedział Długi.

– Jesienią najlepszy w knajpach fart. – Hiszpan wzruszył ramionami.

„Dwunasty dzień” – myślał Długi. Rozstawiał palce jednej dłoni, drugiej. Przypatrzył się uważnie. „Dwunasty dzień na wolności.” Uśmiechnął się radośnie. – Co? – spytał Hiszpana. Lecz ten milczał wrogo i uważnie przypalał papierosa.

– Ja tam zawsze swoją dniówkę uskubię – roześmiał się Plebaniaczek, doliniarz.

– Ech, twoja dniówka, wielki kusz – pogardliwie rzekł Wygibus.

– Zawsze na gorzałkę i szkapę wystarczy. I dziś też mam na flaszkę. – Chuderlawy Plebaniaczek pogrzebał w kieszeniach. – A jak dołożycie, to można zrobić więcej. – Wyglądził zielony banknot, złożył w kwadracik.

Milczeli. Nikt ubiegłej nocy nie trafił ani grosza. Karaluch z uporem żłobił butem ziemię, ubłocone liście oklejały obcas.

– Daj – mruknął Wygibus. Wziął równy zielony kwadracik. Poszedł do monopolowego.

Gdzieś bardzo daleko rozległ się ostry głos, i znów cisza. Tylko wiatr hałasował w koronach drzew. Wiatr był lodowaty, przenikliwy.

– Na Wiśle teraz ziąb – Długi zadrżał, podniósł kołnierz płaszcza, a jego twarz rozjaśnił uśmiech.

– Po litrze byłoby ciepło. Tylko skąd litr? – powiedział Plebaniaczek, doliniarz.

Hiszpan głębiej nacisnął samodzielną sztywną czapkę.

– Z tobą to tak zawsze. Nigdy nie wiadomo. I jeszcze się cieszysz – złe, przekrwione oczy utkwiał w Długim. – A było wczoraj frajerstwa. Tylko sam nie mogłem.

Długi nie odpowiedział.

– Ale przynajmniej poszedł z najlepszą sztuką – wtrącił Plebaniaczek. – Z Izunią. Widziałem... – Poklepał się małą, suchą rączką po kolanie.

– Ja w ogóle bym z Długim nie poszedł na żaden zarobek. On nie ma fartu i nie umie – warknął Karaluch. Długi opuścił powieki, ogarnęła go złość.

– Nie kłóćta się. – Hiszpan przedzielił ich ręką. Ten stary, siwy, z bulwiastym nosem Karaluch burknął coś niezrozumiale i odsunął się za ławkę.

Zobaczyli Wygibusa, jak podrygującym, niezgrabnym krokiem zmierzał ku nim pośpiesznie.

– Zaraz zaprawimy – rzekł pojednawczo Karaluch.

– Ja tam nie zaprawiam. – Długi odsunął Plebaniaczka i starannie zapiął płaszcz. Zwrócił twarz do Hiszpana. – Do niej lecę – wycedził. – Do niej. – Zobaczył ich gęby, zdziwione, głupawe. Przeskoczył kałużę. „Niech wiedzą” – pomyślał.

\*

„Klimek” był przepelniony. Wszyscy walczyli o miejsca przy stołach, wysoko unosząc szklaneczki z wódką. Temu w tramwajarskiej czapce wytracono spodeczek z sałatką.

Ponad gwar wzbił się jego wściekły wrzask. Wraz z parą uchodzącą z kuchni ogarniał zapach flakowych przypraw.

– Ostatnie z pulpetami! – krzyknęła szefowa, pokazując w okienku zmęczoną, błyszczącą twarz. Za jej plecami widać było okopcone kafelki ściany. Gromada przy bufecie zafalowała i zbiła się w ciasny kłęb.

– W kolejności! W kolejności! – powtarzano gniewnie. – Nie podawać z boku!

Bolek z Sosnowca, przykulony w toalecie, prześliznął się spojrzeniem po półkach pod stołami. Coś zobaczył i długo przewiązywał sznurowadło.

– Pracujesz? – zachichotał Wygibus.

– Nic nie ma. Same czapki – westchnął Bolek z Sosnowca. Obejrzał rząd butelek nad wystawą, twarz mu pojaśniała.

– I czapki też powinienes. Jedna, dwie, trzy i już parę złotych – radził Wygibus.

– E tam. Czapki mała rzecz, a można porządnie wpaść – zaprzeczył Bolek.

Za bufetem z brzękiem poleciało szkło.

– Gołda – Wygibus pociągnął nosem.

– Gołda, gołda. Wpierw trzeba zarobić – obruszył się Bolek. Gwałtownie wlaź między kilku zagadanych w kombinezonach.

– Przepraszam, ja tylko piwo, przepraszam – wilczo błysnęły mu zęby. Obmacał kieszenie dwóch w kombinezonach, ale nic tam nie znalazł.

Goryl, siła od wypraszania, powiódł za Bolkiem złym spojrzeniem.

– Za nachalny, trza go będzie za oszwy i won – wykonał szeroki ruch w stronę drzwi.

Ci spod kina uśmiechnęli się przymilnie.

– Ma rację. Ani to złodziej, ani farmazon. Popapraniec – rzekł Sztajer.

– No, jasne, złodzieja zawsze uszanuję – ucieszył się Goryl. Wyciągnął papierosy.

– Palta – częstował – amerykany. Doszedł go ostry głos bufetowej Anielci, więc stanął na palcach i spoglądał w pijany, falujący kłęb przy ladzie.

Hiszpan z Długim zatrzymali się w drzwiach i grzecznie przepuścili młodego, o wyłysiałym czole faceta. Za nimi, w czarnym prostokącie ulicy, drobno ciekły strużki deszczu.

– Właściwie to nie lubię wódki, wołę wino – uśmiechnął się dziecinnie ów facet.

– Można i winem – przyświadczył Hiszpan – ale po gorzałce lepiej wychodzi z dziewczynami.

– Dorwali frajera – szepnął Goryl i zatrzaskał drzwi.

– Z dziewczynami lepiej się nie cackać. Twardo. I dlatego po gorzałce lepiej wychodzi – basowo tłumaczy! Hiszpan.

– Właściwie... – ten wyłysiały szczerwieniał śmiesznymi plamami przy nosie, wytarł się chusteczką.

Hiszpan klepnął go po plecach i ruszył do bufetu. Był zadowolony, muskał kędzierzawe baczki, nisko skłonił się pani Anielci.

Tego nieśmiałego faceta spotkali z Długim na ulicy. Rozglądał się za dziwkami, ale robił to tak wstydliwie, że żadna nawet nie domyśliła się, o co mu chodzi. Stał za budką, wyciągał szyję... Podeszli do niego.

– Takie uliczne najgorsze. Mogą zarazić – zagadał wtedy Hiszpan.

Ów facet podniósł kołnierz – był niestary, o naiwnej, płochliwej twarzy – chciał odejść, lecz Hiszpan chwycił go pod ramię. Nachalnie począł opowiadać o swoich różnych z babami sprawach. Wreszcie zaprosił na inne dziewczynki.

– Znam czyściutkie, ładne znam – przymrużył oko. – A pan, panie kolego, taki jakiś równy. Lubie równych kumplów – rzekł z naciskiem. – Parę wódek na ryzyko i pojedziemy do nich, na Mokotów. Przy Belgijskiej mieszkają. Same. – Trącił Długiego i przydeptał mu but. Ale Długi i tak już wiedział, o co mu chodzi. Szło się zawsze Belgijską schodkami, w działkowe ogródki. Drożyna między płótkami prowadziła do spalonego domku. Tam frajera łbem i pod obcasy. Na dodatek przed „Klimkiem”, w świetle lampy znad drzwi, zobaczył Hiszpan u tego łysawego zegarek na rękę. Ładny. Żółty. „Zegarek, parę złotych” – ucieszył się.



– Trzy duże – poprosił panią Anielcię. Gwar w knajpie wzmagął się. Ci przy stołach kołysali się bezwładnie. Najbardziej zmęczeni opadali w talerze z resztkami gorących dań. Na pierwszym stole przewróciła się butelka z piwem, żółty płyn moczył opadłe włosy śpiących.

Goryl już nikogo nie wpuszczał do wnętrza. Uchyłał tylko drzwi i powtarzał donośnie: – Komplet! Komplet! – Czasem, gdy zauważył swojacką twarz, szerzej otwierał drzwi, wciągał znajomka i mruczał: – Właż, szybko.

Znaleźli miejsce w kącie przy kuchennym okienku. Wilgotna para ogarniała ich od tyłu. Wypili wódkę, zakąsili śledziem. Długi dopiero teraz dokładnie obejrzał tego frajera. Oczy lekko wylupiate, pić nie umiał, z szacunkiem potakiwał Hiszpanowi.

„W moim wieku” – pomyślał Długi. Zdziwiło go trochę, że już tak porządnie podłysiały.

– Pan to chyba pierwszy raz na kobity – zachichotał Hiszpan.

Tamten nie odpowiedział, niezgrabnie wyciągał ości ze śledzia.

– Może jeszcze po większej – szepnął. Prychnął śmiesznie.

„Naprawdę prawiczek – Długi skrzywił twarz – zupełny prawiczek.”

– A te kobietki są niezłe – rozprawiał Hiszpan. – Mieszkanko. Gaz. Ciepła woda. I czyste. Wcale nie szmaty. Dopiero od niedawna.

Ten łysawy słuchał uważnie, postukiwał w szklanke. „Tabaka, na taki numer się bierze” – Długi jeszcze raz obejrzał go spod oka.

– Pojedziemy tam? – zapytał ten frajer.

– Możemy. Tylko parę złotych. My dziś... – Hiszpan rozłożył ręce i zmarszczył we frasunku twarz.

– Mam, mam – tamten śpiesznie sięgnął do kieszeni.

– Nie trzeba. To na miejscu im się da... – Hiszpan przytrzymał go za dłoń. Frajer zamyslił się.

– Właściwie – wyznał – na takie wyprawy to ja nieczęsto. – Wódka brała go szybko, zmętniały mu wylupiate oczy, naiwne, jakby płochliwe. – Niesłychanie rzadko – podkreślił. – Dużo czasu praca pochłania. Ciągle w terenie. Jestem geodetą – dodał nie bez dumy.

– Geodeta, geodeta – głośno zastanawiał się Długi – wiem.

Hiszpan zakrył usta i wybałuszył oczy. Twarz kurczył w uśmiechu.

– Najlepiej jakąś stałą dziewczynę mieć. Ja też rozglądam się – wybełkotał.

Ten geodeta wyraźnie posmutniał – począł poprawiać pomięty, w wielką bulę zawiązany krawat.

– To może już? – zapytał po chwili. Skierowali się do wyjścia.

– Dobranoc państwu! – Goryl z rozmachem otworzył drzwi. Mrugnął szelmowsko do Długiego.

– Portfel ma w prawym karmanie, w prawym! – ogarnął Długiego gorący szept Hiszpana.

– I sikor – kułakiem pchnął go do przodu – żółty sikor!

Na jezdni błyszczały kałuże. Deszcz przestał padać. Ulica wyglądała jak przepaścisty wąż wśród kamienic. Ten ostatni spaleniak przybrał w ciemności kształt dziwaczny i groźny.

– A teraz jakiś wózek i na Belgijską – powiedział Hiszpan.

Zatrzymali taksówkę.

– Więc powiadacie, panowie, że niezłe są – geodeta niezgrabnie szarpał drzwiczki samochodu.

– Nie tak – warknął Długi. Odsunął go i sam otworzył.

– Niezłe, niezłe – przytaknął Hiszpan. Twarz miał skrzywioną, napiętą.

Długi przymknął oczy, chciwie palił papierosa. Niespodzianie ogarnęła go pewność, że ten młody frajer patrzy nań uporczywie. Uniósł powieki. Ale geodeta głowę miał wysuniętą do przodu. Hiszpan gadał z kierowcą.

– Fletmasterek – słyszał Długi – piękny wóz. A mercedes model 57 to dorsz. Biuk też, sto jak po maśle i jeszcze więcej.

– A w tym gracie to nawet popielniczki nie ma – powiedział ze złością Długi. Otworzył szybkę, ogarnął go mokry pęd powietrza, wyrzucił niedopałek.

Przystanęli przy cichej uliczce, biegnącej w dół od Puławskiej. Geodeta chciał płacić, ale Długi wyciągnął szybko pieniądze i wręczył kierowcy. Było tu niewiele latarni, widzieli się niewyraźnie. Ich kroki niepokoiły ciszę. W rozległej kałuży za zakrętem błyszczała okrągła srebrna plama latarni. Długi słyszał za sobą nierówny, spieszny oddech geodety. Hiszpan szedł na końcu.

– Trochę głupio tak do nieznajomych. – Geodeta wypłynął z ciemności, jego twarz znalazła się na wysokości ramienia Długiego.

– Wcale nie głupio. – Hiszpan rozchlapał kałużę z utopionym światłem latarni. Zaklął. – Jeszcze parę kroków – dodał.

Dalej szło się schodkami. Przed nimi gęstą, skołtunioną ciemnością zalegały działkowe ogródki, ciężka, jak bryła węgla, ciemność na lewo to ruiny białego w dzień domku. Hiszpan spojrzał za siebie. Długi zwolnił trochę kroku. Już kończyły się schodki. Ostatnie stopnie. Hiszpan dogonił geodetę.

– Która to godzinka? – głos Hiszpana zabrzmiał gardłowo.

Geodeta wyciągnął rękę z zegarkiem. Hiszpan ujął go lekko za przegub. Żółty zegarek lśnił delikatnie, odbijając dalekie światła wąskiej, schowanej w drzewach uliczki.

„Raz, dwa...” – liczył Długi.

I wtedy Hiszpan przykulił się i walnął na odlew. Przez sekundę Długi zobaczył oczy tamtego pełne przerażenia, jakieś płaczliwe. Cios był za słaby. Geodeta nie upadł. Długi zwiesił ręce i odsunął się nieco.

– Wal! – wykrztusił Hiszpan. – Wal! Łbem i pod obcasy! Długi stał nieruchomo. Geodeta pisnął śmiesznie i osłaniając dłońmi twarz, wyrwał się Hiszpanowi. Zastukotały kroki na ostatnich schodkach. Zaraz też zginął w skołtunionej ciemności działkowych ogródków.

– Zwiął – ucieszył się Długi.

Hiszpan oddychał ciężko, ogłupiały, bezradny.

– Żółty sikor. Parę złotych – zaszeptał. – Żółty sikor – powtórzył. Wykrzywił twarz, postąpił do Długiego. – Łachudro! – syknął.

Ale Długi nie drgnął nawet.

– Takie oczy. – Spojrzał w bok w gęstą ciemność z węglową bryłą ruin. – Takie oczy. – Nagle ruszył w górę, przeskakując po trzy stopnie.

Hiszpan spoglądał za nim, dopóki nie zniknął. Przestraszył się. Mogli przecież gliniarze usłyszeć. – Trzeba pękać – szepnął.

\*

Iza czekała niecierpliwie. Owinęła się kołdrą i usiadła w kącie łóżka. Nadsluchiwała. Schody skrzypiały nieustannie, wokoło otwierano drzwi, ludzie wracali z pracy. W mieszkaniu poszarzało, okna naprzeciw jaśniały już światłem. Długi wszedł bardzo cicho, niezgrabnie mocował się z zasuwą.

– Nie zamykaj – roześmiała się – nie trzeba. Tu nikt nie wejdzie. – Patrzyła na niego z zadowoleniem. Wysoki, zgrabny, o chmurnej twarzy. „Fajny – ale nie bardzo łasy” – pomyślała z niejakim rozzaleniem, gdy usiadł z daleka od niej na okiennym parapecie. Butami postukiwał w ścianę.

– Klops – powiedział znużonym głosem – pokłóciłem się z Hiszpanem. – Zdusił o szybę papierosa. Na wilgotnym szkle została czarna plamka popiołu. Palcem roztarł tę plamkę.

– Ten Hiszpan w ogóle mi się nie podoba. – Leniwa Iza pogardliwie wydeła usta. – Baczki. Taki jakiś... taki jakiś – powtórzyła – wsiowy przystojniak. I bardzo nachalny, jakby...

– Baczki, nie baczki – przerwał Długi. – Nie o to chodzi. Spieprzyłem mu robotę. Zupełnie. – Głośno uderzał butami w ścianę.

– Nie wal tak. Poobijasz – warknęła. Zeskoczył z parapetu, przeszedł w poprzek pokoju. Stał przy łóżku i rozejrzył się. – Dobrze mieszkaś, ładna meta.

– I niedroga. Tej starej płacę tylko siedem stów – miękko powiedziała Iza. – Czysto tu... i cicho.

Długi szeroko rozstawił nogi, dłoń wsadził za pasek.

– Ładne mieszkanie – przyznał – czysto, cicho. Pewnie też ciepła woda i gaz – roześmiał się gardłowo jakoś.

Przypomniała sobie, że jak zobaczyła go pierwszy raz w „Sielance”, też tak stał przy barze, pochylony do przodu na szeroko rozstawionych nogach.

– Długi – szepnęła.

– Ciepła woda, gaz – powtarzał śpiewnie, jakby nie słysząc jej głosu.

– Bez gazu. Tu w ogóle nigdzie nie ma gazu. – Iza wysoko uniosła brwi.

Ale on ciągle kurczył usta. Zaczął teraz spacerować, niezgrabnie obrócił się przy szafce, brzęknął potrącony kubelek. Zajrzał do wnętrza.

– Kubek – zastanowił się. – Masz rację, bez gazu. A jak kubek, to i bez kanalizacji. W kubek trzeba lać.

– Też – obruszyła się. Znow przysiadł na parapecie.

– Hiszpan zły. Na zycher zły – westchnął. Zsunęła kołdrę. Było jej gorąco i niewygodnie. Podłożyła dłonie pod głowę, zaskrzypiały sprężyny.

– Hiszpan, Hiszpan – syknęła. – Wielka figura. Żadna z nim nie chce kręcić. Nawet Jaśka Kulawka. On też przywalał się do mnie – spoglądała z natężeniem na jego ciemną, nieruchomo przylepioną do okna postać – jeszcze jak dowalał się. – Bardzo chciała, żeby podszedł do niej, usiadł na łóżku.

On dokładnym ruchem przygładził włosy.

– Długi, Długi, nie przejmuj się – powiedziała przeciągle. Na korytarzu zaszurały kroki, zgrzyt klucza w zamku. Gdzieś bardzo blisko. Długi poderwał się gwałtownie.

– Nic – uspokoiła – nic, to stara wraca. Kroki wolno minęły pokój, szelest, potem plusk wody i metaliczne krótkie uderzenie.

– To stara. Ona mieszka w kuchni. Ja wynajmuję pokój, cały pokój. Nie wchodzi tu nigdy. A jak coś chce, to puka – wyjaśniała Iza. – Dobra stara. Nic ją nie obchodzi – zachwalała z ożywieniem.

– Moja gorsza – odezwał się Długi. – Mieszkamy we trójkę na kupie. Ale właściwie też nieźle. Sami swojacy.

Iza narzuciła szlafrok, otworzyła szafę. Szukała czegoś. Niecierpliwie przewracała bety.

Długi ciągle tkwił przy oknie, zapatrzony, obojętny. Iza przymierzała do ramion połyskliwą czarną suknię.

– W tej dziś pójdę. – Zmrużyła oczy, spoglądała w lustro, ale nic w nim nie widziała, gdyż ściemniało już porządnie. – Niezła. – Nagle odrzuciła sukienkę na łóżko. Cicho, na palcach podeszła do okna.

Poczuł jej oddech na szyi.

– Długi. Nie przejmuj się. Nie zarobięś. Trudno. Zresztą takie zarobki, frajerskie zarobki – mówiła gorączkowo. Przyłgął policzkiem do chłodnej szyby.

– Ja mogę zarobić na sobie i na ciebie – przeciągała słowa. – Mogę. Bez bólu. Naprawdę.

Dopiero teraz popatrzył na nią. Na czole pokazały mu się dwie głębokie bruzdy i zmrużone szparki oczu błyszczały silnie. Wydał jej się jeszcze ładniejszy niż zwykle. Fajny. Objęła go za szyję.

– Przecież nie masz fartu – szepnęła. – Wszyscy wiedzą. A szkoda, jakbyś wpadł. Długi, Długi – przywarła do niego. Poruszył się niecierpliwie.

– Nie! Nie chcę – wykrztusił.  
– Wstydzisz się? – W jej głosie drgała złość. – Wstydzisz?... Frajerze, wszyscy na to lecą. Taki Hiszpan, Ząbek! Każdy by chciał ze mną kręcić, mieć na gorzałę, żyro, bety. Każdy! A ty?!

Wyprostował się, wydał jej się inny, jakby zmęczony. Skrzywił usta, odszedł w kąt pokoju.

– Zarobię. Sam zarobię – powiedział cicho. Jej śmiech rozległ się głośno, ostry, wzdurliwy. Siadła na łóżku, narzuciła na plecy kołdrę, brodę oparła na kolanach.

– Przecież nie umiesz, w ogóle nie umiesz – szydziła.

– Wyłącz się – mruknął bez złości. Ze stołu wziął czapkę, ujął za klamkę. Szybko sięgnęła po lakierowaną torebkę, pogrzebała w niej gorączkowo.

– To chociaż weź na fart parę złotych, bo przecież tak na golasa zaczynać robotę... – zaniosła się złym, sztucznym śmiechem.

Popatrzył na nią spokojnie, nacisnął czapkę. Odsunął skobel, wyszedł na korytarz.

– Długi! – krzyknęła Iza Leniwa. Skrzypiały schody. Machinalnie pogładziła lakierowaną czarną torebkę.

\*

W pierwszej sali „Sielanki” zaczął się już zwykły lokalowy ruch. Coraz to nowi goście wchodzili do wnętrza. Przy stolikach narastał gwar, słychać było brzęk szkła. Kelnerzy biegali szybko, znacząc półmrok białymi plamami swych ubrań. Tylko bar był pusty. Zamglone, pochyłe lustro odbijało jedynie twarz szczupłego mężczyzny w górniczym mundurze. Patrzył z natężeniem w małe, z leciutkim szmerem idące do góry bąbelki gazu w butelce. Barmanka Marysia krzyknęła przeciągle w kuchenne drzwi:

– Maszynka kawy, raz!

Dochodził stamtąd zapach odgrzewanych kartofli i maślanego tłuszczu.

Orkiestra zajęła miejsca na podwyższeniu. Lodek Kerman przetarł rękawem mikrofon, poprawił krawat i ukłonił się w stronę sali. Zagrali.

– Znów *Siwy włos* – zarechotał Książę Nocy, Rysiek, co miał wariackie papiery. – Rąbią to i rąbią.

– Tak samo jak kiedyś *Wio koniku* – rzekł Zbyszek Cham. Coś sobie przypomniał, posmutniała mu twarz. – Tak, tak – szepnął.

Książę Nocy uważnie rozejrzał się po sali. Wyglądał w mroku dziwacznie, diabło jakoś, ostre nosisko zwiślało na brodę. Zatrzymał spojrzenie na stoliku przy orkiestrze. Siedziały tam Hanka Artycha i Leniwa Iza. Nad parkietem zabłyśły czerwone lampki. Posadzka lśniła ślisko, oczy dziewczyn wielkie, zachęcające.

– „...Pomyśl, miła, ile to już lat...” – zapiał Lodek Kerman ochrypłym, trochę drżącym barytonem.

– Też se wczoraj pochlał – zauważył Zbyszek Cham. – Porządnie pochlał. Spadł z krzesła, kimnął pod stolikiem.

– Jakby tu dziś – zamruczał Książę Nocy – jakby tu... – zrobił do Chama tę swoją groźną, nocną, jak mówił zawsze, twarz i podszedł do dziewczyn.

Cham strzyknął przez zęby.

Książę Nocy przysiadł na brzegu krzeselka, ucałował wyciągniętą dłoń Hanki Artychy. Westchnął.

– Pusta jestem – burknęła Hanka.

Przeniósł nieśmiało spojrzenie na Leniwą Izę, ale ta uparczywie patrzyła w zieloną kotarę, zasłaniającą szatnię.

„Z tą gorzej” – zaniepokoił się Książę Nocy.

Kotara zafalowała, wystąpiły na niej kształty ludzi szukających drogi do wnętrza. Weszły dwie dziewczyny w jaskrawych sweterkach i niski krzywonogi człowieczek w butach z cholewami. Kotara wygładziła się i znieruchomiła. Hanka Artycha obejrzała dziewczyny w jaskrawych sweterkach.

– Uliczne. Ciekawe, że wpuścili – mruknęła do Izy. Orkiestra ciągnęła rzewny refren *Siwego włosa*. Twarz Lodka Kermana, widoczna stąd wyraźnie, nabrzmiała i pokryła się kropkami potu. Rzadkie, wylizane brylantyną włosy przecinał równy przedziałek. Lodek przetarł mikrofon, kaszlnął – kaszel poszedł głucho po sali – zaraz też wyciągnął smętnie: – „... Ujrzałem dzisiaj pierwszy siwy włos, co zalśnił na twojej skroni...” Nagle Iza poderwała się z krzeselka.

– Hiszpan! Hiszpan! – krzyknęła cienko.

Też ją zobaczył, pochylił ciało w głębokim ukłonie.

– Siadaj – wskazała mu miejsce obok siebie. Obejrzał siedzących wokół, przyglądał kędzierzawe baczki.

– Pełno dzisiaj – uznał. – Pełno – powtórzył z zadowoleniem.

– Co z nim? – zapytała.

– Z nim?! – Delikatnie zawinał na palcach prostokąciki baczków. – Aa, z Długim. Ano, jak to Długi – mruknął po namyśle – wariat i tabaka. Spaskudził mi robotę. – Zadrgały mu szczęki. – Teraz sam chce zarobić. Sam. Na swoją grabę. Dobrał sobie jednego takiego popaprańca, Bolka z Sosnowca.

Książę Nocy poruszył brwiami.

– Znam, znam – wtrącił.

– I z nim, z tym Bolkiem, szykują się w daleką drogę. W daleką drogę! Na pociągach chcą zarobić. A może już nawet pojechali. – Zmienił się trochę na twarzy, skubnął bibułkową serwetkę. – W daleką drogę! Oni w daleką drogę! Wpadną a nie zarobią. Tam trzeba fachmanów – głos zniżył do szmeru.

Iza oparła o popielniczkę lusterko, przypudrowała policzki.

Od sąsiedniego stolika pijany frajer spoglądał na nią zachłannie. Podciągnęła spódniczkę, pokazało się kolano. Frajer podparł brodę i nie spuszczał z tego kolana zachłannych ślepi.

Lodek Kerman ocierał twarz, u nasady czoła lśniło mu wiele drobniutkich kropelek potu. Ci z orkiestry porozpinali koszule.

Robiło się gorąco, kłęby papierosowego dymu sino wisiały nad stolikami.

– A przecież nikt by nie miał lepiej z tobą... jak on, ten Długi – wycedził ostrożnie Hiszpan.

Nie odpowiedziała.

„Daleka droga – myślała z rosnącą złością. – Baran, baran.”

– Wpadnie. Musi wpaść – rzekł stanowczo Hiszpan. Splunął w garść i odstukał w spód stolika. – Nie życzę mu tego – szepnęła. – Ale...

– Taki ładny chłopak. I taki głupi – westchnęła Hanka Artycha.

– Pamiętam. Ten wysoki – ocknął się Książę Nocy. – To był dobry urke.

– Gdzie tam. On nie umiał zarobić – warknął Hiszpan.

– Nie umiał – powtórzył obojętnie Książę Nocy. – Niedobrze.

Zabrzmiały dźwięki muzyki. Na parkiet wbiegły pary. Krzywonogi w oficerkach otarł się o ich stolik. Nieustannie szeptał do ucha swojej dziewczyny w jaskrawym sweterku. Odsunęła głowę, oblał ją mocno i przycisnął.

Książę Nocy trącił Hiszpana w łokieć.

– Wszyscy zaprawiają – powiedział żałośnie. – Wszyscy. Tylko my... – uśmiechnął się do Izy.

– Pękaj stąd! Pękaj, ale zaraz! – głos Leniwej Izy był ostry, rozkazujący.

Książę Nocy, Rysiek, co miał wariackie papiery, przez chwilę wytrzeszczał oczy, wstał gwałtownie, kopnął krzeselko i odszedł. Torował sobie drogę przez roztańczony tłumek na parkiecie, odepchnął tego w oficerkach.

Hiszpan zachichotał leciutko.

– To baran – powiedziała w zamyśleniu Iza. Dłonią przesunęła po gorącym policzku, obejmowała się. – Kelner! – skinęła ręką.

Jurek kelner podbiegł do niej usłużnie, ścierką strzepnął popiół ze stolika.

Ćwiartkę – zażądała Iza. – Tylko z lodu.

## SILNA GORĄCZKA 1963

### SILNA GORĄCZKA

To zaczęło się od drapania w gardle, kilku niewinnych kichnięć, niby nic, ale wiem doskonale, że u mnie tak się zaczyna. No i następnego dnia z rana dreszcze i wredne samopoczucie. A miałem akurat przed sobą miły dzień, imieniny kolegi w B. Lubię imieniny u niego, w ogóle mam sentyment do tej rodziny w B., kupiłem zawczasu dwie paczki amerykańców, miżerny prezent, ale kolega wie przecież, że z forszą u mnie rozmaicie, i właśnie złapały mnie te cholerne dreszcze, gorączka. Pełen złości (ale liczyłem jeszcze, że wywinę się z tego) poszedłem na górę do Korwina-Piotrowskiego. Korwin siedział w fotelu, ta jego drewniana noga w skarpetce i bucie obok, czytał książkę. Dawno już takiej nie czytałem, ucieszył się z mego przyjścia, dobra, miłośna książka, mąż, żona i ten trzeci. Wziął tę drewnianą nogę, przypiął, stanął, zaskrzypiało. Ja też tak kiedyś, powiada, znałem jedną mężatkę, zachodziłem do niej, bo mąż na delegacje wyjeżdżał, raz w nocy u niej, nad ranem, pukanie, psiakrew, mąż wrócił, ona blada, nie otwieraj, mówię, i godzinę walił, wreszcie zmęczył się i wyszedł na podwórze, ja od razu za drzwi i piętro wyżej...

Czułem, że gorączka wzmaga się, oczy pieką, takie szczypanie w kącikach oczu, po tym najlepiej można poznać się na gorączce.

Wróciłem do siebie, miałem już pewność, że nie wywinę się z tego, klops, zapakowałem się do łóżka, na kołdrę położyłem jeszcze koc i poduszkę, bo choć dzień ciepły, to szczykałem zębami raz po raz. Nic Korwinowi nie mówiłem, po co, on w tych sprawach chorobowych oswojony, więc co mu będę mówił o jakiejś gorączce, dreszczach, to przy tym, co on miał, tylko mikrochoroba albo jeszcze mniej. Pod tymi betami dreszcze ustąpiły, gorąco teraz i ból głowy. Korwin na górze protezą stuka, podśpiewuje, odkąd może już swobodnie sikać, po tej operacji pęcherza, przeważnie wyśpiewuje takie legionowe piosenki, wyciąga starczo junackim głosem i stuk, stuk, łązi po mieszkaniu.

Kolega z B. będzie zły, obrażony, pomyśli sobie, że nie chciało mi się albo że inną, lepszą okazję miałem. A bardzo chciałem tam jechać, fajnie w B., zielony domek, ni to chałupka, ni willka, w ogrodzie, śmieszna rodzinka, babka na czele rodu, taka po siedemdziesiątce, oczy ma bystre, zimne, trzęsie całą rodziną, kolega mówił, że u babki bank ziemny nielichy, po wojnie sklepik z obuwem miała, kasa pancerna u babki pod łóżkiem, ciężka metalowa skrzynka, kolega podrzucił troczek od pidżamy do kasety i jak zatrzaskiwali, to przez ten troczek nie zamknęli dokładnie, kolega zakradł się nocą pod łóżko i rękę do kasety wsadził, wyciągnął całą garść banknotów, ale szczęścia nie miał, co najdrobniejsze dostały mu się w dłoń. Ta babka dawno już sklepiku nie ma, ale jeszcze jakieś rubelki, dolarki, przypuszcza kolega. I ciągle szuka tego banku ziemnego, ale nie może znaleźć.

Bardzo lubię wyjazd do B., już droga do zielonego domku przyjemna, łąki, wille, chałupy, tak jakby na wsi. A potem imieninowy stół, babka na honorowym miejscu w czarnej sukni z koronkami, nieruchoma, podparła się łokciami, i te oczy zimne, bystre.

Najgorzej, że Ela nie przyjedzie do mnie dziś. Rozłożyłem się, a nie ma co marzyć nawet, żeby ona przyjechała. Jej rodzice urządzają przyjęcie, w ogóle tu przyjęcie, tam przyjęcie, a ja z tą gorączką przywalony kołdrą, kocem i poduszką, to przyjęcie z okazji sześćdziesiątej rocznicy urodzin, oboje ukończyli w tych dniach po sześćdziesiątce, i w tę sobotę uroczystość. Więc Ela zajęta w domu, a gdyby spróbowała się wyrwać, to dopiero zrobiliby woltę. Chociaż... Ale gdzież tam. Już widzę jej fatra, zza okularów rzuca zmijowate spojrzenie, udała się córeczka, mówi, hm, postukuje paznokciami w poręczę fotela, mama robi bolesne oczy, Eli fater nazywa to ładnie, oczy gazeli, no i afera gotowa.

W parę dni potem oficjalna rozmowa, znów bolesne oczy, znów postukiwanki, hm, jesteś już dostatecznie, hm, dorosła, by zacząć, hm, samodzielne życie, i tak często, coraz częściej. Ela myśli, żeby się wyprowadzić, ale do tego na razie nie można dopuścić, Ela kiepsko zarabia teraz, a moje dochody też śmiesznie małe.

Mimo wszystko czuję jednak, że nawet bez żadnego powodu ta wyprowadzka wkrótce nastąpi, zbliża się grudzień, w tamtym roku też w grudniu Ela wyprowadziła się. Znaleźliśmy wtedy sublokatorski pokoik na Powiślu (bo ja jeszcze swego nie miałem i mieszkalem kątem u kolegi w B.), to był skurwysyński pokoik. Do dziś ten smród czuję, co to z kuchni do nas wylaźił i mieszał się z czadem z pieca, smród ryb, starej kapusty, wilgoci, ten nasz pokoik ledwie dziewięć metrów, rano budziliśmy się z bólem głowy, a nawet rzygać się chciało, w kość nam dała ta klitka. Sprawę rozstrzygnął ostatecznie pożar, Ela zasnęła z papierosem, mnie wtedy nie było, no, nie taki wielki pożar, ale zapalił się dywan, makata, materace i kawałek tapczanu. Więc od pożaru amnestia, starzy przyjęli ją z powrotem, niby więc lepiej dla Eli, ale nadal, prawdę mówiąc, kiepsko. Starzy nie dają Eli spokoju z mojego powodu, że pijaczek jestem, że degenerat, że bez zawodu, a ona ma już dwadzieścia pięć lat i nie myśli o żadnej stabilności, ładzie, te rozmowy często, co wieczór prawie, bolesne oczy, stuki paznokciami w oparcie fotela, i jeszcze cała gama zjadliwych sposobów. Biedna Ela porządnie skolowana.

W parszywy dzień złożyło mnie to choróbsko. Eli nie zobaczę. Tam u nich rejwach, robią sałatki, galaretki, kroją, trą, biją, gniotą. Jej starzy bardzo przemyślni, na te urodziny proszą takiego Eli kolegę z pracy, on im się podoba, magister, rzetelny, spokojny, tak kombinują, żeby ich skojarzyć.

Swoją drogą, to nieprzyjemna wiedza w tej gorączce. Teraz na urodzinach ten facet rzetelny u boku Eli, rodzice uprzejmi, matka mu półmiski podsuwa. Eh...

Stukot powolny na schodach, to Korwin wraca z obiadu. Korwin przed tym ostatnim pobytym w szpitalu zrobił sobie obserwatorium znakomite na balkonie, tych z budowy kościoła poprosił o jakąś robotę, dali mu gwoździe do prostowania, usadowił się na balkonie i nie minął miesiąc, jak poznał wszystkie kobiety chodzące tą ulicą, obserwacji poddawał takie od piętnastu lat do czterdziestki, dalej, powiadał, nie warto, bo już nic ciekawego, pokazał mi nawet jedną, nigdy jej nie widziałem, a przecież mieszkam dość długo, kobita okazała, chodziła umiejętnie, poruszając tym wszystkim, co najważniejsze, Korwin aż palec sobie młotkiem przytłukł. Dziwnie się dzieje, jak zjawia się w takich sytuacjach siostrzenica Korwina, pani o godnej twarzy i miękkim aksamitnym głosie, z którego przebijają jednak twarde, nieustępliwe tony. Korwin zwiewa wtedy niezgrabnie z balkonu albo prostuje gorliwie gwoździe, nie patrząc na ulicę. Ta siwa, godna pani domyśla się jakichś nie licujących z wiekiem wuja zdrożnych wątków między nami, bo zawsze, gdy wchodzi do pokoju, przygląda się nam badawczo. Tak właśnie było ostatnim razem. Korwin opowiadał, na tym majątku, zarządzał wtedy PGR-em na Pomorzu, dwie Niemki się trafiły, jedna kiepska, ale druga przy kości, akuratna, wziąłem ją za służącą, grzeczna i domyślna, jak tylko zawołałem wieczorem, to



przyszła już w białiznie, potem Korwin na tydzień wyjechał do dyrekcji, wracam, a zastępca mówi mi, że coraz to kilku Niemców (oni tam pracowali) zwalnia się do lekarza, jakby jaka epidemia czy co, więc Niemców przyduśłem, i co się okazało, tryperkiem poczęstowani, od kogo, badam, no i wysondowałem, od mojej Niemeczki, a ona znów, też ją przyduśłem, na krzyk ją wziąłem, do więzienia pójdiesz, więc ona była zaraz po moim wyjeździe na woj-skowej zabawie, tam jednostka stała, od żołnierzy złapała, mógłbym od niej i ja, zakończył Korwin, ma się rozumieć, odprawiłem dziewczuchę.

Wtedy właśnie weszła jego siostrzenica i tak przenikliwie na nas spojrzała.

Ona ma pewność, że między nami toczą się jakieś świńskie gadki, bo potem Korwin był przez tydzień bardzo małowówny i tylko rozmawialiśmy o polityce.

Już grypa przesadzona, mam paskudny katar, w piersiach rzęzi, klekocze. Przyszła ta Ba-ba, co sprząta u mnie i gotuje, przyłożyła ucho do piersi, kazała oddychać głęboko, i cała or-kiestra w piersiach mi zagrała.

Baba uznała, że porządne przeziębienie.

– Zapocić się trza – powiedziała – całkiem, do mokości zapocić.

Dała mi pod koldrę butelkę z gorącą wodą, dała herbaty z sokiem malinowym.

Baba krząta się przy kuchence, mam katar, żadne zapachy nie docierają do mnie, a ona pi-trasi przecież zupełną grzybową. Obiera ziemniaki, ładnie obiera, tak jednym ciągiem pokarbo-wany łańcuch zwisa, ale nie zawsze tak jej wychodzi, czasem łańcuch rozpada się na trzy albo cztery cząstki. Obiera i gada. Ona lubi gadać. Można nawet nie słuchać, ale i tak gada.

– Ta Browarczykowa – mówi Baba – to ona męczy się, odleżyny już ma.

Przestaje obierać, zamyśla się, reumatyzm dokucza też tej Browarczykowej i na płuca za-padała, a przecież najgorszy to ten paraliż.

Ta Baba, rencistka, kolejno chodzi do różnych domów, dorabia sobie w ten sposób.

Browarczykowa przy tym, podejrzewa Baba, ma forse chyba w sienniku schowaną, nigdy nie pozwala ruszyć tego siennika, kosztowności pewnie, bo przecież trzy place miała, nie-boszczyk mąż zakład prowadził, ale chytra Browarczykowa okropnie... Zawsze rachunki sprawdza, chciała raz brukselkę na obiad, nie było brukselki, Baba kupiła cykorię, Browar-czykowa też lubi, przyniosła tę cykorię, a Browarczykowa minę robi i mówi, tak nie można samodzielnie decydować. Baba pochrząkuje śmiesznie, na wspomnienie tej sprawy ogarnia ją oburzenie. I sama jak palec z taką chorobą. Baba jest miękkiego serca, bierze ją wzruszenie nad nieszczęściem Browarczykowej. Baba jest pobożna i modli się za Browarczykową, co msza o niej pamięta...

Korwin po obiedzie śpiewa cholernie donośnie, nawet słowa dolatują na dół, śpiewa: „Wojenko, wojenko, cóżeś ty za pani”... Od razu pomyślałem o tym zdjęciu Korwina nad łóżkiem. Ułan z szablą, wąs zakręcony, to Korwin w 20 roku. Ten wielki portret, a ma ich kilka, Korwin w szkole Rontalera, Korwin przed swoim „Belwederkiem” (tak się jego pała-cyk nazywał) w tyrolskim kapeluszu, więc ten wielki portret ceni szczególnie, dziewczyny wtedy, mówi wzruszony, latały za mną, ten okres łączy się również z samodzielnym gospoda-rzeniem, dostał wtedy ojcowiznę, trzydzieści włók, więc i z tego chyba powodu wzrusza go portret ułański. Pewnie, że z dziewczynami musiało mu iść jak z płatka, taki przystojny, z wąsem, dziedzic, to baby za nim... A lubi on konszachty z babami.

Na przykład, on tak zawsze zaczyna, zaraz po szkole rolniczej byłem na praktyce u hrabie-go Skrzyńskiego, majątek cacko, powiada, pszenica taka, wysoko unosi rękę, cukrownia i konie, jakie konie, Korwin kocha konie, zna przeróżne ich rasy, araby, słyszę, jak cmoka, angloaraby, taki kasztan był u hrabiego, z gwiazdką na czole, pęciny jak trzcinki, ale w tym drugim majątku, ciągnie Korwin, taka żonka administratora, urodziwa, urodziwa to w jego gradacji pozycja wysoka, na przyjęcie mnie zaprosili, ona robiła przednie nalewki, przedtem raz tylko z nią rozmawiałem, po kościele czy coś, hrabia nas poznał, siedzimy w saloniku, urodziwa niewiasta, jej mąż niezły fachowiec, inżynier rolnik, on wyszedł coś załatwić, za

godzinę wróć, powiada do niej, zabaw pana Apoloniusza, no i zabawiała, wybucha Korwin mocnym śmiechem, wąsy mu drgają, na stojąco, szepcze mi w ucho, uważasz pan, bardzo chętna była...

Ta Baba rencistka ugotowała grzybową, kotlety usmażyła, na niedzielę smaży zawsze kilka kotletów, bo wie, że Ela do mnie przyjeżdża.

– Wypocić się trza – powiedziała na odchodne i zmieniła butelkę z wodą.

Było mi teraz gorąco, bardzo gorąco, piekły oczy i wszystko dookoła rozmazywało się jakoś, nic dokładnie nie mogłem zobaczyć, nawet twarz tej Baby rozmazała mi się, wszystko nieostre, migotliwe i tańczące. Przymknąłem oczy i jakby schowałem się do wewnątrz, po prostu przywoływałem do siebie różne sprawy i one już same rozplątywały się i snuły, na przykład wystarczał stuk drewnianej nogi, żeby wszystko, co wiem o Korwinie, zaczęło się rozplątywać jak z kłębka. Nieźle mi było, nie myślałem nic o Eli, a jak coś wyłaziło o Eli, to że tak fajnie poprzedni wieczór spędziliśmy albo ten rano w kawiarni, kino, to od razu nie pozwalałem takim wspomnieniom rozwijać się, spychałem gdzieś na dno pamięci, nie lubię myśleć o Eli, kiedy wiem, że się z nią nie zobaczę, to nigdy nic dobrego mi nie wróży, same tylko męczące roztrząsania...

Przypomniałem sobie, z wielką przyjemnością zająłem się tym, jak niedawno, może miesiąc temu, rano, chyba koło piątej, zbudziłem się i cholernie źle się poczułem, to nie znaczy, że chory czy coś, nie, tak źle psychicznie, martwo, jałowo. Z łóżka wstać nie chciałem, bo i po co, za oknem znajomy widok, co rano pierwsze spojrzenie tam, kawałek kamienicy naprzeciw, na ścianie reklama fabryki pasty, wielkie bordo-żółte pudło, nos buta i napis: „Tylko pasta «Stomar» daje połysk”, gałęzie orzechów, prześwitywało niebo, reklamę, zauważyłem, odmalowali, nie mogłem patrzeć tam, dziś było to przykre, jakieś nie do wytrzymania, więc nie mogłem zasnąć ani też wstać z łóżka, wreszcie dzwignąłem się, łąziłem po pokoju kłapiąc trepkami, pusty, osowiały, chyba z godzinę tak łąziłem, przyszła Baba, wcześniej obiad zrobić chciała, wybierała się do kuzynki na chrzciny, zaczęła gadać o Browarczykowej, ona źle się czuje. Boga wzywała, i koło południa przyjdzie ksiądz z Panem Bogiem. Wtedy już zdecydowałem się, nałożyłem czapkę, pójdę, myślałem, i nieprędko wróć, tak do ostatniego zmęczenia, wtedy wróć. I bez żalu, właściwie z ulgą, zostawiłem swój pokój, niby fajny, ulubione książki, miękki fotel, prezent od ciotki, a przecież tego ranka nie do zniesienia, pasudny. Przed bramą zastanawiałem się, gdzie iść, ale nie bardzo mogłem się skupić, jestem wkurwiony, powtarzałem tylko jak katarynka, jestem wkurwiony, i bez żadnego planu pojechałem na dworzec. Dochodziła dziesiąta, koło dziesiątej, przypomniałem sobie, tam na dworcu oni na pewno siedzą. Zawsze na Głównym i w poczekalni kolejki siedzą i ostatek snu wyciskają, bo u nich nigdy nie wiadomo, gdzie następna noc, jaka następna noc, to są sprawy nie do przewidzenia. Dawno już nie byłem na Głównym.

Parszywie teraz po remoncie, ostatnio wszystko odnawiają i przerabiają, zielone ściany, jakieś nowoczesności na tym zielonym tle i już nie ma tego długiego, ciemnego korytarzyka, tam było najlepiej siedzieć i kimać, jest na tym miejscu poczekalnia rozjaśniona trupim jarzeniowym światłem. I ławki są kamienne, aż wzdrygnąłem się dotykając twardego, zimnego kamienia. Dawniej to był fajny dworzec, duszno, żółte światło, ławki drewniane, szerokie, przytulnie było, milicja nie tak ostro grasowała, oni tłumnie tu złazili. Albo ten bufet, dawniej jak się należy był, kontuar obity blachą, rzędem tanie wino na półce, i tego już nie ma, żadnego wina, nic... Gdzie oni mogą siedzieć, zastanawiałem się. Oni tu muszą być, bo dworzec to ich stara meta, kiedyś nawet, jak przyszły wagony z sianem, to oni spali w tych wagonach na bocznicach.

Tylko przed bagażownią nic się nie zmieniło, ciemna obszerna wnęka i u góry taka właśnie akurdatna, żółta odrutowana żarówka. I rzeczywiście przy bagażowni oni siedzieli. Rudy kimał, ten bez nosa i Dziad też, tylko Felo miał oczy otwarte, czujne. Przysiadłem na parapecie, Felo mrugnął.

– Poznałem – powiedział.

To mnie ucieszyło najbardziej. Bo właściwie taką porządną znajomość miałem tylko z Muzykantem, ale on przeniósł się do Wrocławia. A Felo był tu najważniejszy. Dawniej, jak zwozili śmiecie na szczęśliwickie pole, to Felo cały monopol makulatury i butelek trzymał na tych śmieciach, szopkę sobie nawet tam postawił, byłem wtedy też na wyskoku, piłem z Felem, ale nie miałem pewności, że mnie pamięta.

– Dyla dałem z chaty – wyjaśniłem.

– Staśka była w szpitalu – zaśmiał się Felo – i też dała nogę, a pilnowali. Wielu daje dyla – dodał. – Najgorzej to w tych przytułkach. Dziad był. Tak jakoś. I Dziad mówił, trudno uciec. Ale uciec zawsze można, to przecież nie ciurma.

Ten Felo ubrany był prawie jak wojskowy, rogata czapka, płaszcz zielony, przydługi, i pas miał szeroki, żołnierski. Zauważył moje zdziwienie.

– Jeden taki, co z zebrów żyje, dał – wyjaśnił – on sobie skombinował lotnicze, lotnicze bardziej mu pasuje. Litra to kosztowało.

Dziad, Rudy i ten bez nosa chrapali jak na komendę. Dziad zajęczał przenikliwie.

– Ten Dziad – zezłościł się Felo – nie umie spokojnie spać. Taki sen tylko glinów może sprowadzić.

Głowiłem się, jak by temu Felowi powiedzieć, że chcę z nimi połączyć trochę, w jego paczce chcę, nie wiedziałem, jak zacząć, bo przecież może ten Felo ma mnie za frajera tylko i nie będzie chciał. Felo zdrzemnął się teraz, rogatywka zsunęła mu się na czoło. Do naszego kąta przy bagażowni przyszły też kobiety z tej włóczęgowskiej branży. Garbuska i taka niestara, przy kości baba w nieprzemakalnym płaszczu. Całkiem niezła jak na tę branżę, tylko policzki miała odmrożone jak końskie mięso; przyniosły flaszkę wina, popijały drobnymi łykami. Było już koło południa, kiedy Felo otworzył oczy, wstał, przeciągnął się. Podszedł do kobiet, tę w płaszczu pocałował w policzek.

– Trza ruszyć się – rzekł.

– My dziś chodzimy za butelkami – zwrócił się do mnie. – Chcesz?

Ucieszyłem się. Pewnie, że chciałem.

I tak chodziłem z nimi, ze dwa tygodnie chodziłem, zbieraliśmy butelki, złom, ze złomem śmieszna sprawa, woziliśmy w dzieciennym wózku bez jednego koła, ja za rączkę trzymałem, Felo i Dziad popychali z boku, spaliśmy w kotłowni na Ochocie, palacz wpuszczał nas chętnie, co wieczór dawaliśmy mu piąta, a czasem też łyknął sobie przy nas gorzały, w kotłowni gorąco, z butelek i żelastwa można wyżyć, Felo znał takie miejsca, gdzie butelek w bród. Przez cały dzień zbieraliśmy, a szarówką schodziliśmy się na poczekalni WKD-owskiej kolejki, przynosiliśmy jakąś flaszkę. Przychodziły też kobiety z tej branży, tam u nich przeważnie marne są te kobiety, ale oni, ci mężczyźni, i tak są zadowoleni. Dziad na przykład kręcił z garbuską, a Felo z tą niezłą, najmożliwszą z nich, w nieprzemakalnym płaszczu, te ich kobiety są pooblekane w wiele warstw ciuchów, płaszcze, pod płaszczami fufajki, kurty, swetry, nie dojdiesz do końca. Brudne te baby, zniszczone, wiecznie zapite, ale oni, ci mężczyźni, i tak są z nich zadowoleni. Rudy cieszył się jak dziecko ze swojej blatniaczki, moja, gada, mądralka, ma takie papiery, wytrzasnęła skądś, że niby ma chorobę świętego Wita, i forszę zbiera, chichocze, całe kieszenie forsy. Ta ze świętym Witem dostała kiedyś na poczekalni delirki, zerwała się z ławki, śpiewać zaczęła „Kiedy ranne wstają zorze” i nagle podbiegła do takiego faceta spokojnego, wcale nie z branży, czytał sobie gazetę, i cap go za rozporek, ten bez nosa w śmiech i do Rudego krzyczy, twoja z ciebie niezadowolona, gdzie indziej szuka, wpadła milicja, i Rudy bardzo narzekał, straciłem taką babę, nie martw się, pocieszył go Felo, wypuszczą, wróci... Na nas, tłumaczył mi Felo, nie ma artykułu, dlatego nas do puszek nie zamykają, co najwyżej przepędzają. Miał rację, przeganiali tylko, ale to można znieść, w ogóle z Felem człek nie zginie, on umie się krzątać, wypatrzy złom jakiś, to, owo, opylimy i już forsa, więc nic dziwnego, że Rudy, Dziad i ten bez nosa słuchali go we wszystkim....

Z Elą w tym czasie się nie spotykałem, bo i na co, zresztą brudny byłem, zarośnięty, ale i czasu nie miałem za wiele, ciągle lataliśmy całą paką to po Pradze, to gdzieś po Fortach Szczęśliwickich, na tych fortach to teraz wielki cmentarz śmieci, z tych śmieci stadion jakiś mają zrobić, popijawę tam urządziliśmy na tych usypiskach dymiących, sprzedawaliśmy wtedy pięćset butelek i w cug, ostry cug, Felo rozebrał tę swoją z odmrożonymi policzkami, ściągał z niej te bety i ściągał, tyle tego było, nago całkiem możliwa, zgrabna, ona mówiła do niego, perelko, Felo później wstał i szepcze do mnie, no, teraz ty... Dym nas skrywał prawie całkiem, taki kwaśny, mocno cuchnący dym, balowaliśmy do rana, a potem w kimę na Główny, bo ranek chłodny, do tego kąta przy bagażowni.

Więc z Elą nie widywaliśmy się, ale i tak ona zrozumiała to wszystko później. Prawdę mówiąc, na to liczyłem.

Felo nigdy nie pytał mnie, dlaczego do nich przystałem, po co, na co, przyzwyczał się do mnie, on zresztą uważa, że lepszego życia nad takie łązenie nie ma, nie i szlus, powiada, i nikt go nie przekona. Po tej popijawie na śmietniku Felo złapał mendy, drapał się strasznie, naśmiewał się z niego Dziad. Choć i ten Dziad podrapuje się czasem, ich kobiety też czochrają się porządnie, różne są swędzenia, mówi Rudy, od mend, od świerzbu, jeszcze coś wymienił, a jedna z tej branży, jak ją złapało swędzenie, to wstała nawet i czochrała się plecami o ścianę, tak mocno czochrała się, ulga na jej twarzy, wzdychała raz po raz, było to na poczekalni WKD-owskiej kolejki, ci inni z poczekalni patrzyli na tę czochrającą się o ścianę w ogłupieniu.

Drewniana noga Korwina stukocze głucho, tak jakby Korwin znak dawał czy coś. Baba, jak ten stuk słyszy, uważa zawsze, że Korwin wzywa pomocy, nieszczęście się stało, taki głuchy, rozpaczliwy stuk. Ten Korwin prawie wcale z domu już nie wychodzi, noga go boli, nie noga właściwie, ale ten kawałek, kikut, co został, i on w ogóle źle się czuje, po tej operacji pęcherza słaby bardzo. A najgorzej, uważasz pan, wywodzi Korwin, że kłaki ta proteza przycina i wyszarpuje.

Jednak na górze u Korwina czasem coś się dzieje, przychodzi taka wdowa pięćdziesięcioletnia, Korwin chwali się, że z tą wdową, ale nie wiadomo. Korwin też mówi, że wdowa ma piętnastoletnią córkę, całkiem do rzeczy, dobrze rozwiniętą. On ciągle opowiada o tej córce, bardzo mu się podoba, przyszła raz ta mała, usiadła naprzeciw Korwina i mówi, ale pan musi się nudzić, glos przy tym przeciąga zagadkowo, filuternie, Korwin wlepił w nią te swoje wiecznie głodne psie oczy, taki sześćdziesięcioletek schorowany, a chciałby, jak cholera chciałby, właściwie ma rację, on mówi, panie, całe życie to uprawiałem, to mnie trzymało, więc i teraz też chcę, bo bez tego wykituję, wyznał tak mi kiedyś, było to rankiem po pierwszym jego bólu, tym piekielnym bólu pęcherza, co to zbiera się w pęcherzu, kap, kap, cały już zbiornik moczu, i wyjść nie chce, rozsadza pęcherz jak balon, opowiadał rankiem Korwin, wyszarzały po tej nocy pełnej opętanego bólu, więc po tym ataku słaby był, zrezygnowany, i zwierzył się, chociaż gadać o tym, o tych panienkach piersiastych, dupczatych i jak tam, przygryzł sine wargi, to mnie trzyma. I patrzy Korwin na tę rezolutną dziewczyneczkę, a ona, oj, co tak mi się pan przygląda, i też oczy do niego robi, zalotne, prowokujące, Korwin zaniepokojony pokuśtykał do kredensu, ale nawet kieliszka wina nie miał, nic, ani słodczy, więc zaszedł ją od tyłu, starał się stąpać lekko, żeby proteza nie skrzypiała, i tak niby żartem we włosy ją pocałował...

Prezent, gorączkował się Korwin, muszę jej jakiś prezent, zniszczony, stary człowiek w zamyśleniu tarł herbowy sygnet (pole z gawronem na wieży, czy jakoś tak się nazywa), i prezent koniecznie, kombinowaliśmy wspólnie, co by tu kupić smarkuli, takie coś nie za kosztowne, bo i Korwin niebogaty, i żeby małej w głowie nie przewrócić, a przy tym radość, przyjemność, powiedzmy, żeby to jej sprawiło. W tych wyblakłych, zmęczonych oczach Korwina intensywność jakaś była, nawet papierosa zapalił (nie wolno mu palić przy tej paskudnej chorobie), w tych wyblakłych, zmęczonych oczach widziałem całe to jego życie dłu-

gie, ułańskie, kawalerskie, te wyścigi na Polu Mokotowskim, ruletka w Sopocie, bo jak zebrał z pola wcześniej i dobrze opylił, to do Sopotu wyskakiwał, Zoppot wtedy, jechał swoim samochodem, lancia to była, te wszystkie stare knajpy warszawskie widziałem, „Adrie”, „Gastronomie”, „Renesansy”, co to, jak mówił Korwin, lało się szampańskie, i jakie fordanse-reczki na kolanach siedziały, nie to, co teraz, pff, barachło za przeproszeniem, zgrabniutki, sympatyczne, i szampańskie im na piersi, wzdrygały się, piszczwały, a perlisty napój spływał i spływał, i ten Korwin w tym wszystkim, dawny, świetny, krótki wąsik, smoking, trzciniowa laseczka, mężczyzna postawny, urodziwy i jakże wesoły, a o świcie po tym balowaniu drynda, i wio, sałata, gdzie tam?, do pana Jana (stary kawaler, bogaty, taki przewodnik w tym życiu bujnym dla Korwina), więc do jego garsoniery na Sienną 12, te częste, w karnawale to co dzień, huczne zabawy w majątkach, zimą kuligiem rozdzwonionym, pijanym, piękne koniki o małych łbach i suchych pęcinach... Patrzyłem na tę zmęczoną, starą twarz, papierosy mu podtykałem, trzeciego już zapalił, a potem przyszła jego siostrzenica, ta pani o szlachetnych, godnych rysach, przyniosła mu jakieś lekarstwa, zastrzyki, Korwin zdażył jeszcze wyrzucić papierosa za okno, nie zauważyła na szczęście. I chyłkiem wymknąłem się wtedy od nich, bo ta pani, siwa, szlachetna, o coś nas podejrzewa. A przedtem, przed tą rozmową naszą, była ta karetka, nie mogliśmy dodzwonić się do Pogotowia, Korwin jęczał, krzyczał, spocony, skręcał się i ścierał o ścianę do krwi pięści, wreszcie przyjechał samochód i wzięli go do szpitala. Dopiero po dwóch miesiącach wrócił stamtąd, trochę w kość dostałem, powiedział, dostałem niezgorzej, siostrzenica poszła do apteki, więc zapalił połówkę, ta sala, gdzie leżałem, urologia to była, paskudna sala, sami nerkowcy, pęcherzowcy, jakieś cewki, rurki mają przymocowane, robi się dziurkę w brzuchu i przez tę dziurkę cewkę wprowadzają do pęcherza, tylko w ten sposób można sikać, peczer to się nazywa, ci chorzy, cała zgraja tych chorych, dwadzieścia łóżek bez nerek albo z kamieniami w nerkach, uremia i inne paskudztwa, przed operacją, po, i cała płatanina tych rurek, cewek i butelek, poważne przypadki, ciągnął Korwin, dużo ludzi na tej sali wykitowało, jeden taki stary, dopiero co go przywieźli, tydzień był albo mniej, cichutki, nie ruszał się, nie jadł, nie krzyczał, tylko, jak noc przyszła, to koniecznie chciał wstawać, ale gdzie tam, takie chucherko, jak zlął z łóżka, zaraz zwał się na podłogę, i tylko popatrzyłem na niego, wyczułem, że kipnie, wkrótce kipnie, podkreślił Korwin, mówię tym z sąsiednich łóżek, oni, ech, skąd tam kipnie, nie spuszczałem wzroku z niego, przez dwa dni tak uważałem, sąsiedzi śmieją się, że kiepskie mam wycucie, i trzeciego dnia koło południa tak nagle uniósł się, jakby wstać próbował (a przecież w dzień nigdy nie wstawał), zaraz uspokoił się jednak i westchnął, kona, powiedziałem wtedy, a ten staruszek przymknął oczy i kipnął, przyszły posługaczki i zakryły go prześcieradłem.

Albo ten drugi, bezwstydnik, z początku myślałem, bo zawsze gadał lekarzom różne świństwa, nic się nie wstydził, raz nawet lekarce, co obchód miała, powiedział, pani doktor, nie mogę dać sobie rady, z wieczora korzeń mi staje i męczy całą noc, ja słucham, Korwin mnie robi zgorzowaną, i myślę, o, ten przeholował, porządnie przeholował, owszem, można żartować z kobietami, ale ten za bardzo bezwstydnny, ale gdzie tam, lekarka, a młoda to niewiasta była, uśmiechnęła się i obiecała dać mu zastrzyk specjalny, żeby nie stawał, tam wszyscy świństwa gadają, i racja, później się przekonałem, bo jak to, uważasz pan, te lekarki, pielęgniarce, wszyscy, ciągle przy tych rzeczach manipulują, to basen, to kaczka, to zabieg, jakaś rurka, czyli peczer albo cewnik, ciągle przy tym, to i oswojone na całego. I żal mam do siostrzenicy, zakończył Korwin, bo właściwie ona mnie do życia zmusiła, już po operacji, jak byłem na sali, pielęgniarka odeszła, a ja krwotok miałem i bym spokojnie kipnął, tylko siostrzenica moja weszła akurat i zauważyła, krew kapie spod kołdry, jakieś naczynie krwionośne nie złączone i krew uchodziła, no i siostrzenica zrobiła szum, przybiegli lekarze, na stół mnie znów, a tak bym kipnął, bez żadnego ale bym kipnął... Naprawdę raczej chciał kipnąć, po tej operacji zgaszony, smutny był, nie śpiewał, ale na szczęście za parę dni przyszła córka wdowy, ta

piętnastolatka, i Korwin ożywił się, oczy mu rozbłysły i nabrał chęci na nią, co to wtedy trzy papierosy wypalił.

Taka siksa piętnastoletnia nawet nie wie, skąd może wiedzieć, na pewno podśmiewa się po cichu ze starego, opowiada koleżankom i one też śmieją się porządnie...

Korwin zadowolony, bardzo zadowolony, tylko tę *Wojenkę* wyśpiewuje, i jak ryczy, potężnie, na cały dom, swoją drogą niezły ma głos, czysty, młody nawet, stuka protezą do taktu, o prezencie myśli, chyba już kupił nawet, siksa mu w głowie, i noga mniej go boli, chodzi na ulicę, wyczekuje przy drewniaku, rozgląda się.

Ale ta smarkuła nie pokazuje się już tyle dni, Korwin zaniepokojony, ale nie za bardzo, wie przecież, na dnie tego oczekiwania wie przecież, że nie dla niego ta smarkuła. Smutno mu trochę i nudno. Ten jego pokój nieprzytulny, taki jak cela, i na ścianach te portrety Korwina z młodości, ten ułański, taki piękny, tromtadracki, inne jeszcze, Korwin w skórzanej kurcie i myśliwskim kapelusiku, z jamnikiem jak gąsienica przy nodze, więc zerka na te portrety i głupio mu, głupio jak lichy, natrętne wspomnienia, ci piękni, rośli mężczyźni na portretach to on, tacy twardzi, samo zdrowie i siła, głowę Korwin opuszcza i coraz mu głupiej.

Więc z Korwinem idziemy na to wielkie śmietnisko, tam gdzie mają stadion budować.

On tak ostatnio narzekał, niby to żartem, a jednak serio, z kobietami, panie, kłopot mam, no, duży kłopot, trudno złapać jakąś, kaleka jestem, stary dziad, wyśmiewają, żadnych szans, wzdychał. Pomyślałem, poznam go z tymi z włoczęgowskiej branży, akurat pasują, niekosztowne i nosa nie zadzierają wcale.

Więc dlatego idziemy na to usypisko, niech stary zapomni o smarkuli, niech się zabawi, ostro zabawi, to wtedy całe oczekiwanie i smutek mu przejdzie, nadaża z trudem, pomaga sobie laską, wygolił się starannie, wodą kolońską od niego zajeżdża (bo też szykował się z godzinę, wąsiki przycinał, gębę obmacywał w lusterku, metalowymi zębami błyskał), podśmiewałem się z niego, jak to, obruszył się, trzeba przecież przyzwoicie wyglądać, tym bardziej że kobiety...

Tam na śmietniku wyszykował się znów wielki bal, Felo chwali się, że jeszcze takiego nie było, zaproszono też, szepnął, jedną Staškę z Pragi. Weszliśmy na te zwały śmieci, stado szarych, wstrętnych jak szczury świni roilo się na zboczach, ryły w tym paskudztwie dymiącym, pochrząkiwały, te śmiecie jak hałdy, smród kwaśny, ciężki, sadze fruwały, czy aby to towarzystwo, niepokoił się Korwin, będzie zadowolone, niewiasty, powiadasz pan, bezpośrednie, bez krępacji, ten stary coraz bardziej zaniepokojony. Tam szła zabawa na całego, Felo pijany jak kot, z litrem w grabie obskakiwał tę Staškę z Pragi, to chyba ona, gruba, w drelichu, pocmokaj, podtykał jej Felo butelkę. Dziad zapychał się kaszanką, karniaka im, wrzasnął ktoś wskazując na nas, Felo podbiegi z butelką, pociągnąłem zdrowy łyk, Korwin też chlapanął sobie niezgorzej, kotlinka osłonięta od wiatru, wokół gęsty, czarny dym, te śmiecie bez przerwy dymią, dobrze tu, przytulnie i jakby gdzieś bardzo daleko od wszystkiego, wódki zapas duży, zakąski też, salceson, kaszanka. Dziad rozdzielał żarcie, ta jego garbuska spała chrapiąc i bulgocząc, Dziad próbował zbudzić ją, ale spała jak kamień... Balowaliśmy na całego, Korwin nawet tak się rozruszał, że próbował odbić Felowi tę Staškę z Pragi, bo w moim majątku, zaczął, snuł tę swoją pełną wspaniałości, uczt, herbów i szampanów opowieść, Felo słuchał zawistnie, wreszcie nie wytrzymał i warknął, wyłącz się, Staška chciała słuchać dalej, takie życie, pisnęła, pańskie, to bardzo git, ale Felo zaryczał teraz *Wolę*, przyłączyli się inni, nic Korwinowi nie wyszło z tą Stašką, ale i tak źle nie miał, bo ta druga z Pragi wyraźnie nabrała na niego chęci, dopytywała mnie, co za jeden, kaleka, pewnie stara się na poproszonym, oni, ci wszyscy na poproszonym, dodała, nieźle trafiają, ludzie miętkie serca mają, a ten to dobry farmazon stosuje, Korwin akurat opowiadał o ruletce w Sopocie, ostatnie pieniądze, dramatycznie wznosił głos, ale myślę sobie, jeszcze raz spróbuję, hrabia Skarbek też mi radzi, zagraj... Zrobiło się już ciemno, Felo z tą Stašką zaszyli się w drugiej kotlinie, Dziad spał przy garbusce, a ta druga z Pragi obejmowała Korwina, szczypała pod brodą, jemu wódka źle po-

szła, przygiwał, ale zadowolony, mnie też do rzygania niewiele brakowało, ale trzymałem się jako tako, bo liczyłem na to, że może coś mi się uda ze Staską z Pragi...

Wtedy to przeszło dwa tygodnie trzymałem się z Felem i jego paką. Nieźle mi było, te dwa tygodnie zleciały jak wczasy.

I chyba siedemnastego dnia, tak, siedemnastego, pod wieczór siedziałem w tej ciepłej poczekalni WKD-owskiej kolejki, mroczno, gorąco, obok spał Dziad, głupkowata położyła nogi na moich kolanach, bardzo ciepło, bardzo duszno, bulgotało mi w brzuchu po tym razowcu, cośmy w południe z Rudym doskoczyli, kilowy bochen, świeży, to rośnie w kałdunie i dlatego taki bulgot, siedziałem wciśnięty między Dziada i głupkowatą, podrzemywałem sobie, nagle zaswędziało mnie coś pod kolanem, podrapałem się, ale zaraz zaswędział brzuch, piersi, bardzo natarczywe swędzenie. Wytrąciłem się zupełnie z tego błogiego półsnu, trzeba wracać, pomyślałem, orałem pazurami po piersi, tak, postanowiłem, wrócę do chaty. Spojrzałem podejrzliwie na Dziada, może to od niego to swędzenie przelazło na mnie. A może w ogóle i Dziad, i Rudy, wszyscy z naszej paki, choć nie zauważyłem, żeby się drapali, mają jakieś swędzące świństwo, a nie drapią się, bo przyzwyczajeni.

I poszedłem do domu, po tych dwóch tygodniach brudny byłem i zarośnięty, Ela bardzo fajna, jak doprowadziłem się jako tako do porządku, zaraz do niej zadzwoniłem, i nic nie mówiła, żadnych wyrzutów, gniewu, ani słowa, po prostu poszliśmy do kina na jakiś film, western chyba z Kirk Douglasem i, przypomniało mi się, wtedy w kinie Ela nazwała te moje wyskoki, te dwutygodniówki wszystkie, kuracyjnym chodzeniem w teren, śmiesznie to nazwała, spodobało mi się.

Tylko Baba narzekała przez parę dni, jak to, tak wyjść bez słowa, niepokoiła się, chciała iść na milicję, powiedziałem jej więc, że miałem pilny wyjazd z pracy, taki służbowy, naglący, te posady to ony teraz są, oburzyła się Baba, ale uwierzyła.

Gdy wystawiłem głowę spod kołdry, za oknem było ciemno, porządnie ciemno. Zdziwiłem się trochę, ale jak połapałem się wreszcie w czasie, to zrozumiałem, że przeleżałem tak dzień, noc i jeszcze dzień, bo znów przecież zapadł drugi wieczór, odkąd się położyłem. Byłem zimny, gorączka spadła, zupełnie zimny, tylko bardzo osłabiony, i apetyt też mi wrócił, przypomniałem sobie, że Baba zostawiła mi obiad w piecyku, zupa grzybowa, kotlety siekane, zreć mi się chciało jak lichy, ale postanowiłem jeszcze nie wstawać. Uporządkowałem też nieco te historie, które zaprzętały mi głowę w gorączce. Przecież Korwin wcale nie był ze mną tam na śmieciach, na tym balu, co to Felo ze swoją paką urządził, skąd on tam, nawet słowa mu o tych łachmaniarzach w poczekalni nie mówiłem, on przecież nie lubi łachudracstwa, bardzo nie lubi, a co dopiero takich bab łachudrowatych, on zawsze mówi, kobieta przede wszystkim musi być czysta, koniecznie czysta, he, he, a baby z branży z taką skorupą brudu, on nawet nic nie wie, że ja mam z nimi konszachty, bo po co ten stary pan ma o tym wiedzieć. Gdyby mu powiedzieć, że tak na niby wziąłem go na ten bal, na śmieciach bal, wyjaśnić, że w tym na niby zalecał się do tej drugiej z Pragi, to byłby potężnie oburzony, panie, już słyszę jego tenorek, panie, to zbyt duża poufałość... Choć może po wódzi poszedłby ze mną, tak po półlitrze, kobiety brudne, bym go przekonał, ale niczego wate, może i pokuśtykałby ze mną, bo to choróbsko przycisnęło go ostro, nie tyle Bürger, co te sprawy z pęcherzem.

Ale najważniejsze, że czuję się już całkiem nieźle. Kaszel jest, ale nie taki z drapaniem w gardle, zwyczajny, katar też jest, ale to nasilenie, ten moment chorobowego szczytu już minął. I nieźle to chorowanie było, zwykle w łóżku czas wlecze się ślimaczo, nuda, a mnie teraz całkiem nieźle zleciało, gorączka duża i temat do snucia przy tej gorączce był, tak prawie jak powieść to wszystko się ciągnęło. Tyle tylko, że imieniny u kolegi w B. przepadły, będzie zły, pewnie pomyśli, że inną, lepszą okazję miałem, ale ja pojedę do niego za kilka dni i dam mu te dwie paczki amerykańców, te „Pallmalle” i „Senior Service”, złość mu już przejdzie, i w porządku, a chyba już dziś przyjedzie do mnie Ela...

## KOCIOŁ

To śmieszne o tym pisać, tylko wstyd. To zaczyna się przeważnie od takich zajobówkotłów w środku, te żelazne szczęki, które trzymają człowieka w spokojnym nastroju, rozluźniają się i zaczyna się kołowanie, cały ciąg spraw wyłazi ze spodu natrętnie, wszystkie drańskie i męczące. I to jest szpas, nie można sobie z tym dać rady. Albo jeszcze inaczej – jest ze mną ktoś, dziewczyna, liczę na nią, mój świat to również ona, duży kawał mojego świata, pozbyć się jej – to znaczy wyrwać coś z siebie, coś stracić – cholernie bolałoby to. Więc na początku są lekkie jakieś niepokoje w środku, idziesz do swojej dziewczyny, liczysz na Bóg wie jaką jej wszystkowiedzę albo taką mądrą, przenikliwą samiczą intuicję, przychodzisz do niej sztywny jak drut, taki szklisty, ostry, wsłuchany w swoje drgania i winy cholerne, i czekasz na tę jej wszystkowiedzę, z ogromnym napięciem czekasz... Napięcie jest tak drańskie, że nigdy, choćby już dziewczyna dochodziła powoli, po omacku do twego bólu – że nigdy nie przyjdzie wtedy spokój, to Coś jadowite, które siedzi w tobie przyczajone, dopiero zaczyna wierzczać, odpychasz wszelką pomoc, ona, myślisz wtedy jak w transie, ona jest w świetnym nastroju, ona nie może pomóc, ona jest obca, ona nic nie rozumie, ona jest przeciw tobie – ten łańcuch nie kończy się. To drańskie Coś, które zniszczy cię na długie tygodnie, już się zaczęło... Najgorzej, że nie wiadomo, kiedy wyskoczy to z ciebie.

Bo wtedy było zupełnie dobrze i nic nie wskazywało na to, że zacznie się wielki kłops. Wstałem raniutko, pogwizdywałem nawet, ogoliłem się, zjadłem śniadanie i próbowałem zabrać się do roboty, ale nic mi nie wychodziło, sprawa raczej prosta, ostatnio przez tydzień nad tą robotą siedziałem, więc jestem wypluty i na razie nic z siebie nie wyduszę.

Poszedłem do pracowni galanterii plastikowej. Do tego Ładnego Współczesnego. On tam pracował, właściciel tego interesu też młody, w ogóle wszyscy tam młodzi, modni, tacy życiowi chłopcy, co po studiach postanowili nie bidę klepać, ale forszę zarabiać. Tego Ładnego Współczesnego poznałem niedawno, fajny facet, ostrzyżony krótko, jakby amerykański chłopak, a przy tym nie krzykliwy, nie głupio pewny wszystkiego jak ci inni modni współcześni, co to takie rozróby niby-bitnikowskie robią, niby zbuntowani, niby straceńcy, a w ciuchy drogie się ubierają i od starych niemało waluty dostają (bo kupa wśród nich jedynaków z zamężnych, solidnych domów – więc to ich bitnikostwo gówniarskie i żenujące). Ten mój znajomek. Ładny Współczesny, też w dzinsach niebieskich, krótki włos na bok i chód taki typowy, koci, przeginany, taki deanowski chód. Ale polubiłem go, bo on bez tego wrzasku frajerskiego, uważny, bystry i bardzo na życie ciekawy, bardzo na życie zachłanny, i wyczułem go, że nie tchórz, ryzykant raczej, w odróżnieniu od tych wszystkich w dzinsach, co to nigdy w niczym dupy nie umoczą. A przy tym był dla mnie symbolem tych współczesnych chłopaków i czułem się przy nim trochę jak mędrzec, stary i doświadczeniem wyładowany, stary już choćby dlatego, myślałem czekając, aż skończy wykrawać na maszynie duże różowe damskie torby z plastyku, więc stary dlatego choćby, że bezzębny (ta górna pusta szczeka) i bronchit chroniczny, typowy dla palaczy mam, maszyna do szycia tych torebek terkotała sucho, do pracowni wpadły dwie turkoczące halkami dziewczyny, ładne i pogardliwe, szczebiotały zalotnie z tym moim znajomkiem, on gadał z nimi niedbale, przymilały się do niego, on z tą



swoją taką jakby amerykańską urodą powodzenie u dziewczyn miał, imponowało mi to, bo za śmiały nie jestem.

Śmieszna ta nasza znajomość, myślałem, i to, że ja tak jak starzec, mędrzec czuję się wobec niego, ale coś z prawdy w tym było, najważniejsze już to, że on zawsze trzymał z rówieśnikami, czy to w domu, czy na studiach, czy teraz w tej plastikowej robocie, on ciągle wśród tych chłopaków roślących, dobrze ubranych, kocio chodzących, a ja miałem zawsze do starszych skłonności, w dzieciństwie jeszcze do tego się rwałem, ci starsi jak tytany dla mnie, i odtąd tak mi się układało, że ze starszymi ciągle – a chociażby ci węglarze albo ci z więzienia, te cwaniaki, zakapiory, pomarszczone, siwe chłopy, i ja z nimi, na równi przez nich traktowany, taki mędrak małego, więc siłą rzeczy mam w sobie coś starczego, coś od nich, nie zapalam się byle czym, mało mówię i nie przepadam za efektownym pozerstwem, szumem, całą tą fanfaronadą młodych.

Wreszcie skończył szyc te w guście Chmielnej torebki i wyszliśmy z pracowni. Cieszył się, że go odwiedziłem, on chyba też mnie lubi, może bawię go jako okaz nie znanego mu sortu, siedzimy przy kawie, on mówi, co tam kawa, wypijemy coś. I zaszliśmy do knajpy. Chlupnęliśmy po dwie pośpieszne. Poczułem się w niebie. To moje niebo to takie ożywienie, sprężystość większa, gadam chętniej, a jak mam fajnych ludzi koło siebie, to trochę błaznuję, taką mowę na błysk mam, ten sposób na błysk związany jest z moimi przeżyciami, które po wódce mocniej ciąży, właściwie czystego aktorstwa w tym mało, może to być chęć pokazania się ludziom mało mnie znającym – dokładniej, barwniej, w ogóle jest to też jakaś rekompensata za stan przed wódką, bo wtedy nastroszony jestem, skryty, szary, nieśmiały też, ustępuję chętnie i daję się za nos jak wiejski Jasio wodzić.

A więc gadka przy gorzale to pokazywanie takich błyskotek, kolorowych piórek, odgrzewanie wszystkiego, co już dla mnie kolor straciło. On, Ładny Współczesny, pięknie słuchał, te oczy jego wchłaniające moje miny, coraz taki dziwny ruch dłonią, takie zaciśnięcie dłoni w półpięść. Zresztą niektóre moje gadki... Na przykład ta, jak w celi kapusia nocą w koc owijają i robią mu podrzut – do góry i na beton, łup, łup, albo to rozprawiczenie małych frajerków, te ohydne, pełne wspomnień o dziwkach rozmowy starych wyrokowców i to ich lubieżne spojrzenie na upatrzonych, i to, jak tych upatrzonych dokarmiają, dolewka, kawałek chleba, więcej tłuszczu, no weź, masz, popal se, i cały czas przy tym takie pożądanie gęste, niecierpliwe... Więc te niektóre moje gadki, z dobrze wymierzonym szczegółem, gwarą więzienną nieco szpikowane – nieźle nadają się do słuchania. A on słuchał pięknie.

Chlupnęliśmy jeszcze po większej. Potem zaczęło się tempo. Do kumpli moich, postanowiłem, do tych, co poświadczą sobą moje opowieści, no, jasne, do nich. Taka trasa cyrkowa, taki obchód menażerii (i w tym jestem śmierzący błazen, bo przecież sam mógłbym tam...).

Początek przy dworcu, tam pod rozkładem jazdy wózek z czeską biżuterią, przy tym wózku baba z gębą jak sagan, taka warszawska Mamuńcia, cwaniara jak lichy, o oczkach okrutnych, chytrych, co to w niedzielę popielice wkłada i dwadzieścia deka złota na łapy, przy Mamuńci krząta się Genek Łapka, czarniawy, o żydowskiej twarzy, taki złodziej-emeryt, kochanek Mamuńci, jej pokorny pomagier i pochlebca. To etap pierwszy. Lubimy się z Genkiem, siedzieliśmy kiedyś razem – więc wypijamy teraz ćwiartkę w bramie. Mamuńcia przykazuje surowo, tylko ćwierć i ani łyka więcej, Genek, też niezły aktorek, rozpoznał w tym moim Ładnym Współczesnym wdzięcznego słuchacza i od razu błyskotki swoje wyciągnął, gada kminą, wspomina więzienne pierepalki, wspomina siebie z czynnego życia, był wtedy z niego niezły złodziejski fachowiec, rozstajemy się wreszcie, bo Mamuńcia pokrzykuje niecierpliwie, Ładny Współczesny chce żegnać się z Genkiem, lecz ten cofa swą dłoń, mówi z namaszczeniem, lepiej się witać niż żegnać, odchodzimy. Ładny Współczesny oszołomiony, tłumaczę mu z zadowoleniem, to taki zwyczaj fatalistyczny urków, bo żegnać się pachnie wpadką... Zmierzamy teraz do budki z piwem, ten punkt niedaleko Mamuńci, trasa doskonale zorganizowana. Ta budka w dobrym miejscu, zawsze przy niej jakieś okazy. Teraz na beczce

przegniętej siedzi Adolf Jąkała, taki staruch, co nocą handluje kwiatami, pijany jak bąk, gada z trampem, zbieraczem śmietnikowym, obaj fioletowi, brodaci, Adolf pomachuje naręczem kluczy do wind, kluczami handluje w dzień, a nocą wtyka rozbawionym parom pęczki fiołków i róże pod kawiarnią.

Wchodzimy do kiosku od tyłu, to tylne wejście tylko dla zaprzyjaźnionych, znam doskonale tego w kiosku; facet jak góra, z wąsikiem maleńkim, zupełnie jak szynkarz z powieściowej speluny, wizerunek klasyczny, bo i brzuch baloniasty, i fartuch brudny, i łapy jak kloce, porośnięte rudawym włosem. Przyjaźnimy się od dawna, popijamy porter, fajnie siedzieć w kiosku i spoglądać na korowody ludzi zdmuchujących pianę, wypijających zachłannie tę najtańszą zaprawkę – duże jasne.

Adolf krzyczy cienko: – Nie mmam, nnie... – Ten zbieracz śmietnikowy z ręcznie podwija mu nogawkę, na nodze Adolfa, suchej, ze smugami brudu, kilka banknotów dwudziestozłotowych przyciśniętych podwiązką.

– bo ttto to mnie – zaperza się Adolf – ttto na czarną gggodzinę...

– Widzisz – mówię do Ładnego Współczesnego – jakie smutne, wariackie życie.

On patrzy ze skupieniem, zamyślony i poważny jakiś.

Myślę: „Duży cyrk robię, taki pokaz gratów, ale program dziś dobry, bo i komplet, i dużo usłyszysz ten Ładny Współczesny.”

Jestem już trochę zaprawiony, postanawiam, na Dół pojedziemy, do tych cwaniaczków-szakali, co zbierają się tam przy rogu Czerniakowskiej i Śniegockiej. Tak, na Dół. Ładny Współczesny cały przeniknięty już gotowością do tej egzotyki nieznanej, wódka potęguje jeszcze jego chłonność, jak prądem wyładowany tą gotowością.

Mówię do niego z powagą, skanduję słowa jak kamienie: – Tam zbierają się same kozaczki, rozumiesz, fajnie tam, speluny z wodą, tylko – cmokam z frasunkiem – trochę wygląd masz taki podpadający, te farmerki niebieskie, to uczesanie i but nosaty, ten sweter moherowy...

Ładny Współczesny zastanawia się, mówi powoli, no tak, oni nie lubią tego wszystkiego, tego frajerstwa, może być kocka z tego powodu i obciach dla ciebie... (Cha, cha, on już używa tego cwaniacko-złodziejskiego żargonu, te słowa od Genka, Dodka Piwiarza wpadają w niego jak w studnię.) Nagle twarz mu się rozjaśnia: – Płaszcz zapnę i chociaż tego swetra nie będzie widać.

Dodek Piwiarz patrzy na mnie z uśmiechem, mówi: – Gdzie go ciągniesz, rozfartowałeś się już, w cug się szykujesz – klepie mnie swoją łapą-kloce po plecach.

Dodek uważa mnie za równego chłopca, nie wie, że tyle we mnie kombinacji, udawania, w ogóle gnoju takiego, co wszystko zapowietrzy. Już ciemno, szukamy taksówki, wreszcie mamy i pędzimy (ten motyw też ważny, taksóweczką jedziemy na Dół, wygodnie w samochodziku zdążamy do osobliwego życia w rejonie Czerniakowskiej i Śniegockiej).

Na Dole całkiem czarno, bardziej niż na górze, bo tu latarń mało, jesteśmy na miejscu, ta Śniegockiej uliczka wąwoziasta, ponura, z parku dobiegają przeciągłe okrzyki: „Hija! Hiii-ja!!!” To Rysiek Długi ten okrzyk wymyślił, doskonale pasuje do tutejszej scenerii, pusto, stare, poobijane domy, ten park szumi, w parku pijaków rozbierają, co krok to meta, co krok to ci szakale z Dołu obslizgują cię uważnym spojrzeniem i przy tym wszystkim to: „Hija” – jak zawołanie szczepowe lub okrzyk wojenny.

– Więc jesteśmy na Dole – ogłaszam patetycznie.

Mijamy dwie rudery, brama, schodki bez poręczy, i już to mieszkanie. Długi rozwalony na tapczanie stęka żałośnie, do południa, mówi Iza, przyprawił i teraz odsypia, na podłodze raczkuje dzieciak, to dziecko Długiego i Izy, dwóch cwaniaków siedzi przy stole, pokrzykują do dziecka: „Hija, hija” – niech się przyzwyczajają, mówią, jeden z tatuażem na dłoni, o ostrym, przebiegłym spojrzeniu, to spojrzenie obmacuje uważnie Ładnego Współczesnego, drugi to Polder, brat Witka, dobrze się zapowiadającego kozaczka, co to zakłuli go nożami na

Chłodnej, zemsta to była, Polder nieboszczyk okradł kiedyś kozaczka z innej ferajny, i za to go właśnie. Ten Polder II też niezły zakapiorek, mówi do nas: – Git, że przyszlście, złożymy się na flaszkę.

Wstał już Długi, jak tę rozmowę posłyszał, wysoki przystojniak, podniszczony mocno, kiedyś najlepsze dziwki w nim się kochały, teraz on już tylko na Dole siedzi i z Izą żyje, z tą Izą ruchliwą, zwinną, o twarzy jak łasica, bez wieku i zniszczenia, gładką, bladą. No i zachlustaliśmy niezgorzej na tym Dole. Byliśmy jeszcze u drugiego równego chłopaka, u Bródki (Bródka dlatego, że nosi krótką, gęstą brodę, tu zjawisko prawie niespotykane). Bródka znów ma period nieszczęsny, dwa lata nie pił, mieszkanie przez ten czas urządził nowoczesnie, mebelki jasne, kinkiety, cepeliowskie obrusy, i dwa garnitury sobie sprawił, i znów złapał go ten period potworny, chla (on ma taki notes i w nim te cugi-periody zapisuje, każdy dzień cugu krzyżykiem oznacza, długie te periody, trzydziesto-czterdziestodniowe), drobniejsze ciuchy już sprzedaje i oczy ma takie biedne, żalosne, jakaś bezradność w nich mistyczna wobec tego periodu-potwora. Więc siedzimy u niego, mój Ładny Współczesny zdążył mi szepnąć o Bródce swą opinię, cholernie interesujący facet, trochę to mnie zezłościło, bo jakim prawem taki byczek, zdrowy, ładny – tak o Bródce, a ten Polder II i cwaniaczek z tatuażem raz po raz zerkają do szafy, tam w tej szafie dwa garnitury.

Myślę: „Oni go schłają, Bródka głodny gorzał, więc tak go schłają specjalnie, żeby jeszcze na jeden łyk miał wielki apetyt, i wtedy powiedzą, no, Bródeczko, waluty już nie ma... i pokażą mu te garnitury... on skinie głową, umęczony i głodny, oni te garnitury w mig wyniosą...”

Myślę: „Nie mogę do tego dopuścić... Lubię Bródkę i żal tych garniturów. Bródka ciężko tyra, a przecież inteligenciak z niego, teraz tokarz, świetny rzemiecha samouk, łapy ma poświęcane i jak róg twarde, szkoda... Samouk rzemiecha dlatego, że on kiedyś urzędniczą posadę miał, ale jak zaczęły się te wódy długofalowe, to z pracy go wywalili, i wiedział, że dalej z każdej takiej urzędniczej posady będą go wywalali, więc nauczył się lekarstwa, wiedział, że z takim fachem wszędzie go przyjmą, i jest to jego życiowe zabezpieczenie... I teraz znów rozwała mu się wszystko, te mebelki, garnitury diabli mogą wziąć, będzie znów chlał do dechy, samotnie, byle tylko woda była, będzie zamykał się na klucz i gorzałę ciągnął, będzie marzył, żeby już ta gorzałka wykończyła go, bo przecież nie może z tym sobie dać rady... szkoda...”

Mówię do Poldera II: – Nie patrz tam, w tę szafę, nie patrz!

Wściekłość nagle ogarnęła tych szakali, Poldera II i cwaniaczka z tatuażem, co ty, warczą, a ten z tatuażem nawet od tyłu mnie zaszedł i chciał trzasnąć, tylko Długi go odciągnął, Długi w tej sprawie z garniturami rozdarty boleśnie, wie, że z ciuchów woda, a znów głupio mu trochę, co ty, Krzysztof, powtarzał, co ty, a do nich, chłopaki, co wy, wreszcie udał pijanego i sztucznie zachrapał. Byłem już w strachu, jedyny sojusznik wycofał się. Ładny Współczesny nie wie, o co chodzi, błądzi oczyma po nas i nic nie wie. Bródka przyssał się do butelki i pije zachłannie, nic go teraz nie oderwie, a w oczach tych dwóch szakali chciwość i złość.

Polder II, taki mały, nabity jak bryłka osiłek, czółko na dwa palce i graby jak młoty, podsuwa się do mnie i warczy, ty nie znasz jeszcze ręki Poldera, nie znasz... I wtedy Ładny Współczesny zauważył tatuaż na ręku drugiego szakala, taka nad dłonią tapeta ozdobna, czaszka, naga baba, a wyżej święta panienska.

Ładny Współczesny zachwycił się, pochwalił te tatuaże. Polder II zazdrosny, rozpiął koszulę na piersi i pokazał mu swoje tatuaże. No, nieźle, ten Ładny Współczesny rozładował trochę tę parszywą sytuację. Zaraz zbudził się też Długi i opowiedział historyjkę o Polderach, oni są z rzeźnickiej rodziny, mówił, ich tatuś krew świeżą z wołu wypijał, dziennie trzy szklaneczki, tak, przytaknął Polder II, to jest najlepsze, taka krew, sam koncentrat...

A później Bródka otrzeźwiał jakby, udało mi się szepnąć o tych garniturach.

Nieznacznie wymknąłem się z mieszkania, za mną Ładny Współczesny.

Myślałem: „Nie wiadomo, co będzie z tymi garniturami. Bródka miał takie błędne, obce oczy.”

Ładny Współczesny powiedział: – Ale meksyk, ale typy, ale życie...

Przytrzymałem go za rękaw i powiedziałem zduszonym głosem: – Mogli nas zabić, kapujesz, kosami zarznąć.

Jego radosne spojrzenie stężało nagle w oszołomieniu.

Po chwili dodałem: – Ale musiałem się wtrącić, bo Bródka równiak.

Wyszliśmy na ulicę. Ładny Współczesny odetchnął głęboko.

– Tak, to duży charakterniak – przytaknął – a oni mu chcieli przewalane zrobić. (Już bez przerwy gwary więziennie-cwaniackiej używał.)

Z tym zarżnięciem to lipę wstawiłem, znów teatralność przemówiła ze mnie, owszem, czasem coś złego zrobią, ale w warunkach dobrych, gdzieś na uboczu, choćby w parku, tam, owszem, ten Polder II zmarszczyłby czołko na dwa palce, oczy białe od gorzały i zażarte, tam w parku mogliby, na przykład, rozebrać. Ale to nieważne, bajałem nieprzerwanie, dalej ten Dół malowałem na czarno, tydzień temu zegarmistrz stąd pił po śmierci żony, wypatrył go Polder i chodził za nim cały dzień, wreszcie dopadł go w parku, kosę wyciągnął i forszę zabrał. To prawda, ta opowieść bez picu, ale po co to gadałem, już garnitury Bródki mi zobojeźniały, tylko podniecony jak po dobrym przedstawieniu snułem krwiożercze opowieści.

Sprawa raczej wyrazista, co za kołomyja robi się ze mną, to wyszukiwanie nastrojów, te wędrówki, potęgująca się kołomyja.

Ładny Współczesny – barczysty, z otwartą gębą, w takich obcisłych farmerkach, zgrabny jak świca, na pewno tańczy znakomicie, tak specjalnie z wygibami, na pewno tak, dziewczyną owija, jej kiecka fruwa, nogi w wirującym szale, oni przecież prywatki często robią, adapter, niekiedy magnetofon, wino, woda i taka wesoła, młoda zabawa idzie pełną parą. Więc z nim ta moja ponura kołomyja, ten obchód menażerii, bo on chłonny, pełen ciekawości życia, jeszcze takiego, on myśli, z taką egzotyką, i ja z nim te kołowroty robię, jak wrak, błazen, taki bezzębny, niestary przecież, a jakby wypalony nygus ze mnie. Zawstydziłem się trochę, głupio jednak. Szybko wynieśliśmy się z Dołu.

Jesteśmy w śródmieściu. Ładny Współczesny cieszy się wrażeniami, pasuje mi to wszystko, powiada, idzie ulicą zaczepny, wyzywający. Przy sklepowej wystawie przystaje obok dziewczyny z dumną, czystą twarzą. Coś gada, ona, ta wyniosła dziewczyna, uśmiecha się do niego, spodobał się jej, ma taką twarz portretową, piękną, uśmiecha się przyzwalająco do niego. Ładny Współczesny za nic ma jej przyzwolenie, całą tę chęć w jej niebieskich, wielkich oczach psuje od razu, mówi do niej, te, równiaczka, jak chcesz, to możemy się zblatować, zachichotał uszczęśliwiony. Jej mina: niesmak, oburzenie; odeszła.

Wtedy pomyślałem: „Pójdziemy do mojej Eli.” Zawsze po tych wycieczkach do niej wracam, czasem przyprowadzam ze sobą tych różnych facetów poznanych na trasie, lubię tak wracać, pokazać jej, poznać ją z kimś interesującym, to jak gdyby przecież usprawiedliwia moje włóczęgi, więc bogata galeria typów przewinęła się przez to mieszkanie Eli, dziś też będzie nowy, Ela zawsze fajnie ich przyjmowała, nigdy zła, cieszyło mnie jej opanowanie, bo żadna to właściwie przyjemność dla niej, nuda przecież siedzieć wśród miotających się i zprawionych, cieszyła mnie ogromnie ta jej wyrozumiałość dla mnie.

Gites zaprawka, gdał Ładny Współczesny, dobrze, że jeszcze nie koniec...

Zapukaliśmy do niej. Ładny Współczesny mamrotał, ale ty masz mety wszędzie, w całym mieście... ho, ho...

– Moja laleczka – przedstawiłem Ładnemu Elę – równiaczka, duża równiaczka.

Tak, pamiętam, w ten sposób powiedziałem. Ładny Współczesny potknął się o próg, ale zwinna z niego sztuka, wykonał przysiad, podskok, nie przewrócił się, taki jak sprężynka, smukły i bardzo obcisłe ubrany. U Eli była koleżanka, pulchna, rumiana lekarka, twarz okrągła, śmiesznie tłusta i w tej okrągłości grymas gorzki przy ustach, dziwnie ostry grymas.

Ten grymas stąd chyba, opowiadała mi Ela, że ta lekarka w swych sprawach z mężczyznami zawsze doznaje zawodu, nie wychodzi jej nic, te jej miłości rozwiewają się już na początku, mówi mi Ela, że ona za bardzo staroświecka i sztywna.

Ela dziś bardzo fajna. Wino wyciągnęła. Miła. A przecież wiem, co to za męka być wśród zaprawionych, nuda na trzeźwo przysłuchiwać się bełkotom i widzieć gęby wódą pokrzywione. Szepnęła też mi Ela, że mógłbym skończyć już tę zabawę, cały dzień przecież...

I jak zabraliśmy się do wina, pomyślałem tak: „Ta Ela niby tak bardzo moja, oddana, wierna, a byle czym można przecież udowodnić, że nie jest nigdy tak, żeby ktoś bezwzględnie i prawdziwie należał do kogoś.” Wrednie pomyślałem, bez żadnego powodu. Tyle w oczach Eli zaufania do mnie, trochę smutku, że cały dzień tak się tyłtam w wódzie wędrowniej. Ale ja byłem już z tą gębą swoją, niby kamienną, i ten skrzyw ust wredny, zły. Zaczynałem też mówić lekceważąco, po alfonsiacku, takie maniery lewe miałem przy winie, no, lalka, daj coś na ząb, i może jeszcze trochę wińska, no... Rozparłem się niedbale, gęba coraz bardziej wredna.

Ela poszła do kuchni robić zakąskę, ja za nią, oczy już miałem nieufne, przeciw niej oczy, i mówię słodko, ładny chłopak, nie?, taki współczesny modniak, polubiliśmy się, będę z nim kolegował.

Wypiliśmy wino, potem skoczyłem do dozorczyńni po wódkę, na zakąskę był boczek i pomidory.

Ładny Współczesny dobrze się poczuł, gadkę zalotną, towarzyską wstawiał. A u mnie w środku ten kocioł zaczynał już wrzeć, bulgotać, co kieliszek obsuwałem się coraz głębiej, Ładny Współczesny rozprawiał gestykując, obserwowałem pilnie Elę, patrzyła na niego niekiedy, myślałem, podoba ci się ten w dzinsach byczek, ona chyba skrycie lubi takich chłopaków, pełnych życia, prostych, świeżych, zawsze za takim okiem strzeli, na pewno pociąga ją taki lżejszy konszacht z chłopami, bez tych moich zajobów, nastrojów, tego jadu, no tak, ona jak najbardziej obca, chyba z rozpędu tylko trzyma się mnie.

Przypominałem wszystkie takie jej spojrzenia na ładnych w kinie, na ulicy, w kawiarni, zaczął mnie ogarniać rój tych jej spojrzeń, ona coraz bardziej obca, jak wróg dla mnie, a ja frajer, ciężki frajer, myślałem, oszukany frajer, obsuwałem się coraz głębiej...

Na głos zaś, całą twarzą, przytakiwałem tokowaniu Ładnego Współczesnego, mieniłem się sztucznym zachwytem, kiwałem głową, Ładny Współczesny zadowolony, tokował coraz bardziej, szpikując to nieco powiedzonkami z Dołu... Ela zna te moje obłudne gierki, więc i teraz wiedziała, że to potakiwanie Ładnemu Współczesnemu wyraża moją wrogość wobec niej, pogardę, obojętność. Złapała mnie fala nienawiści. Myślałem:

„Aż piszczysz za takim smacznym gdakaniem, pełnym przechwałek i zalotności słodkiej, jeszcze przy tej jego urodzie, zdrowej, jasnej, ty mała blond jak aniołek dziwko, to ci jest potrzebne jak powietrze, on podoba ci się, taki pociągający swą modną młodością, takie oczy niebieskie, lekko skośne i brwi zrosnięte, a jeszcze te ruchy jego kocie, deanowskie, tak, tak – wgryzałem się zaciekle w swoją nienawiść – dość już masz tych moich siupów, tej mojej mordy wyblakłej, zmęczonej, tej paszczy z zepsutymi zębami, grymasem jakimś zawsze wykrzywionej, obłudnie tylko udajesz, ale to kłamstwo, więc dać ci tylko sposobność, więc...”

Ładny Współczesny nachylił się nad radiem, znał jakąś stację z jazzem znakomitym, zaczął suwać gałką, wreszcie złapał tę stację, śpiewaczka ochrypla, głos niski, wibrujący. Ładny Współczesny zatańczył z tą lekarką pulchną i w miłości nieszczęśliwą. Wyginali się, nie myślałem, że ta werterowska pulchność umie tak przeżyć się i dygotać zadkiem, włożyli w siebie, okręcali się, ta lekarka popiskiwała nawet, i jej podobał się Ładny Współczesny. A Ela patrzyła na ten taniec od niechcenia, ziewnęła nawet w dłoń, niby stateczna, niby obojętna, ale też ci się chce tej zabawy, blond dziwko, zgrzytnąłem zębami, niezły kocioł u mnie, wir jak ten taniec (teraz właśnie kręcili się jak frygi), cały się rozwalałem, klepka po klepce.

Skończyli tańczyć. Lekarka zadyszana, radosna. Znów jazz bełkotliwy z radia popłynął.

– Teraz niech Ela też – powiedziałem – zatańcz, no...

I Ela zatańczyła z Ładnym Współczesnym. Przez cały czas tańca sączyłem wódkę, nie smakowała mi już właściwie, ale ten kocioł w środku potrzebował wody jak ogień drzewa. Ela wiruje, wygina się, Ładny Współczesny przytupuje, Ela uśmiecha się, przegina głowę, piersi jej falują, śmiech coraz bardziej natarczywy, niby to towarzyski śmiech, ale nie, to tokowanie samicy, odzew na zaloty samca, sprawdza się wszystko, myślałem, zacisnąłem pięści pod stołem, byłem prawie pewny swego, tylko jeszcze parę minut, może trochę więcej, i już, niekiedy jeszcze przeciw tej pewności jakiegoś resztki rozsądku występowały, przecież sam to organizujesz, kierujesz cały czas tym spektaklem, co chcesz od Eli, ona nie chce, ale zaraz ten rozsądek osuwał się gdzieś na dno, przywalała go jadowita pewność, że już nic nie ma oprócz kłamstwa i złudzeń, zaraz zresztą to się okaże, szeptało mi Coś w środku, przecież ten taniec też ci chyba wyjaśnia, spojrzałem na Elę, rozchylone usta, zadowolona, no, to Coś ziało pewnością, no...

Zerwałem się od stołu, szarpnąłem Elę za rękę, przyciągnąłem do siebie i wykręciłem jej dłoń, to było bardzo bolesne, ale twarz Eli nie wyraziła nic.

Ładny Współczesny zbaraniał na chwilę, ponieważ jednak przywykł już dziś do nieoczekiwanych efektów, spokój wrócił mu na twarz i nawet uśmiechnął się wesoło. Ela usiadła przy stole i wypila duszkiem dwa kieliszki gorzały.

Zacząłem śmiać się paskudnie, mam taki śmiech parszywy, prowokujący (coś w tym z błazna i pogromcy), spojrzałem też z zadowoleniem na rękę Eli, mocno wykręciłem, czerwona obrączka na przegubie i chyba puchnie już.

Powtarzałem szeptem, ty dziwko, dziwko... Ta koleżanka Eli, lekarz, przerażona, jej zmętniałe oczy wpatrywały się we mnie jak w raroga. Ściągnąłem twarz, karczemność zdusiłem w sobie i powiedziałem bezbarwnym głosem: – Po prostu uniosłem się, zresztą to nie ma znaczenia, ona jest zwykła (przeżulem przekleństwo)... – powtórzyłem – zwykła...

– Krzysztof – odezwała się błagalnie Ela – jesteś zmęczony, niech on już pójdzie stąd, niech wyjdzie ten chłopak, po co on przy tym...

Odepchnąłem ją. – Udowodnię ci – wykrztusiłem – zobaczysz. – Co mam udowodnić, nie wiedziałem dokładnie, byłem jednak pewien, że stanie się coś takiego, co skopie mnie i zeszmaci do ostatka, przecież starannie zająłem się całą sprawą... Nikły głos rozsądku odzywał się jeszcze, przecież, mówił mi, jesteś niezłym reżyserem, ta heca z Dołem i Ładnym Współczesnym piękna robota reżyserska, więc nic się nie stanie, umiesz reżyserować, więc reżyseruj odpowiednio, ale zaraz natrętnie pojawiało się to Coś w środku i wir ogarniał mnie ze zdwojoną siłą.

Pulchna lekarka spojrzała chyłkiem na Ładnego Współczesnego, podobał się jej ten chłopak, zalotnie wybałuszała gały. Ładny Współczesny poprosił ją do tańca, w tańcu uśmiechał się pięknie, ujmująco, ona skręcała się pod tym jego zabójczym spojrzeniem, podniecona, dysząca, i piersi jej miękko kolebały się pod sukienką.

Ela siedziała z opuszczoną głową, nogi szeroko rozstawione, taka sylwetka zmęczona i nieefektowna.

Ładny Współczesny i lekarka usiedli na dywanie pod szafą, ona blada, dyszała śmiesznie, on objął ją w pół, zachichotała, taki chichot historyczny, napastliwy, on uśmiechnął się ujmująco, pulchna lekarka przymknęła oczy.

Zacząłem też chichotać, ona już prawie rozpracowana, myślałem: „Taka staropanieńska i sztywna, pełna surowych wymagań wobec mężczyzn, miłości, tu na dywanie topi się jak wosk i tylko tłuste piersi coraz szybciej falują, gorzkie zmarszczki wokół ust jakby zatarły się, i ten chichot jej wyzywający.”

Więc ten chichot, kombinowałem, to prawda najgłębsza o niej, bo tamto, marzenie o wielkiej miłości, gorycz niespełnienia się ideału to tylko pozór, to obłudna skóra, i tylko ta zmy-

słowość dobywająca się teraz z jej tłustego ciała mówi coś o niej, choć może i to, i tamto prawda o niej jednakowo ważna.

Ela nadal tkwiła w tej pozycji zmęczonego człowieka, nogi szeroko rozstawione, głowa wtulona nisko, była jakaś chuda, biedna, coś mamrotała monotonnie.

Zaciekawiony wsłuchałem się w to mamrotanie, ona powtarzała: – Dlaczego to zrobiłeś, boli mnie ręka... dlaczego... – Zrobiło mi się jej żal, przecież ona niczemu nie winna, to ja jestem bydlę, kołuję dziewczynę, siedzi zupełnie złamana; ale ten kocioł w środku nie pozwolił mi być za długo sprawiedliwym. Jednym gwałtownym posunięciem zamotałem wszystko i po raz drugi spojrzałem na Elę już tylko z mściwą nienawiścią. Ela nie patrzyła na mnie, w ogóle pograżona w jakichś posepnych rozmyślaniach.

Ładny Współczesny wstał z podłogi, zatoczył się bezwładnie i plecami rąbnął w oszkloną szafę, szkło posypało się z brzękiem, on już porządnie zaprawiony. Zaprowadziłem go do kuchni, podstawił głowę pod kran, puściłem strumień wody, trochę go to otrzeźwiło, powtarzał głupawo, ale u ciebie git meta, dziweczki równe, ho, ho... (Ten żargon cwaniacki był już wyłącznym jego językiem dzisiaj.)

„Więc on nic dalej nie kapuje, nie wie dotąd, że Ela to naprawdę moja dziewczyna, po prostu dla niego dziweczka równa, uważa to mieszkanie za metę, swoją drogą bystry on nie jest, dla niego wszystko dzisiaj jest metą i dziwką, to ładny głupek” – pomyślałem bez złości.

Wesoły, równy, dansior zawołany, niefrasobliwy byczek, nieźle takiemu, takie psie, pijane oczy, uśmiech ujmujący, otwarty, i ta fajna, krótko strzyżona, na bok przylizana czuprynka.

To i dobrze, powtarzałem, doskonale, sprawdzi mi się wszystko w oczywisty, bez niedomówień sposób, jeszcze sekundy, minuty, wiedziałem, sprawdzę wszystko, doprowadzę do końca, to jest nieuchronne.

Wróciliśmy do pokoju. Ładny Współczesny objął lekarkę, przytuliła się miękko do niego, twarz miała zadowoloną, wyczekującą, pogładził ją po policzku, zachichotała. Ela płakała cicho.

– Co za cmentarz! – ryknąłem – bawić się! – Na cały regulator nastawiłem radio. Ładny Współczesny i lekarka poszli do drugiego pokoju, on wychodząc zerknął na mnie chytrze i zamknął drzwi za sobą. Potem zza drzwi śmiech, jego głos, jej szept, tupot, szelest, radio hu-czy... Ela popłakiwała nadal.

– Przystań beczeć – szydziłem okrutnie – zaraz i ty z nim zatańczysz. Nie bój się, ja dopilnuję kolejności... A ładny z niego chłopak, przystojniak, co... i taki zdrowy, przejrzysty, nie nadgniły...

Czego ja od niej chcę, nie wiem, ale zastawiałem tę sieć na nią gęstą i głos mój taki zimny, bezbarwny, twarz bez wyrazu, obca. Ela podniosła dłoń do góry, palce wpiła w policzki. Ustał tupot, ustały głosy, cisza w tamtym pokoju.

„Więc już” – pomyślałem. Ostrożnie zajrzałem tam. Chwycił mnie śmiech, z trudem zdusiłem. Oni leżeli na tapczanie. Splątani, ruchliwi, kłębili się na tapczanie. Ta lekarka, dusiłem się śmiechem, taka cnota godna, wóda ją wzięła. Współczesny ją wziął.

Pociągnąłem Elę za rękę. – Patrz – szeptałem – wszystko się sprawdza. – Co się sprawdza, nie wiedziałem, ale czułem, że do czegoś to prowadzi.

Ona spojrzała na skłębione, obnażone ciała. Wyrwała mi się gwałtownie. Podbiegła do stołu. Tę resztkę wódki wypila z butelki. Oczy zupełnie błędne. „Już skołowana” – pomyślałem.

Widok tej koleżanki lekarz, z uporem szukającej prawdziwej miłości, niezłomnej w tych uczuciowych wątkach, zdecydowanej i nieugiętej, teraz splątanej z Ładnym Współczesnym w bezwstydnym układzie na tapczanie – mnie też przeraził. I po raz pierwszy w tym spektaklu poczułem rosnący strach, ale zawracać już nie można, za późno. I dalej mówiłem spokojnym, bezbarwnym głosem (sam jad w tym głosie):

– Widzisz, twoja przyjaciółka, wzór niedościgły, te jej czyste, nie spełnione marzenia... i teraz... na wszystko jest sposób... bycza kuracja... A i ty – ściszyłem głos do świstu – zobaczysz... – Oczy Eli błędne, pełne zwierzęcego strachu, zupełnie już skołowana.

Oni wrócili do pokoju roześmiani, trzymali się za ręce, Ładny Współczesny jeszcze bardziej pijany.

Pulchna lekarka rozczochrana, uśmiech na jej twarzy sztywny, napięty jak grymas. Wtedy pomyślałem: „Ona tak sobie postanowiła, ona chciała Tego wszystkiego nie od dziś i w tej okazji postanowiła To zrobić...”

Ela wybucha histerycznym płaczem.

– Idźcie stąd! – krzyczy – idźcie...

Znów przeszył mnie strach. Co z tego będzie? Ale nie mogłem długo się zastanawiać, martwisz się, powiedziałem sobie, zobaczysz, lepiej wcześniej niech ci się oczy otworzą, nie możesz stchórzyć.

Ela podbiegła do pulchnej lekarki, chciała ją uderzyć, źle wymierzyła, trzepnęła dłonią w ścianę, mocne uderzenie, dłoń czerwona, spuchła jak befszytk...

– Balecik, balecik się zaczyna – mówiłem swoim ostrym, z wielu igiełek złożonym głosem.

– Teraz – zwróciłem się do Ładnego Współczesnego – powinieneś zatańczyć z Elą. Jej też się należy – mrugnąłem do niego znacząco.

On ciągle nic nie rozumiał, przeniknięty tą pozorną zabawą, radosny i zadyszany, pewnie te wszystkie baleciki mu się przypominały, na studiach czy już w tej galanterii torebkowej, chata wolna, zbiera się ich kilku, dziewczynki modne też są, tańczą, wino żłopia; to wszystko prowadzi do wesołego, przyjemnego końca (najwyżej kilka bolesnych westchnień i wielkich miłosnych przyrzeczeń).

I ten balecik tutaj spodobał mu się bardzo, bo taki inny, z obudową ciekawszą, to wykręcenie Eli ręki (cholernie spuchła teraz, widzę), ta lekarka bezwolna... Nic Ładny Współczesny nie rozumiał.

Teraz nagle rzucił się skokiem do korytarza. Ale drzwi trzasnęły mu przed nosem. Stukot obcasików na schodach. To pulchna lekarka uciekła. Szybko, zręcznie wymknęła się z mieszkania. – Jedna już po zastrzyku – zażartowałem po chamsku.

Ela zaczęła czesać się starannie, upudrowała nos; chusteczką przetarła oczy, już nie płacze, twarz jak maska, blada, zastygła. Strach patrzeć. Ona zdecydowała. Nie patrzy w ogóle na mnie. Oczy skupione, zimne. Zdecydowała. Strach zaświdrował natarczywie.

– Tańczyć! – ryknąłem. – Tańczyć!... Bawić się!

Tańczyli. Sącyłem to wstrętne owocowe wino, we łbie jeden wielki wir, nie ma spokoju, nie ma nic, wali się wszystko, po co złudzenia, upić się, kierować sprawą do pointy, podpowiada to wszechwładne Coś, już niedługo, zobaczysz spustoszenie, oni tańczą zajadle, ładny chłopak, świetne wygiby i nuci tak dziko, gardłowo, Ela uroczysta, skupiona, nie ma już nic...

Oni zwolnili tempo. Ładny Współczesny przycisnął Elę, pocałował. Nie bronila się. Więc już. Przesunęli się do drugiego pokoju. On zaczął nogą, tak po cwaniacku, nieznacznie przymykać drzwi.

Dostrzegłem twarz Eli. Dziwne to, była przecież potężnie pijana, chwiała się, a twarz jak odlew, nic w niej nie rozlażyło się (zwykle przecież po wódzie twarz jak wata, rozmamłana), i oczy miała przenikliwe, ostre.

Opuściłem głowę. Nie było odwrotu. Tylko wir w środku i nie sposób żadnej znaleźć rady. Podszedłem do nich, popchnąłem silnie Elę, upadła na tapczan jak kukielka.

– Na razie – wykrztusiłem – zostaniesz sama... bez nikogo... Ale może – dodałem – później zdecyduję inaczej...

Ładny Współczesny poszedł za mną. Przystanęliśmy w bramie. Było już dobrze po północy.



„Pójdę na Polną – pomyślałem – mam jeszcze forszę, będę pił na placu.”

Ładny Współczesny przytrzymał mnie za rękaw.

– Och, zostawiłem zegarek tam – szepnął. Popatrzyłem na niego z uśmiechem.

– Muszę dokończyć baletu – rzekł mrugając chytrze lewym okiem.

– Dobrze, pękaj!

Odszedł. Zostałem sam. Popatrzyłem za nim. Taka zgrabna, sprężysta sylwetka.

Na Polnej ruch, badylarze zjeżdżali taborem, wozy z piramidami kapusty, kalafiorów. Lampki przy wozach migotały jak błędne ogniki.

„Więc klops” – pomyślałem i szybko przygryzłem wargi, bo bardzo wyć, ryczeć mi się chciało.

Kręciłem się po placu. Włąziłem w gromady handlarzy i chłopaków w butach z cholewami. Chciałem spotkać kogoś znajomego. Pogadać, napić się wody. Przy kiosku dreptały dziwki. Może któraś znajoma? Ukłoniłem się. Poczestowałem papierosami. Stare, wysłużone dziewczyny. Nie znam ich.

– Może masz chęć – zapytała któraś – nie wstydz się.

– Nie – odparłem – wracam z baletu. Tam było tego po uszy...

Roześmiały się.

Od baby w fufajce kupiłem ćwiartkę z zakąską. Cztery dychy to kosztuje. Na zakąskę kawałek ciepłej kaszanki. Rozglądałem się niecierpliwie. Nikogo znajomego. Podjeżdżały takśówki, wysiadali faceci. Niektórzy w czarnych garniturach, odstrojeni, pewnie zjechali tutaj z nocnych knajp i dansingów na poprawkę. Ulicą przechadzał się milicjant, ale blatny, bo baby z wodą w słomianych koszykach nawet nie zwracały na niego uwagi.

Ten Księżę Nocy, Rysiek, co ma wariackie papiery, wyrósł przede mną niespodzianie. Wynurzył się zza wozu z pomidorami i chwycił mnie za rękę.

– Witam w królestwie nocy – powiedział. – W moim królestwie.

Z nim się napiję. Wyciągnąłem butelkę. Księżę pociągnął z flaszki. Nie żałowałem mu. Zakrzuszył się i wylaży mu oczy. Przystawiłem sobie do ust butelkę. Zaleciało ostrym, jakby denaturowym smrodem. Właściwie nie miałem już chęci pić. I trzeźwy też byłem, jakbym nic nie pił, trzeźwy, diabelnie zmęczony i pusty jakiś wewnątrz, jak wydrażony, nic nie myślałem, poruszałem się jak manekin i nie słyszałem, co gada Księżę.

Pociągnąłem mały łyk, ale poczułem taki wstręt, że zaraz wyplułem.

– Nie marnuj – wykrzyknął Księżę – daj mnie. – Zabrał mi flaszkę i wsunął do kieszeni. Uśmiechał się przymilnie, łąsił się do mnie za tę flaszkę. Jakiś handlarz w skórze po kostki wskazał na Księcia, cała gromadka wybuchnęła śmiechem. Właściwie wszyscy nocni cwaniacy pogardzali teraz Księciem. Łachudrowaty, zawsze bez grosza i stuknięty. Księżę pogroził im pięścią. Bardzo zły, dygotał. Taki mały, wychudzony człowieczek. Już i baby za boki się brały od śmiechu. Śmiech ze wszystkich stron. On coraz bardziej jak w febrze dygotał. Też zadrzałem. Ten śmiech ze wszystkich stron. Do Eli parę kroków stąd.

– Chodź – pociągnąłem go za sobą.

Ukryliśmy się za wozem.

Znam tego Księcia od dawna, jeszcze z czasów kiedy był z niego sprężysty, cwany przystojniak z cieniutkim jak przecinek wąsikiem, alfonsiak to był przedniego sortu, inteligentny i wymowny, bo i dwa lata studiów miał, zawsze mucha, garniturek. Teraz dwa zęby śmiesznie mu wychylają się spod warg, robi miny niby groźne, żałosne.

Dawniej te jego miny wstrząsały mną, w ogóle Księżę ucieleśniał wtedy całe to mitologiczne w mojej wyobraźni, ciemne, skłócone z prawem życie, sny miałem o tym niespokojne.

– Te zęby to chyba ostre masz? – zapytałem z kpiącą miną.

– No, jednemu gardło tak rozorałem, cholernie ostre – wykonał szeroki gest kosiarza. Uspokoił się już, przestał dygotać. – Jak chcesz – powiedział – możemy się przekimać... Mam tu hotelik.

Poszliśmy. Na końcu placowej uliczki wśród handlarskich bud rozwalony stragan.

\*

...Ładny Współczesny już jest tam. Widziałem dokładnie, jak wchodzi, uśmiecha się ujmująco... To zależało ode mnie. Tylko. Męcząca świadomość. Gdyby nie ta woda... tandetna, teatralna eskapada. Gdyby nie ten atak na Elę, małą, biedną, skołowaną. Gdyby nie puścić Ładnego Współczesnego.

Jeszcze teraz pójść tam, jeszcze jest czas... O, rany, rany... – Daj łyk – powiedziałem do Księcia. Wypiłem do końca. Ułożyliśmy się na deskach w tym rozwalonym straganie. Księżę wyciągnął derkę śmierdzącą końskim potem. Nakryliśmy się. On zaraz zachrapał.

O, rany, rany – powtarzałem, strach ścisnął gardło, nic nie mogłem zrobić, nic...

\*

To był późny ranek. Wstałem ostrożnie, żeby nie zbudzić Księcia. Przez dziurę w płocie wyszedłem z bazaru. Najbliższa budka telefoniczna przy rogu. Automat czynny. Wykręciłem ten numer. Głos Eli.

– Więc ? – zapytałem. I czekałem ściśnięty mocno, największy ucisk w piersiach i gardle.

– Byłam zupełnie nieprzytomna – odpowiedziała po długiej chwili – on położył się obok, nawet nie wiedziałam...

Powiesiłem słuchawkę.

Jeszcze kilka godzin temu nie było tego piekła. I mogło nic nie być. A teraz.

Oślupiały tkwiłem w telefonicznej klatce. Zebrało się już kilka osób. Pukali w szybę. Wyszedłem. Zniszczone wszystko.

Przecież całą swą umiejętność, maskaradową umiejętność włożyłem we wczorajszą historię, miny moje kamienne, odpychające, oczy jak brzytwy, pełne chciwego oczekiwania na jej załamanie, broniła się długo, piła, śmiała się, tańczyła, jednak – kruszyła się jej odporność, nienawiść do siebie rozpętałem w niej, tak płakała cicho, monotonie, kiedy koleżanka lekarz wróciła z Ładnym Współczesnym z drugiego pokoju, i wtedy złapał mnie strach, i nic nie mogłem na to poradzić, posuwałem się do końca, i jak umiejętnie prowadziłem ten gnilny wątek, znakomicie, każdy szczegół precyzyjnie opracowany, wbijałem w nią oczy, one mówiły, jeszcze nie, ale za chwilę, jeszcze trochę, i...

Ta atmosfera gęstniała, otoczyła Elę duszną powłoką, nie było żadnego wyjścia. Widziałem teraz tę sprawę przeraźliwie jasno. A wystarczyło wtedy tylko wziąć się za mordę, zgnieść to Coś w sobie, stłamsić, nalewać spokojnie wódkę, pić rozsądnie, żartować, śmiać się, jak to ludzie przy wódce, wreszcie powiedzieć, no starczy już, dość. Ładnemu Współczesnemu powiedzieć idź, późno, cześć.

Ale na kocioł nie ma przecież sposobu. Ten jest dzisiaj, wczoraj nie. I to jest właśnie kocioł. Hodowałem przez trzy lata sprawę z Elą, to najlepsza, powiadałem z promienną pewnością, najfajniejsza sprawa mego życia, wiedziałem też, że wszędzie jest gnój, kupa gnoju, ale w tej mojej sprawie, mówiłem, nie ma gnoju, nie może być gnoju. I przez jeden wieczór zgnojiło się wszystko. I tyle było szans uciec od tego. Tyle. Przecież mogłem Ładnego Współczesnego nie puścić tam, na plac z nim iść, pod końską derką we trzech byśmy się zmieścili.

I dokładnie widzę teraz Elę, złamaną, przerażoną, leży jak worek, traci świadomość, sen ogarnia ją ciężki, zły, on wraca z ulicy, taki Ładny Współczesny, wraca kończyć tę fajną zabawę, ten balet prima sort, myśli pewnie o mnie, ten Krzysztof umie urządzać ciekawskie imprezy, stoi nad Elą, w tych farmerkach niebieskich, sztywnych, i cieszy się... Nic nie ma, zawaliło się wszystko. To jest właśnie kocioł.

O, rany, rany, jak ja się pozbieram do kupy.

## ZAPIS 1965

### NA PRZYSTANKU KOLEJKI WKD

Kolejna fala mrozów. Bo poza tym, że cały czas zimno, to jeszcze ogarniały takie ekstra wyże ze wschodu lub północy. Dochodzi do  $-26^{\circ}$ . Maleńka poczekalnia kolejki WKD. Późno. Student rozciera nos, uszy. Jest wściekły, że tak długo zasiedział się w Warszawie. Tyle czasu do przyjazdu kolejki. Głupi rozkład, późnym wieczorem tylko dwie na godzinę. Dwaj robotnicy przytupują nogami. Wracają z drugiej zmiany. Stary, siwo zarośnięty, i drugi, barczysty, krzywonogi, dużo młodszy.

– Siedzimy w kantorku – opowiada młodszy – to ja Anioła, Fredka i Byrczaka namówiłem, na wała kostnieć na tym mrozie, oni trochę dryfili, wyładunek terminowy, na to ja do Anioła, nie bądź frajer, wykończysz się, zresztą mieli buty filcowe wydawać, nie wydali, więc co będziesz zdrowie tracić, na wała. No i przycięliśmy sobie w kantorku w tysiąca, ten Byrczak ma fart w tysiąca, zawsze wygrywa, zawsze sobie jakiś meldunek dobierze, mówię ci, szły mu karty jak woda, z jednego rozdania dwa meldunki dobrał, sto i osiemdziesiąt, i z jaką jeszcze obstawą, wygrał cztery dychy, no to postaw, mówimy, chytry nie jest, nie powiem, dwie dychy do puli dał, my po dziesięć, miał iść Fredek po flaszkę. A tu Anioł jak się nie zerwie, taką minę, jakby rozstrzelać mieli, zrobił i krzyczy, dyrektor, jak pragnę Boga, dyrektor, chowajta karty, Byrczak chciał oknem wyskakiwać, a ja mówię, co wy, na wała pękać.

I wpadł dyrektor, od razu zaczął trzaskać dziobem, gdzie świadomość, poczucie obowiązku, tu partia, rząd, mobilizacja, to, śmo, a ja mu twardo wchodzę w gadkę, taka mowa, mówię, do składu desek, mieli filcowe buty dawać, mieli ?, nie dali, zdrowia nie będziem tracić, tak, tak, nie myśl, że to bajer, tak mu zameldowałem, nie pękałem nic, zresztą akurat jeden prywatniak dawał mi piękną robótkę u siebie w warsztacie, w moim starym fachu, wiesz, ślusarka, tylko bez ubezpieczenia, a razem z tym dyrektorkiem w puszcze siedziałem, jak pragnę Boga, pracowałem wtedy na składnicy, co to strażnik nas wykapował, żeśmy te waniutki wynosili, on wtedy też siedział, brak nadzoru, coś takiego, tyle tylko że wyskoczył ze sprawy, ale on tej odsiadki cholernie się wstydzi i wcale na mnie nie patrzy, tak oczy mu ode mnie odskakują, i mówi, no, racja, te filce za dwa dni będą, ale z wagonami naprawdę paląca sprawa, stoją już tyle czasu, opłaty rosna, weźcie to pod uwagę, koledzy, już się całkiem złamał, koledzy nam mówił, cha, cha, i jeszcze na koniec powiedział, że po robocie stawia dla całej brygady pół basa spirytusu do herbatki, panowie szlachta, powiedział, to takie jego przysłowie. Ten Anioł, mówię ci, gnojek taki, podobno on wszystko personalnemu donosi, więc tak się dyrektorowi jak lokaj uklonił, dziękuję w imieniu wszystkich za poczęstunek, panie dyrektorze, a ja już trochę byłem zaprawiony i tak mówię, wyłącz się. Anioł, z tą twoją gadką-szmatką, a jak obywatel dyrektor, mówię, taką życiową propozycję zrobił, to chyba ten numer przejdzie. No i wyładowaliśmy, nawet za zimno nie było, i gorzała potem duża, bo i pół basa

spirytusu od starego, i my jeszcze przecież swoją flaszkę, Anioł przyniósł, możliwie nawet popiliśmy, ale już nic nie czuję tej gorzały, wyparowała.

Młody krzywonogi szczelniej owinął się fufajką, dla rozgrzewki zaczął walić się oburącz po plecach, z ust były mu kłęby pary.

– I kolejka już nawala – spojrzał na zegarek – piętnaście minut spóźnienia.

– Anioła pamiętam – odezwał się stary – robiłem z nim w WSK, tak, on zawsze bał się naczałstwa, czapkował byle majstrowi, i tam też mówili, że on z językiem lata, ale ja nie wiem, w ogóle to nie żałuję, że zwolniłem się z WSK, na początku, tego, owego, no, bo tyle lat tam przerobiłem, ale tu, gdzie teraz jestem, dużo lepiej, mniej się narobisz i te same pieniądze. Wczoraj też pochłaliśmy, podział zysków u nas, wszystkim frezerom z naszego oddziału dali po siedemset, szum się zrobił, wszyscy obliczali, że więcej trafia, Błaszczyk to nawet tak sobie kombinował, teraz moja nareszcie się odczepi, wezmę te pieniądze, najwyżej dwieście przechlam, resztę jej dam i powiem, no, bierz tę pralkę i wyłącz się wreszcie, Błaszczyk to ma starą, ho, ho, nie przegadasz jej, jak cekaem, i ostra, on nawet jak sobie popije, to i tak się jej boi, no i Błaszcykowi mina się wyciągnęła, jak dostał te siedem stów, masz pralkę, śmiać mi się chciało, ja tam od razu wiedziałem, sami sobie dobrze dadzą, tak zawsze jest, a nam tylko ochłapy, i tylko się śmiałem, a oni wszyscy rozrabiali, po co ta rozróżba, oni, ci z dyrekcji, i tak wytłumacza, powiedzą: inwestycje, fundusz socjalny, chcemy zbudować dom kultury, to taka ich mowa od pięciu lat, na to nie ma sposobu, więc mówię, chłopaki, bez nerw, lepiej zorganizować gorzałę na przepłukanie żółci, wpierw popiliśmy w knajpie, potem u jednego ustawiacza, pochłaliśmy porządnie, noc już, chcę się wyrwać, a Paradowski nic, tylko zostań i zostań, mnie już za parę minut kolejka odchodzi, a Paradowski, nie przejmuj się, jakoś damy sobie radę, jak tak gada Paradowski, to już wiem, o co mu chodzi, podskoczmy do jego syna i tam się prześpimy, on się tym synem chwali, ho, ho, inżynierek, zarabia pięć kół, przystojny, tak zawsze gada Paradowski, do spółdzielni mieszkaniowej się zapisał na segment trzypo-kojowy, i tak dalej, więc już wiem, że noc zapewniona, i mówię, no to co, śpimy u twojego chłopaka, a on się uśmiecha, jak będziesz chciał, możemy się u niego przespać albo mój chłopak podrzuci cię do chaty swoim samochodem, tydzień temu wóz sobie kupił na raty, syrenka, jeździ jak złoto, co to dla niego te parę kilometrów, i tak w kółko gadał, on w ogóle słaby łeb ma, szybko się zaprawia. I mocno popłynęliśmy, ten ustawiacz jeszcze domowe wino postawił, a wiesz, wino po wódce, robi się z tego kołomyja, a potem z Paradowskim poszliśmy do jego syna, on w kalesonach nam drzwi otwiera, zły jak skurwysyn, mówi, z ojca to zupełny alkoholik, o tej porze wizyty składać, szmata czy jakoś tak Paradowskiego nazwał, ten Paradowski stoi jak palant i tylko powtarza, przepraszam, przepraszam, udział w zyskach, imieniny kolegi, tyle okazji, przepraszam, synku, czy aby żonki nie obudziliśmy, mnie zła krew zalała, no bo jak to, szmata szczeniak na ojca mówi, jakby mnie tak syn powiedział, to dałbym po ryju, oj, dałbym, mam jeszcze trochę pary w łapie. I ten jego syn odwiózł mnie do domu syrenką, Paradowski został u niego, nawet nieźle pruł, ostro, setką, i wobec mnie, nie powiem, grzeczny. W domu stara mi tararam zrobiła, po nocach się włóczysz, na dziwki la-tasz, he, he, jakby nie wiedziała, że mnie ten interes można na nos i nic, z tych zysków dwieście przechlałem, daję jej pięćset, a ona wierzyć nie chciała, że tak mało dostaliśmy, i w płacz, a to miałam kupić, tamto, wszystko przepiłeś, te baby tak lamentują, że nie wiem, co bym zrobił, mówię ci...

Z daleka głuchy łoskot. Nadjeżdża kolejka. Młody krzywonogi śmiał się, buchając mroźną parą.

– Z tego się śmieję – wykrztusił – że ten interes można ci na nos... i nic.

– A coś myślał – stary też się roześmiał – swoje lata już mam.

Spojrzał na Studenta, który zatkał usta kołnierzem, żeby nie parsknąć śmiechem.

## ŚMIESZNA HISTORIA

– Śmieszna historia – mówi młody inspektor PIH-u – niby mała, a jednak...

Jego koledzy z Centralnego Zarządu Przemysłu Chemicznego wracali we trójkę z delegacji, byli w zakładach chemicznych w Kędzierzynie. W pociągu grali w bridża, tak dla zabicia czasu tylko, bez forsy. Inżynier chemik w doskonałym humorze, poznał w zakładach milutką sekretarkę dyrektora, oczarowana jego warszawskimi manierami i elegancją; tak się z nią umówił, że w niedługim czasie postara się znów o delegację do Kędzierzyna. Minęli już Sochaczew, starczy jeszcze czasu na jednego robra. Do przedziału wszedł kontroler, sprawdza bilety i nagle zwraca się do tego najstarszego z nich, technika Stolarka, panie, przecież przejechał pan już swoją stację i nie ma innego wyjścia musi pan dojechać do Warszawy, a potem elektrycznym z powrotem do Sochaczewa. Technik Stolarek czerwony się zrobił jak burak, to przez te karty – mamrocze – bardzo panu dziękuję, tak, karty wciągają – zgodził się kontroler – mam tę samą słabość. Gdy tylko kontroler wyszedł z przedziału, inżynier chemik i technik Kozłowski wybuchnęli śmiechem, do rozpuku śmieli się ze Stolarka. Sprawa dla nich prosta, technik Stolarek słynie z oszczędności, taki składacz mikroskopijny, na delegacji stołuje się tylko w barach mlecznych, dużo suchego żarcia ze sobą z domu zabiera, więc oczywiście i na bilecie postanowił oszczędzić, zamiast do Warszawy kupił do Sochaczewa, parę złotych różnicy tylko, ale dla niego wszystko ma znaczenie.

I do samego końca podróży już podkpiwali z niego, zarobiłeś najwięcej, co za pomysł szatański, do Sochaczewa, cha, cha... Technik Stolarek znosił te kpiny ze spokojem, a gdy już żegnali się przed dworcem, tak powiedział, młodzi jesteście, pożyczcie troszkę dłużej, bachory, raty za pralę, to, śmo, budżet domowy na cały miesiąc, w ogóle życie przyciśnie, to wtedy pogadamy.

Inżynier chemik zatrzymał taksówkę, wsiadaj pan, zaproponował technikowi Stolarkowi, podrzucę do domu, mam po drodze, ale technik Stolarek nie chciał i pożegnał się z nimi śpiesznie.

To nawet pouczające, zastanawia się młody inspektor PIH-u, jak ludzie starają się teraz nawet w drobiazgach, no, ja nie narzekam, ale ile rozmów to kosztuje, niedawno wpadło dwóch od nas, głupio wpadli, spili się i takie tournée od baru do baru, wódki, koniaki, mięsne zakąski, a dzień bezmięsny, i na koniec zawsze podsuwali pod nos kelnerom swoje legitymacje, wreszcie w „Bazyliżku”, tam nowy kierownik, zamknął drzwi, zadzwonił po milicję, w ogóle nerwy i ryzyko, procesów teraz huk, młody inspektor PIH-u pociera dłonie o spodnie, węszą, łapią, jeden z Centrali Spożywczej wpadł za mąkę, na ubytkach kombinował, i napisał do żony z więzienia list, „Steniu, przestaw ten piec...”, pluton milicji do domu wpadł, piec przestawili, ale tam nic nie było, on, ten od mąki, po prostu okazał się dobrym gospodarzem, w sypialnym pokoju piec rzeczywiście dymił. – Tak, tak – próbuje zaśmiać się inspektor PIH-u, ale to nie śmiech, grymas jakiś – żeby tylko do lata dotrzeć, wtedy wyłączę się z tego wszystkiego...

## WIELKI DZIEŃ ŻONY KRAWCA

Chodzi o żonę krawca, tego krojczego ze spółdzielni „Miara” przy stacji.

On dobrze zarabiał, krojczy, wiadomo, oprócz pensji boki ma nieźle. Ona dobra żona i gospodyni. Mieli dwoje dzieci. Córka w siódmej klasie, syn już dwa lata w Technikum Telewizyjnym.

W spółdzielni „Miara” przed Nowym Rokiem wypłacono trzynastą pensję, krawcy urządzili popijawę. Parę litrów postawili na zawalonych ścinkami stołach, rozochocili się szybko, bo nieźłą forszę dostali, ktoś zaproponował, na pewno któryś z młodych żonkosiów, pójdziemy po swoje kobity i z nimi na potać do „Warszawianki”.

W „Warszawiance” zestawiono stoliki, cytrynowka, gorące dania. Żona krojczego onieśmielona, nieczęsto przecież zabierał ją mąż na swoje wódki. Tęga kobieta, staroświecko uczesana w koronę, wzbraniała się od picia, krojczy jednak namawiał, przepijał do niej; więc zaczęła pić drobnymi łyżkami, tak właściwie sączyła przez złożone w ciup usta. Poczzerwieniała, pewniej rozejrzała się po sali, zagadała do sąsiadki z prawej strony, młodej niewiasty o włosach spiętrzonych w czub i ufarbowanych na niebiesko, mówiła jej o wydatkach domowych, bardzo zadowolona z pralki, rąk już nie trzeba tak urabiać, myśli o lodówce, dobra to rzecz, potrzebna w gospodarstwie, ta trzynasta pensja w sam raz. Młoda, ufarbowana na niebiesko, przytakiwała w roztargnieniu, uśmiechała się zalotnie do krawców naprzeciw i wkrótce została zaproszona do tańca. Żona krojczego znów zeszywniała, osamotniona, przebierała palcami na stole, nie interesowano się nią, krawcy pogrążeni w męskich, wrzaskliwych rozmowach, a kobiety, wszystkie młodsze od niej, też zajęte sobą, rozchichotane i strzelające frywolnie oczyma. Krawcy już po tej wódce w pracowni mieli mocno w czubie, teraz ta cytrynowka złamała ich szybko. Jeden porzygał się, jego żona, ta właśnie farbowana na niebiesko, chwyciła go za kołnierz, jak dzieciaka ciągnęła przez salę, dyndały mu się bezwładnie nogi, ona zła, bo bardzo lubiła tańczyć, wywlokła go z knajpy. Krawiec Maciaszek zasnął w toalecie. Dwie smarkule wzięły swoich młodych mężów pod ręce i też wyszły już. Krojczemu kręciło się w głowie, wyszedł na powietrze, zapomniał o żonie, znajomy milicjant zaciągnął go do kolejowego kiosku na piwo. Żona krojczego samotnie wychyliła kieliszek, na stole jeszcze dwie pełne półlitrówki, do tej wódki jak szakale przysunęli się miasteczkowi pijacz-kowie-węglarze, łasili się, dowcipkowali, żona krojczego pozwałała im pić, sama też nieźle pociągała. Jeden z pijaczków nastawił na cały regulator głośnik, zagrzmiała muzyka, żonę krojczego poprosił do tańca Ryży, półgłupek i bełgot. Tańczył więc Ryży z tą przeszło czterdziestoletnią kobietą, przyciskał się do niej i pogdakiwał niezrozumiale, żona krojczego z rozwichrzonymi włosami, rozplotła się jej staroświecka korona, długie warkocze kołyszają się wokół twarzy, jak postronki te warkocze, Ryży wyrzuca bezwładnie nogi, przytupuje, po Heine-Medina te jego nogi. I tak tańczą, muzyki już nie ma, teraz Matysiakowie z głośnika, a oni wirują, żona krojczego śmieje się głośno, a jej partner, kretyniasty siedemnastolatek, jak w ekstazie pogrążony w tym epileptycznym tańcu.

Wreszcie usiedli zadyszani i spoceni. Ryży, tłumacząc na migi, namówił ją na następną półlitrówkę, wyjęta z torebki pieniądze, zagadał dziękczynnie i pobiegł po wódkę. W knajpie opustoszało, dwaj węglarze, syci gorzały, wynieśli się już, został tylko krawiec Macia-

szek, pochrapujący w klozecie. Ryży gdakał nieprzerwanie, żona krojczego gładziła go po rdzawych, w strąki pozlepianych włosach, coś mówiła do niego, słyszała Marysia kelnerka, podobno tak powtarzała, jak mój Janek, zupełnie jak Janek, ona ma syna siedemnastoletniego, Janka, kolegować się powinniście, ubrany tak marnie, biedactwo, gładziła go czule, a Ryży przymykał oczy i mrucał jak kot. Kelnerki spuściły na okna żaluzje, wypchnięto z klozetu krawca Maciaszka. Żona krojczego wyszła z Ryżym. Ryży obejmował ją w pasie, szli zataczając się, rozpięte palta, mróz tej nocy duży – 25 podawali w radiu, ale im bardzo ciepło, żona krojczego nawet rękawiczek nie włożyła.

Ryży, niedonoszek i bełgot, ciągle gdakał i gdakał, buchał parą, taki z niego gaduła, piszczał, pojękiwał, zwierzał się żonie krojczego ze wszystkich swoich spraw, przystanął, czekał na odpowiedź, szarpał ją za rękaw, niecierpliwie czekał na odpowiedź, żona krojczego ciężko kiwała głową. Ryży nagle zagdakał wysoko i przeciągle, przystanęli pod latarnią, długo spoglądał w jej niewidzące, zamazane oczy, znów gdaknął, ona coś zamamrotała. Wtedy Ryży popiskując radośnie zawlókł ją nad gliniankę, tam przycisnął się do niej, aż stęknęła, i obalił ją na zlodziałą ziemię. Zadarł sukienkę, żona krojczego nie broniła się wcale, Ryży szybko zrobił swoje, potem ciszę rozdarł jego bełkot gwałtowny, zmienny w intonacji, zapraszająco wyciągnął do niej rękę, ale ona leżała nieruchoma. Ostatnie, jakby pełne żalu, gdaknięcie i odszedł Ryży tym swoim krokiem po Heine-Medina, pełnym chybotów i skoków.

Przed świtem wracał z nocnego dyżuru hydraulik Satynowski, zauważył ciemny, pokurczony kształt.

Żona krojczego leżała jak kłoda, próbował ją podnieść, ale sztywna i ciężka, ubranie chrzęściło, ostrym lodowym szklivem pokryte, nie dał rady.

Pobiegł na posterunek milicji. Przyjechało pogotowie.

– Żyje jeszcze – powiedział lekarz – ale znikoma szansa. Tyle czasu na takim mrozie.

Jednak wyratowali ją. Przeszła zapalenie płuc i wróciła do domu.

A Ryżego aresztowano, w komisariacie gdakał do siebie bez przerwy, na przemian płakał i zaśmiewał się, przewieziono go do szpitala psychiatrycznego.

## ŚMIERĆ FLORYNA

Glinianki to jakby przedmiejskie oceany, ostateczne zamknięcie wielu spraw.

Kiedyś chłopczyk siedmioletni się utopił, dwóch było chłopców o tym samym nazwisku, milicjant przez pomyłkę przyszedł z tą ponurą nowiną do matki drugiego chłopca, nie było go akurat w domu, nim się wyjaśniło, że to nie jej syn, co ta matka przeżyła.

Ostatniego lata szukali w stawie przy lodowni topielca, przegarniali bosakami po dnie, wreszcie wyciągnęli go, bosak rozorał mu głęboką bruzdę na plecach, czerwoną i nie krwawiącą.

A najciemniejsza sprawa wyszła z rybakiem Ćmielem, wydała go żona, którą zdradzał z kochankami, Ćmiel ukrywał podczas wojny dwóch Żydów, on ich zamordował, powiedziała żona. Rzeński ranek letni, chyba ze trzydziestu mundurowych i tajniaków. Ćmiel poszarzały i zgarbiony, przeszukiwali największy staw, zwany Pocięchą, przy trzcinach wyłowili dwa kościotrupy drutem do siebie przywiązane. Tutaj też odbywały się dawniej pływackie zawody młodych, na wytrzymałość zawody, nieraz wygrywał wtedy najstarszy syn parowozowego

palacza, jak on pływał, ho, ho, pięknie pływał przed tym kolejowym wypadkiem, co to mu nogi obcięło. Glinianki kurczą się z roku na rok, wysychają, coraz wyższy brzeg, ostatnio śmiecie zsypują do wody, ściek z pobliskiej szkoły tu ma ujście, zielony kozuch żabiego skrzelu na wodzie, przy brzegach jeszcze trochę śniegu, lodu – pozostałości po tej zimie.

Floryn, murarz i pijaczek, mieszka zaraz za lodownią w kamienicy Marczewskich.

Dzień był marcowy, ciepły, Floryn nie poszedł do roboty, po wczorajszym czuł się słabo i zaraz z rana wypił ze stróżem lodowni Paciorkowskim pół litra i dwa piwa. Potem mocno chwiejnym krokiem, jemu niewiele trzeba, trzymając wędki pod pachą skierował się nad glinianki. Podśpiewywał ochryple, zauważył wylazłą spod śniegu zmęczoną, przegniłą trawę, pochylił głowę i uśmiechnął się radośnie.

Usiadł na brzegu największej glinianki, zwanej Pocięchą, założył na haczyk przynętę z robaka, zarzucił i pilnie wpatrywał się w czerwony spławik. Jednak nic się nie działo. Przy brzegu ryby spłoszone. Zrzucił buty, został w ubraniu, żeby ciepłej. I bez namysłu rzucił się w lodowatą wodę. Wędkę ciągnął za sobą, płynął odwracając głowę i śledząc spławik.

Był podniecony, pewnie wyobrażał sobie wielką rybę, która za chwilę połknie haczyk.

– Ahu, ahu! – krzyknął z zadowoleniem.

Od przeciwnego brzegu dzieliło go jeszcze ze dwadzieścia metrów. Wtedy po raz pierwszy zanurzył się pod wodę, wypłynął na powierzchnię, znów poszedł do dna.

Dzieci na tym brzegu pokładały się ze śmiechu na widok pijaka Floryna, w ubraniu, z wędką, zanurzającego się raz po raz pod wodę.

Przy trzcinach Floryn utonął. Wkrótce przyszli ludzie z bosakami.

Ładny, ciepły dzień. Niebo niebieskie, zielono, bujnie, na dobre już wiosna.

Pod kiosk z piwem podjechali budą milicjanci. Oni tak podjeżdżają w każdą sobotę, żeby wygarnąć pijaków. Zasadzili się w jaśminie za budką i czekają. Pokazała się wreszcie zwierzyna. Jeden bardzo pijany, drugi mniej. Prowadzili się zygzakiem. Milicjanci w jaśminie gotowali się do polowania. Z okien kamienicy naprzeciw ludzie spoglądali ciekawie. Pijacy już o kilkadziesiąt metrów od pułapki. Mniej pijany dostrzegł milicjantów. Zanadto wychylali się zza krzaków. Zostawił bardzo pijanego i zawrócił. Bardzo pijany zatoczył się na płot, nogi gięły mu się jak z plasteliny. Z kamienicy wyszedł sześciolatek chłopaczek. Bardzo pijany podniósł na chłopaczka białe, skołowane alkoholem oczy. Odbił się desperacko od płotu, postąpił kilka kroków i uchwycił chłopaczka za rękę. Coś mu zaszeptał do ucha. Chłopaczek pokiwał głową. Teraz poszli we dwóch. Chłopaczek prowadził umiejętnie bardzo pijanego. A gdy przechodzili obok milicjantów, powiedział głośno: – Ale mama zła na tatusia. Tyle czasu czeka z obiadem. – Milicjanci odwrócili się zawiedzeni. Bardzo pijany i chłopaczek zniknęli w bocznej uliczce. Ludzie z kamienicy pełni podziwu. Bardzo pijany przecież przechytrzył milicję. Ale i ten chłopaczek, taki malutki brzdąc, a tyle w nim mądrości. Bez wahania zgodził się udawać synka. Prowadził tatusia do domu. O mamie mówił. A milicjanci teraz, tak jak myśliwi po chybionym strzale, przestępują z nogi na nogę.

– Gdyby jego ojciec o tym wiedział – zaśmiała się Laskowska z parteru – chybaby się wściekł, każe do siebie: panie magistrze...



- Ten Wagner w ogóle wyżej sra, niż dupę ma – wtrącił hydraulik Satynowski.
  - Ciekawe, czy pijak dał mu parę złotych – zastanowił się emeryt pocztowy – powinien...
  - Ale – rzekła Laskowska z parteru. – Czy taki pijak pomyśli o wdzięczności? Zresztą na pewno wydał wszystko na gorzałę.
  - W takim razie – powiedział emeryt – chłopczyk powinien się upomnieć i ten pijak... Zamilkł nagle, bo ulicą przetoczyła się ciężko platforma na gumowych kołach, wyładowana inspektową sałatą. Inni też spoglądali na wóz, dopóki nie znikł za zakrętem.
  - Ci Bornowie – powiedział hydraulik Satynowski – oni to robią forszę. – I gwałtownie zdeptał papierosa.
- Chłopczyk nazywa się Tadzio Wagner, za rok pójdzie do szkoły, ale już zna trochę liter i lubi rachować.

## UCIECZKA

Jest to okropnie draczna historia, podobno zdarzyła się w domu starców, rankiem przy śniadaniu stwierdzono, że brakuje trzydziestu pensjonariuszy, wieczorem jeszcze byli, więc zaginęli nocą. Kierownik domu zawiadomił milicję, dochodzenie, jednak pozostali starcy nie chcieli pary z ust puścić, nic nie wiedzą i kropka, więc zaczęto akcję poszukiwawczą. Patrole milicyjne przetrząsały okolicę. W dwóch pobliskich wioskach pastuszkowie pilnujący bydła na błoniach widzieli gromadę starców sunącą chyłkiem, opłótkami w stronę lasów. Sprowadzono szkolone psy, które odkryły liczne tropy ludzkie w lesie. Drugiego dnia znaleziono zbiegów na polanie, założyli tu biwak, wybudowali szałas, wygłodniali i przerażeni. To ich przerażenie długo utrudniało odkrycie powodu ucieczki, wreszcie wyjaśniono, że w sąsiedztwie domu starców jest spółdzielnia stolarska specjalizująca się w wyrobie trumien. Spółdzielnia ta wyprodukowała pewną nadwyżkę trumien i nie mogła znaleźć nabywców. Prezes porozumiał się z kierownikiem domu starców i sprawę nadwyżki załatwiono.

Po prostu taka była ich koncepcja, część starców, rzecz jasna, powymiera, i to w niedługim czasie, jest starców sześćdziesięciu, więc kierownik może kupić sześćdziesiąt trumien. Kupi i nic nie straci na tym, trumny będą wykorzystane, gwarancja żelazna, bo w tym domu wyjątkowo stare roczniki, tak między siedemdziesiątką a osiemdziesiątką. Kierownik był delikatny, postanowił trumny sprowadzić nocą, żeby nie niepokoić staruszków.

Ale starcy, wiadomo, mają płytki sen, przebudziły ich stukoty i szurgot, wyrzeli, zobaczyli trumny. Powstał popłoch, będą wykańczać, uznali staruszkowie.

I tak wszyscy co bardziej żywotni i sprężysti postanowili uciec. Od razu. Nocą. Bo sprawa nagła.

Historię tę opowiadał facet, który ma pracę terenową, młody inspektor PIH-u, ciągle w drodze, ale czy to fakt, nie wiadomo, w każdym razie mogło się coś takiego zdarzyć... Powtarzam dokładnie co do joty...

## W WINIARNI

Siedzieli w tej mrocznej winiarni-piwnicy, gdzie zbierają się nieudani poeci, malarze, ich dziewczęta. Janusz Wiciak po tej pierwszej butelce bardzo gadatliwy.

– No cóż – mówił – życie nieźle mi się układa. Pracuję w MHW, dwa tysiące po potraconych, ale dużo jeżdżę i trochę dorabiam delegacjami. Najważniejsze, że mam idealną żonę, ty jej nie znasz. Jest nauczycielką, poznaliśmy się u mojego kolegi ze studiów. Bardzo dobrze trafiłem, inteligentna, spokojna, rozumie mnie, no, lepszej znaleźć nie można. Już drugi rok jesteśmy po ślubie. A w domu możemy siedzieć tygodniami, ani kino nas nie ciągnie, nic, i nie nudzi nam się absolutnie. Wyobraź sobie, Sylwestra też w domu spędziliśmy, wino, trochę muzyki, kupiłem adapter, bardzo udany Sylwester. Tak sobie wieczorem książki na głos czytamy, ona doskonale czyta, dykcja, rozumiesz, wszystko.

Student uśmiechał się nijako, potakiwał, w pewnej chwili zasłonił usta ręką i zakrztusił się. Po prostu rozśmieszył go namaszczony głos Janusza, te czuło-dygotliwe tony w jego głosie. Właśnie najbardziej drażniła go ta syta radość Janusza Wiciaka. Wszystko w tonacji tęczowej. I mówił jak katarynka.

– Zarabiam nieźle – ciągnął Janusz – mam perspektywy na wyższą grupę, w niedalekiej przyszłości mieszkanie, i to pewne, bo wujek żony w zarządzie spółdzielni mieszkaniowej, bardzo szybko, rok tylko będziemy czekać, żona chce telewizor, w przyszłym tygodniu chyba sobie sprawimy ten sprzęt, nie wiem tylko, orion czy szmaragd, tak się zastanawiam, nie mam zdecydowanego zdania...

Student chwilami odczuwał w środku coś jak ukłucie, to było niezależne od niego. Żeby to ukłucie zbagatelizować, spróbował wpatrywać się z uwagą w poważną, jakoś głupkowatą w tej powadze twarz swego szkolnego kolegi.

Janusz chwycił go za rękę, trzymał mocno.

– Słuchaj, stary, to będzie piękne mieszkanie, w doskonałym punkcie, na Siennej, już wujek nie da nam krzywdy zrobić.

Student dość niegrzecznie wyszarpnął rękę z jego uścisku. Ale Janusz Wiciak nic nie zauważył. Dalej snuł swą opowieść.

– Na razie mieszkamy w pokoju służbowym przy szkole. To żony pokój, jeszcze paniński, przydzielili, jak zaczęła w tym gimnazjum pracować. Żona skończyła polonistykę. To doskonale gimnazjum, z takimi elitarnymi tradycjami, wiesz, Hoffmanowej. Żona bardzo dobra nauczycielka. Jej lekcje najbardziej lubiane przez młodzież. Umie zainteresować. A jeden uczeń podkochuje się w niej. Takie piękne róże na imieniny przyniósł. Urocze te sztubackie uczucia. W nauczycielce zadurzyć się. My chyba też kiedyś tak samo, co, stary?... A wczoraj odwiedził nas teść. Też barwna postać, szlagon jak z Sienkiewicza. Tylko szablę, kontusz. Teść ma dworek na Podlasiu. Aż nieprawdopodobne, że taki dworek mógł dotrwać do dzisiejszych czasów. Ganek, lipy, pasieka w ogrodzie. Miód znakomity. W glinianych misach podają. Przyjeżdżałem tam często w czasach narzeczeństwa.

Student zamówił drugą butelkę egri burgundi. „Piękny ład w tym wszystkim – pomyślał – ani szczeliny, taki drobiazgowo, czule skonstruowany mikroświatek...”

– ...Żonie pomagam zeszyty sprawdzać. Dzięki temu mamy więcej czasu dla siebie...

Student wiedział już na pewno. Te igielki kłujące go od czasu do czasu to przecież zwykła ludzka zazdrość.

Sam przecież niedawno tak próbował... W pracy był wzorowy, gorliwy, pilnie odświeżał swoją angielszczyznę, zapisał się na piąty kurs do metodystów. Naczelnik coraz łaskawszy dla niego, placówka w Egipcie wolna ma być, pomyślimy o panu, dwaj koledzy z pokoju słuchali z zawiścią, bardzo chwalił go naczelnik, doskonale, doskonale to zredagowaliście, a oni, ci dwaj koledzy, tak nisko pochylali głowy nad biurkami jak uderzeni, przecież każdy z nich marzył o takim wyjeździe, ale on już był wytypowany. Więc żył tak pilnie, wzorowo, ale nie wytrzymał do końca, nie dał rady, coraz częściej nachodziło zniechęcenie, apatia, nie chciało mu się już redagować, błędy robił, mniej pochwał naczelnika, dwaj koledzy ruszyli do szturmu, on śmiał się z tego i czasem mówił im tak:

– Więc do Egiptu, chłoptysie, arabskie tancerki, taki wschodni taniec brzucha, szalenie podniecające, tylko kosztowne, bardzo kosztowne, nie wiem, czy zgodzicie się na takie koszty, oszczędni tacy jesteście, więc chyba nigdy tańca brzucha nie zobaczycie...

Koledzy patrzyli na niego ze zdziwieniem. A on coraz częściej myślał tak: „Niech jedzie Domański. Niech jedzie Pilecki...” Pfu, pfu – pękało coś tak w nim w środku i nie czuł najmniejszego żalu.

A teraz zrobiło mu się żal tego straconego Egiptu, w ogóle...

– Ale głupio się strzyżesz – powiedział spoglądając wrogo na Janusza Wiciaka.

– Głupio? – zafrasował się Janusz, przyglądził krótkie, rzadkie włosy. – Żona mówiła, że tak mi najlepiej...

Student napełnił szklanki.

Znów naszło go to uczucie, jakby bańki mydlane w nim pękały – pfu, pfu...

– Może wódki chcesz – powiedział nagle – może dziwkę, pieniędzy?... – I wybuchnął śmiechem.

– O co ci chodzi? – osłupiał Janusz – ja nie rozumiem. Student spojrział na zegarek. I cały czas to pfu, pfu – pękają bańki mydlane.

– Na mnie już czas – powiedział – mam pilną robotę. Wiesz, splacam raty, samochód re-nault, okazynie kupiłem. Biorę do domu prace zlecone.

– Renault – w oczach Janusza uznanie – to dobra marka.

– Eh – mruknął Student. – Byle jaka. I okropnie nudna. – Pożegnał się, odszedł.

– Nudna! – Janusz nic nie rozumiał. A w nim ciągle to pfu, pfu – bańki mydlane... i poczuł się bardzo zmęczony, boli głowa...

## GONITWA 1967

### GONITWA

Spokojny ranek. Terkocze budzik. Ona wstaje pierwsza. Głowa w papilotach, rozchylony szlafrok, klapiące, rozdeptane bambosze. Otwiera drzwi, bierze butelkę z mlekiem, zapala gaz, robi kawę, kraje chleb, szykuje śniadanie. Budzi męża. Józek śpi mocno, mamrocze gniewnie, nakrywa się kołdrą. Ona ściąga kołdrę. Józek zrywa się, biegnie do łazienki, bulgot wody, parskanie. Ona kraje długie, przez cały chleb, kromki, smaruje masłem, przekłada kiełbasą; dla niego do pracy. Mleko kipi, syczy spadając na gaz. Kawa już gotowa. Dzień szary, dżdżysty. Delikatny, monotonny szelest deszczu na szybach. Mokra, smutna jesień. Mąż już ubrany, pije pośpiesznie kawę, klnie, parzy sobie usta, wpycha zawiniątko ze śniadaniem do kieszeni. Zapala pierwszego papierosa, pierwszy papierosowy kaszel. Spogląda na zegarek, zrywa się, naciąga czapkę i wybiega z mieszkania; tupot jego kroków na schodach. Młodsza córeczka obudziła się, unosi głowę, spogląda nieprzytomnie po pokoju. Ta większa, Jadzia, jeszcze śpi. Więc ona teraz szykuje śniadanie dla córek. Zwykły ciąg jej rannych czynności. Nalewa wodę do dużej blaszanej miednicy. Budzi Jadzię. Myśli przy tym, że trzeba dziś kupić podszewkę do spódnicy. Granatową albo niebieską. I haftki potrzebne, suwak też. Jadzia myje się w blaszanej miednicy. Ona pakuje jej książki i zeszyty do tornistra. Z książki do arytmetyki wysuwa się dzienniczek. Przegląda machinalnie. Myśli, że jeszcze niezbyt dobrze wszywa rękawy w ramiona. Musi usunąć tę wadę. Marszczą się trochę. Jedna klientka narzekała na to. Zatrzymuje wzrok na ostatniej zapisanej stronie dzienniczka. „Proszę przyjść do szkoły w sprawie córki. Córka niestarannie odrabia zadania domowe, czasem nawet przepisuje przed lekcjami od koleżanek. Wychowawca 2c.” Podpis nieczytelny. Jadzia przestała się myć, z buzią ociekającą wodą spogląda niepewnie na matkę. Ona przenosi spojrzenie z dzienniczka na córkę. – Pójdziemy dziś razem do szkoły, mówi, już ja ci dam potem. – Teraz ubiera młodszą. Daje dziewczynkom śniadanie. Wychodzą. Tę młodszą bierze za rękę. Jadzia trzyma się nieco w tyle.

Na schodach spotyka się z sąsiadką z parteru.

– Przywieźli mięso do rzeźnika – mówi sąsiadka – piękna cielęcina, sam puc podobno, Krajewska już poszła, ja też idę.

– Niech pani dla mnie weźmie pół kilo – prosi ona. Można będzie sznycle dziś na obiad. Józek bardzo jest za mięsem.

Schodzi po kamiennych, wyslizganych schodach. Skrzyp otwieranych drzwi niżej i wyżej. Tupot kroków. Myśli o tej sukience dla studentki. Na jutro sukienka musi być gotowa. Studentka na bal wybiera się. Zadowolona ta smarkuła, aż kipi radością. W tamtym roku poznała jakiegoś Francuza. I Francuz zabujał się w niej. Zaproszenie teraz jej przysłał do Paryża. Ta studentka nie rozstaje się ze słownikiem polsko-francuskim. Już tylko Francją żyje. Myśli też

o innych szyciach, poprawkach, ten kostium poszerzyć dla Welińskiej, Welińska utyla porządnie, pęka wszystko na niej, jeszcze ta bluzka... Roboty, chwalić Boga, nie brak. Tak myśli o tych szyciach, oblicza zarobek. Idą popękanym chodnikiem, kałuże we wklęsłościach płyt, kropelki deszczu osiadają jej na twarzy. Pada drobno, uporczywie. Ona idzie bardzo szybko, ta młodsza córka nadąża z trudem. Coś szczebiocze nieustannie. Dochodzą do niej pojedyncze słowa.

– ...a Jacek Zwierzyk powiedział pani, że tatuś dał mu się napić wódki. Takie pałace, nie-dobre. Jacek Zwierzyk wypluł... A pani powiedziała...

W tym tygodniu powinna dostać osiemset złotych, za tę sukienkę, poprawka kostiumu, jeszcze bluzka... Cieszy się. Od dawna chce mieć telewizor. Zimowe długie wieczory, obejrzeć coś można, rozerwać się. Tak rzadko wybierają się gdzieś z Józkiem. Józek wraca z roboty zmęczony, jest tokarzem w fabryce lamp, przyjdzie, kładzie się, śpi. potem posłucha radia, przejrzy gazetę, i tak mija dzień. Spokojny, nie narzeka na niego, pije nieczęsto, a po wódce wesoły, dobroduszny, czuły wtedy w nocy, niezgrabnie, natrętnie, daj już spokój, Józek, ona wtedy mówi, odwraca się na bok... Uśmiechnęła się na przypomnienie tych czułości Józka... Właściwie udany chłop, forsya nie puszcza, za babami się nie ogląda. Sąsiadka z parteru zazdrości jej tego spokojnego, dobrego życia. Jej mąż popić lubi, nie wraca wtedy do domu, włóczy się gdzieś po knajpach z dziwkami, i później krzyki, awantury w ich mieszkaniu. Nasłuchuje wtedy z Józkiem, Józek zapala papierosa, narozrabiał znów, uśmiecha się lekko, pobłaźliwie.

I już przedszkole, trzaskają drzwi, wchodzą ojcowie i matki ze swoimi pociechami, przedszkolanka, panna Stenia, ładna, rosła dziewczyna, gładzi dzieci po główkach, dzieci jak stadko kurcząt gromadzą się przy niej, domagają się pieśczoły. Ona wita się śpiesznie z panną Stenią, popycha małą do drzwi. Odchodzi z Jadzią. Śpieszy się, bo myśli o pracy, która dzisiaj czeka na nią... I nie tylko telewizor z tego szycia; powoli rośnie sumka na książeczkę PKO, systematycznie z miesiąca na miesiąc. Pensja Józka wystarcza na życie, trochę tylko ze swego szycia do tego dokłada. Ubrani są, zresztą dla córek sama szyje sukienki, Józek chodzi ostrożnie, mało wydziera, świąteczny garnitur ma już tyle lat i jak nowy. Ona sama nie dba specjalnie o ciuchy dla siebie, modne, niemodne, nosi stare sukienki i nie zależy jej nic na modzie. Takie strojenie dobre dla pańienek, ona już nie czuje tej potrzeby. Więc tak rośnie ta suma na książeczkę, pracowicie, cierpliwie, z miesiąca na miesiąc powiększana; te oszczędności to jej z Józkiem marzenie dalekie, tak dalekie, że nigdy o tym nie mówią, tylko czasem, przeważnie idąc na pocztę (do PKO właśnie), spojrzą na siebie wymownie, porozumiewawczo (w tym porozumieniu stwierdzenie, że coraz więcej pieniędzy, że coraz bliżej...), albo czasem Józek zapyta ostrożnie: – Wiele już mamy?... – Więc to cierpliwie, żmudne oszczędzanie powoli, centymetr po centymetrze, przybliży marzenie. Józek jeszcze spłaty od braci ze wsi za swoją ziemię weźmie, paręnaście tysięcy mu się należy... Jadzia krzywi twarz, za mocno ją ścisnęła za rękę. Bo też tak pogrążyła się w tym marzeniu. Nie ominęła kałuży. Zmoczyła sobie stopę. Ale jest zadowolona. W tym szarym dniu, jednym z tysiąca – takie marzenie rozjaśnia wszystko. I gdy nieraz, zapracowana, ze sztywnym obolałym krzyżem, wśród terkotu maszyny singera, z szumem w głowie od tego terkotu – przestanie na chwilę uważać nad ściegiem, zwolni pedał, odchyli się do tyłu, przymknie oczy, wtedy zawsze widzi ten domek, nieduży, z ławeczką, ogródek, kwiaty przed oknem, nasturcje, goździki i irysy (te kwiaty tak sobie jakoś wytypowała), zagonki z warzywami, drzewa owocowe, najczęściej to wszystko widzi się jej w letni piękny ranek, budzą się, otwarte okno, świergot ptaków, promienie słońca żółtymi pasmami na podłodze, Józek, mówi ona, czas wstawać, i pójda do ogródka. Józek będzie drzewka opryskiwać albo owoce dojrzałe tyką z siatką na szczycie zrywać, wielkie renklody, soczyste klapsy, ona schylona nad zagonkiem, wrywa chwasty, motyczką spulchnia ziemię... I teraz łagodnie, bez złości o te uwagi w dzienniczku spogląda na córkę. Dzieci w takim ogródku bawić się będą, hasać, zieleń, świeże powietrze. Już kilka

lat żyją oboje z Józkiem tym marzeniem dalekim, ogródkiem, domkiem, ona bardzo oszczędna, wydatki z ołówkiem na początku miesiąca zapisuje i nim coś kupią, sprawunek do domu, lampa, dywan, talerze, nawet ciastka, zastanawiają się, czy jest to niezbędne, czy nie lepiej odłożyć te parę złotych na książeczkę, Józek cieszy się z jej gospodarności i tak powiada: – ty to jesteś – podziw w tym powiedzeniu i uznanie. Dzień szary, ponury, ludzie pędzą do roboty, pokurczone sylwetki, podniesione kołnierze, mokry, dokuczliwy ziąb wciska się pod ubranie. Zgrzyt tramwajów, pędzą auta rozchlapując kałuże, przekleństwa ochlapanych, gwizd fabrycznych syren. Dochodzą do czerwonego budynku szkoły. Rój dzieci z tornistrami i workami na kapturze kłębi się na schodach. Gwar, ogłuszający gwar rojowiska. Chłopczyk o łobuzerskiej, pyzatej buzi pociąga jej córkę za warkocz. Ona wali go workiem z kapturami po głowie. Małec ucieka wykrzywiając uciesznie twarz. Mała w korytarzu nakłada kaptur, już przeniknięta tym bujnym, hałaśliwym rytmem szkoły, śmieje się radośnie, ożywiona i niecierpliwa. Ona zerknęła na odbicie swej twarzy w lustrze. Zmoczone, rozsypujące się strąkami po czole spod chustki włosy, nieświeża cera; tak obojętnie, bez żadnej przykrości spostrzegła wszystko, nie umalowała się nawet, pomyślała machinalnie. Idą teraz błyszczącym, wyfroterowanym hallem, gromada dzieci ogarnia ją zewsząd jak płynna lava, chłopcy ślizgają się po podłodze, otaczają kołem chichoczące dziewczynki, koło zaciska się, dziewczynki próbują się wydostać, surowy, tubalny głos grubej woźnej; dzieci pędzą, gnają, gwizdzą, jej córka próbuje pobiec w stronę kłębiącej się gromady, lecz ona mocno ujmuje ją za rękę. Wrzask dzieci przerwał jej to dobre, spokojne marzenie, z którym szła ulicą, tak rozsnuwała je sobie jak przedzę, hałas wygnał to myślenie marzycielskie z głowy, poczuła współczucie dla nauczycieli, użerać się z cudzymi dziećmi, pomyślała. I już drzwi z tabliczką: 2c. Na twarzy córki pokazał się niepokój, spoważniała, ociąga się nieco. Ona otworzyła drzwi, pociągnęła małą za sobą. Weszły do klasy. Wychowawca siedział przy stole, pisał w dzienniku lekcyjnym. Dzieci, zdejmując tornistry, sadowiły się w ławkach, śmiechy i piski. Wychowawca zamruczał gniewnie, pochylony nad stołem. Dzieci przycichły. Ona podeszła do stołu. Zwrócił ku niej twarz, wstał.

Był wysoki, chudy, o okrągłej twarzy, włosy miał krótko ostrzyżone, gęste, kolczasto pokrywały głowę. Spojrzała na niego i zarumieniła się. Tak zagapiła się bez słowa. Uśmiechnął się łagodnie, ujmująco. Jeszcze bardziej speszona, jeszcze bardziej gorące policzki, podała mu dzienniczek. I znów patrzyła na niego z jakąś przemożną, nie wiedziała, skąd się to bierze, zachłannością. Tak chłonęła jego twarz, śmiesznie pyzata, z zacięciem na brodzie po goleniu, i włosy jak u jeża sterczące, tak jak druty sztywne, pokrywające głowę kolczastą powłoką. Chęć w niej natarczywa przesunąć dłonią po tych włosach, zanurzyć w nich dłoń... Opuściła głowę, poprawiła pośpiesznie chustę, zsunęła z czoła mokre włosy, przygryzła mocno wargi, żeby nabrały świeżej, oszukańczej krwistości. Pomyślała ze smutkiem o swojej twarzy, wymiętej, zmarszczonej, siedziała wczoraj do późna przy maszynie, oczy zaczerwienione, wstrętne, króliczo zaczerwienione, i tak ubrana byle jak, nędznie, płaszcz, w którym chodzi po węgiel do piwnicy, brudny, postrzępione rękawy i te buty na korku, stare, niemodne, takie toporne buciory, odbierające smukłość jej nogom, myślała o tym wszystkim ze smutkiem mocnym, coraz bardziej dokuczliwym, odbierającym jej pewność i spokój. Zamrugała trwożliwie powiekami, gdy Nauczyciel uniósł wzrok znad dzienniczka córki.

– No, tak – powiedział patrząc uważnie na nią. Widzi, myślała, wszystko, każdy szczegół odrażający, świecąca cerę, zmarszczki... wszystko widzi. Nauczyciel uśmiechnął się szeroko.

– Niesfora... – mówił grożąc żartobliwie palcem córce – i niedbała, lekcje niestarannie odrabia. Powinna pani przypilnować, sprawdzać wieczorem – głos miał cienki, załamujący się lekko ochryplymi tonami.

Ten głos też przykuwał ją, słuchała chciwie, nie sens docierał do niej, tylko brzmienie tego głosu; jakby wypełniał ją sam dźwięk teraz. Siłą woli wyrwała się na chwilę z tego oszołomienia, spojrzała na córkę. Dziewczynka z opuszczoną głową skubała rąbek granatowego,

połyskliwego fartucha. Zastanawiała się, co by tu jej powiedzieć surowego, wychowawczego, rozsądnego.

– Idź na miejsce – polecił córce Nauczyciel. Mała poszła do środkowego rzędu, usiadła w drugiej ławce. A między nimi była cisza, głęboka, pogrążająca resztki jej rozsądku i opanowania cisza, i nie dochodził nawet do jej uszu szmer rozmów dziecięcych z ławek. Cisza jak pomost jakiś między nią a Nauczycielem. Widziała teraz jego dłonie, palce kościste, z przyściętymi nierówno, jakby poobgryzаныmi paznokciami, nieładne, czerwone dłonie. Patrzyła intensywnie. Nauczyciel zauważył kierunek tego spojrzenia. Jego dłonie zwały się powoli, szybko skurczył palce, dłonie usunęły się za plecy.

– Ale nie trzeba zbyt surowo – pochylił się do niej, powiedział szeptem: – Trochę skarcić i przypilnować... – Uśmiechnął się.

Też spróbowała uśmiechnąć się, ale twarz jej pozostała skupiona, poważna.

–Mała iskierka... – mówił uśmiechając się – ruchliwa jak rtęć, w mamusię czy w tatusia się wdała?

Pokiwała pośpiesznie głową. Stał pochylony nad nią, chudy, w pofałdowanym, wiszącym szcudłowato garniturze. Wstyd w niej naraz gwałtowny i bezsilny za to bezmyślne kiwanie głową. Przecież pytał ją, a ona nawet słowa wykrztusić nie może. Wytracona z równowagi i rozdygotana. Przymknęła oczy. Tak blisko stoi przy niej, tyle poufnego kpiarstwa w jego śmiechu, w jego głęboko osadzonych oczach. Wie, musi wiedzieć, w czym powód jej oszłomienia. Pomyślała również, jak nędznie, nieciekawie musi wyglądać w tym stroju niedbałym, pod płaszczem szlafrok, z tymi włosami mokrymi i nie uczesanymi, i jeszcze tak w niego głupawo zapatrzona. Uciec stąd, jak najszybciej uciec. Chrząknęła, bo i głos jakby gdzieś schował się głęboko, trzeba było głos dobywać z dalekiego wnętrza.

– Dziękuję panu – wykrztusiła – już ja ją przypilnuję. Chciała odejść, lecz Nauczyciel wyciągnął rękę.

– Bardzo mi było miło poznać panią. – Dłoń ciepła, nieco wilgotna. Chwilę przytrzymał jej dłoń.

Wyszła szybko, zamykając drzwi dostrzegła jeszcze, że spogląda za nią. Szła zamyślona korytarzem, rozległ się przenikliwy dźwięk dzwonka. Potrącały ją biegnące do klas dzieci. Nie zwracała na nic uwagi, ze wzrokiem wbitym w błyszczące żółte klepki posadzki.

Przy wyjściu z hallu uniosła głowę, spojrzała na swoje odbicie w lustrze i ogarnął ją przejmujący żal, że tam w klasie tak źle, nijako wyglądała. Tym upokorzeniem jak przykuta, długo patrzyła w lustro. Potem gwałtownie zamknęła za sobą drzwi. Zamazany jesienny dzień i ta jej sprawa, co tak nagle, magicznie wybuchła w niej. W oczach miała dokładny, drobiazgowy wizerunek Nauczyciela, zasłaniający wszystko inne.

Zgrzyt hamującego samochodu. Pisk opon.

– Jak idziesz, stara gapo! – wściekły wrzask szofera. Przebiegła niezgrabnym, płochliwym truchtem przez jezdnię. Do szczętu upokorzona tym słowem: stara. I nienawiść do siebie, wściekła, gorąca jak litania. Jak możesz tak wyglądać, tak się zapuścić, masz trzydzieści pięć lat, a wyglądasz jak poczwara, jak próchno, nic a nic nie dbasz o siebie, ty wiedzmo...– wyzywała się bezlitośnie, wywlekała wszystkie braki swego ubrania, fryzury, wyglądu, kurczowo, bezgłośnie poruszała wargami.

Zaciskała pięści, wbiła paznokcie w dłonie, ale nawet sprawić bólu sobie nie mogła, paznokcie połamane od prania, szorowania, od całej tej domowej roboty.

Tępe pazury – powtórzyła kilkakrotnie.

\*

Od tego dnia skrupulatnie sprawdzała odrabiane przez córkę lekcje, surowo karciała za niedbałość w pisaniu, kazała przepisywać po kilka razy, nawet kiedyś mąż prosił ją, żeby była trochę łagodniejsza. A ona, gdy tak siedziała nad zeszytami córki, ciągle, uporcezywie wi-

działa Nauczyciela, jego uśmiechniętą twarz, słyszała jego głos. Więc choć jak przedtem szła na maszynę, poprawiała przyciasny kostium, szła plisowaną spódniczkę, gotowała obiad, wczesnym rankiem szykowała Józкови zawiniątko z jedzeniem do roboty, były to już czynności wykonywane mechanicznie, jak w letargu, bez jej udziału. Pewnego ranka, gdy już wszyscy domowi poszli sobie, obejrzała też swoje dłonie z nieładnymi paznokciami, tak patrzyła przez chwilę i zaraz wybrała się do manikiurzystki. A gdy podawała obiad Józкови, była trochę zmieszana, jaskrawość odszykowanych paznokci kłuła ją w oczy, wydawała się czymś nadmiernie koncentrującym, i gdy mąż utkwiał zmęczone spojrzenie w jej dłoniach, znieruchomiła jak przyłapaną na gorącym uczynku. Ale Józek nic nie zauważył, zjadł łapczywie obiad, wziął „Express”, wyciągnął się na tapczanie i zaraz zasnął. Co dzień teraz długie chwile spędzała przed lustrem, dbała o włosy, szczotkowała, żeby nabrały połysku, układała starannie, przekonała się, że są ładne, puszyste i gęste, w tym nowym uczesaniu było jej bardzo do twarzy, pielęgnowała również cerę, używała kremów wygładzających i likwidujących zmarszczki, maseczka żeńszeniowa, wyczytała w „Kobiecie i Życiu”, nadaje skórze aksamitną gładkość, następował w owym artykuliku dokładny opis tej maseczki, więc nakładała taką maseczkę na twarz, na głos dzwonka, na pukanie do drzwi szybko wbiegała do łazienki, ścierała tam maseczkę; z twarzą tłustą i świecąca od kremów, zadyszana, niepewna, otwierała drzwi swoim domownikom, ukrywała przed nimi wszystkie ślady i dowody zmiany, która w niej nastąpiła. Potrafiła czasem zanucić przypominaną nagle sprzed lat piosenkę, miłosny szlagier, albo w takt radiowej muzyki wykonać kilka tanecznych pas, potrafiła również znieruchomieć nagle przy maszynie do szycia, twarz jej rozluźniała się, marzycielski uśmieszek błąkał się na wargach, ocknąwszy się ze zdwojoną energią zabierała się do pracy, terkotała maszyna, jej stopa szybko i sprawnie przyciskała pedał. Idąc do sklepów po zakupy bezwiednie dochodziła do szkoły, szła wzdłuż parkanu, spoglądała w okna parteru, niekiedy dobiegał do niej gwar lub dźwięk dzwonka; przechodziła szybko, nie oglądając się, uciekała właściwie, i znów za dzień, dwa wracała tam, boisko, dzieci grają w dwa ognie, ktoś upadł, śmiech, gwizdek, pokazuje się w drzwiach sali gimnastycznej wysoki mężczyzna, tak skuliła się za kasztanem, ale to nie on. Zaczęła wtedy palić papierosy, wpierw tak wpatrując się w lustro, sięgnęła machinalnie po zostawione przez Józka sporty, zakrztusiła się dymem, oczy pełne łez, szybko jednak zaczęła się zaciągać bez tych przykrych komplikacji, przed mężem skrywała palenie. Kiedyś wieczorem jednak, gdy Józek leżał na kanapie przeglądając „Express”, a ona sprawdziła zadanie domowe córki, spytała, starając się zachować obojętną twarz: – A jak tam pan, zadowolony teraz z siebie? – Córka przytaknęła skwapliwie. I ona wtedy poczuła nieprzewartą chęć zobaczyć go znów; tę twarz pyzată, kolczastego jeża, tak już nazwała jego głowę, usłyszeć jego głos, napatrzeć się znów, była to chęć silna i męcząca, sięgnęła po papierosa, paliła chciwie, nie roniąc nic dymu, skupiona, z rękoma sztywno i nieruchomo położonymi na stole. Szelest gazety, mąż uniósł głowę, patrzył na nią z pewnym zdziwieniem. Dostrzegła jego spojrzenie, tak głupio i śmiesznie zaczęła machać dłońmi odganiając dym od siebie. Ale Józek nic nie powiedział, znów zakrył się gazetą. Poczula w tym momencie ciepłą, tkliwą wdzięczność do niego za to milczenie.

Ta chęć zobaczenia Nauczyciela nie opuściła już jej i w sobotni rano zaczęła się szykować starannie; założyła tę bluzkę kremową, kupioną od sąsiadki, która dostaje paczki z Ameryki, spódniczkę wąską, modną, zgrabnie obciskającą jej ciało, długi i żmudny makijaż przed lustrem, ułożenie włosów, już odchodziła od lustra i znów wracała, tak zanadto dziwkowato, oceniała, a tak zbyt poważnie, surowo, tak znów... Po takich kilku powrotach do lustra uznała wreszcie, że tak już pozostać może. Poszła do szkoły. Sama przed sobą próbowała zakamuflować tę potrzebę zobaczenia Nauczyciela, mówiła tak: po prostu muszę dowiedzieć się, jak sprawuje się Jadzia, koniecznie muszę dowiedzieć się... Szła bardzo szybko, zdecydowanie. Dopiero na schodach przed drzwiami ogarnęło ją zmieszanie, strach, przemogła się, otworzyła drzwi, obejrzała się w tym dużym lustrze szkolnym, nowy niepokój, nowa obawa, za-



nadto świątecznie, jaskrawo jestem ubrana, myślała, musi to bardzo śmiesznie, głupio wyglądać. I z tym poczuciem śmieszności, nie mogąc tego przewyciężyć, poszła jednak dalej. Wyfroterowana posadzka, dwóch chłopców w fartuszkach z białymi kołnierzykami bierze rozpęd do ślizgania się. Woźna biegnie ze szczotką.

– Na lekcje, łobuzy!

Malcy uciekając pokazują woźnej na nosie – tere-fere-kuku. Drzwi z tabliczką 2c.

To, co działo się za drzwiami, było jak we śnie. Podeszła do stołu. Nauczyciel uklonił się jej, uśmiechnął się. Ona unikała jego spojrzenia, tak ukradkowo zerkała na niego, w tych ukradkowych zerknięciach zachłanne chłonięcie: każdy szczegół jego twarzy, uśmiech; rodzaj uśmiechu, ruch warg, przesunięcie dłonią po policzku, najmniejszy gest... Nie widziała dzieci siedzących na ławkach, nie widziała córki, nie słyszała gwaru, nawet nie wie, czy spytała, jak sprawuje się Jadzia.

– No, teraz dużo lepiej – Nauczyciel podsunął jej krzesło – i pilna, i grzeczna, radykalna poprawa, w ogóle... miła dziewczynka.

Zauważyła, zdawało się jej tak, kpiarskie błyski w jego oczach, poczuła niepokój, bo tak starannie ubrana, wymalowana, uczesana – czy to nie wygląda śmiesznie i żałośnie, czy nie z tego powodu błyski w jego oczach. Usiadła na brzeżku krzesła, obracała w dłoniach torebkę. I nagle przenikliwy dźwięk dzwonka. Wstała gwałtownie, chcąc odejść stąd, uciec. Wtedy Nauczyciel przytrzymał ją za rękę. Spojrzała na niego z oddaniem, takie długie, wyczekujące spojrzenie. On zmieszał się, wiedziała to na pewno, zmieszał się, opuścił głowę, chrząknął.

– Czy nie moglibyśmy spotkać się gdzieś poza szkołą, gdzieś na neutralnym gruncie?

Bezwiednie skinęła głową. Szybki, skwapliwy ruch.

– Tu zaraz... – Nauczyciel rozejrzał się i szeptem: – za rogiem taka mała kawiarenka „Miś”, w czwartek o piątej, dobrze?

Znów kiwnęła głową. Poczuła ulgę. Dobrą, radosną ulgę. Tak jakby czekała podświadomie na te słowa. Już pewniej, spokojniej patrzyła na niego.

– Do zobaczenia – jego szept.

Coś odpowiedziała, nie pamięta, wyszła.

Na ulicy zaś ogarnęła ją gwałtowna złość, cóż on sobie wyobraża, randka! i jaki pewny, smarkacz, ale też pomyślała, że chyba on jest niewiele młodszy od niej, bardzo zła była na siebie wracając do domu, zachowywałam się jak gęś, głupia gęś, podlotek, gorliwe potakiwanie każdej jego propozycji, słowa porządnie powiedzieć nie umiałam, gęś... A potem wszystko to przemieniło się w pełną niepokoju radość, że za kilka dni zobaczą się znów.

I przypaliła zupę. Zaczęła robić obiad, mąż wrócił z pracy, ona usiadła przy stole, długo tak siedziała podparłszy brodę rękami, przymknięte oczy; z kuchni zapach spalenizny. Dobry jednak ten Józek, pomyślała mimochodem, gdy tak jadł tę przypaloną zupę, krzywił się trochę, ale nie narzekał, nie złościł się. Tylko gdy siadła do singera, gdy ciszę wypełnił terkot maszyny, ona przygarbiona, wpatrzona w ścieg na materiale, Józek odezwał się niepewnie: – Może byś tak odpoczęła trochę, od jednej roboty do drugiej.

Nic mu nie odpowiedziała. Właśnie w ten dzień po wyprawie do szkoły, praca, zaciekle praca bez odpoczynku, bez żadnego o niczym myślenia najbardziej jej była potrzebna. Wieczorem Józek zaczął rozmowę o oszczędnościach, obliczał, ile pieniędzy w najbliższym czasie odłożą na książeczkę, cieszył się z uzbieranej sumy, kartkował książeczkę, wichrzył włosy, i on, taki milczek zwykle, gadał jak najęty, tak szukał słów, wyrzucał z satysfakcją znalezione słowa, spoglądał na nią z zadowoleniem.

– Akuratną mam żonę – powiedział na koniec i spróbował uszczyplną ją żartobliwie.

Usunęła się zrećnie. A tego wszystkiego, co mówił, słuchała obojętnie, martwo, jakby nagle ta ich wspólna, najważniejsza sprawa przestała ją interesować. I już zgasiła nocną lampę, odsunęła się pod ścianę, ale Józkowi, ożywionemu tak bardzo tego wieczoru, zebrało się na małżeńskie czułości, odsunęła go jednak energicznie.

– Daj spokój – powiedziała wrogo – jestem bardzo zmęczona.

Rankiem w dniu spotkania z nim poprosiła do mieszkania najbliższą sąsiadkę, Tłoczykową z parteru, ubrała się szybko w łazience w tę najlepszą, wizytową sukienkę, umalowała usta, włożyła buciki na wysokim obcasie, te buciki już jednak niemodne, postanowiła w najbliższym czasie kupić sobie szpilki; obejrzała się w lustrze, poprawiła włosy... i tak odszykowana pokazała się Tłoczykowej. Tłoczykowa głupawo zdziwiona. A ona tanecznie, kołysząc się lekko w biodrach, przesunęła się przed nią. – No i jak wyglądam? – zapytała – ujdę w tłoku?

Błysk zrozumienia w oczach Tłoczykowej, ale nie odpowiedziała, tylko westchnęła jakby zazdrośnie.

Ona naprawdę ładnie wyglądała, smukła, zgrabna; żywa, pełna niepokoju na twarzy.

Przed samym spotkaniem prosiła Józka, żeby uważał na dzieci, małej trzeba dać o siódmej kolację, Jadzię przypilnować, żeby odrobiła lekcje.

– Gdzie idziesz? – spytał Józek.

– Ważna sprawa – mruknęła – nie czekaj na mnie z kolacją. – I szybko zbiegła po schodach. Stukot jej butów jak takt. Mąż stał w przedpokoju, słuchał tego stukotu, jeszcze z podwórza dobiegał, wreszcie cisza.

Ona szła na spotkanie jak na pierwszą randkę. Cały chaos pytań bez odpowiedzi, czy on będzie, po co ona tam idzie, czy dobrze wygląda. I szła bardzo szybko. W kawiarence „Miś” była oczywiście za wcześnie, dziesięć minut za wcześnie, starcza, by wiele razy w niepokoju powtórzyć: – przyjdzie, nie przyjdzie – i co skrzypnięcie drzwi odwracać głowę. Nigdy dotąd nie bywała w kawiarniach. „Miś” to młodzieżowa kawiarenka, przyćmione światła, warkot i syk ekspresu, młodzi chłopcy, dziewczęta przy stolikach, gładzą się po rękach, przytulają się do siebie: nastrój młodego, intensywnego uczucia. Piła kawę, paliła papierosa za papierosem. Pochyliła głowę, dusząc kolejny niedopałek, i niespodzianie przy stoliku stanął Nauczyciel. I tak siedzieli razem przy okrągłym stoliku naprzeciw siebie; Nauczyciel spojrzał na jej dłoń na stoliku, chciała zsunąć dłoń, ale on przytrzymał ją za ramię. Zaśmieli się jednocześnie. Poglądził jej dłoń i śmiesznie chrząknął, jakby speszony. Długą chwilę milczeli.

– Bardzo ładnie pani wygląda – powiedział Nauczyciel. Patrzyła na niego nieufnie. Ale on patrzył na nią z zadowoleniem. Wytrzymała to jego spojrzenie. Chrząknął i opuścił głowę. Rozczuliło ją to jego chrząkanie śmieszne, bezradne, maskujące jego niepewność, skłopotanie – właśnie ta jego niepewność, to niezgrabne przypalanie papierosa, to zaplatanie i rozplatanie palców, to przesuwanie długich nóg pod stolikiem, trącił ją butem w nogę, niezgrabnie i szybko cofnął swoje stopy, stolik zadygotał – więc ta jego niezgrabna niepewność podobała się jej w nim najbardziej. Czują rosnące zaufanie do niego. Jakie miękkie, nieokreślone, ale dobre wrażenie czyniły wszystkie te jego niezgrabne gesty. I tak oboje naprzeciw siebie, nieśmiali, skłopotani. Ona z tą wstydliwą płochliwością na twarzy bardzo korzystnie, pociągająco wyglądała. On, to się rzucało w oczy, dostrzegał to, a też z wyraźną satysfakcją złowił pełne uznania dla niej spojrzenia samotnego mężczyzny o wyglądzie podrywacza przy sąsiednim stoliku. Jej oczy dotąd zawsze matowe, zgaszone, błyszczały teraz intensywnie. Roześmiała się nagle patrząc na jego krawat związany w wielką, grubą bułę. Śmiała się dalej, uradowana jego zafrasowaniem.

– Z czego pani się śmieje? – powtarzał. I tak obmacywał się po klapach, po kieszeniach, szukając przyczyny jej śmiechu.

– Z radości – zdobyła się na odważne, w tym samym momencie uznała, że za odważne, dwuznaczne wyznanie, i też się speszyla.

Zamówili następną kawę, pijąc zaśmiewali się jednocześnie. I bez słów wiedzieli, z czego się śmieją. Tak złopią tę kawę, a potem spać w żaden sposób nie będzie można.

– Raz można sobie pozwolić – powiedziała ona. Poczuli się teraz ze sobą spokojnie, naturalnie, jakby długo się już znali, i nie było w nich żadnej sztuczności i napiętego udawania.

Nauczyciel opowiadał o pracy w szkole, o swoim braku zamiłowania do tej pracy, nie wiem, mówił, kiedyś lubiłem, teraz już nie, brak oddechu, duszę się (czuła, że to nie tyczy konkretnie tej pracy, że coś jest w tym ze sfery nastrojów, uczuć, kłopotów osobistych), taki kierat, powiedział, chciałbym gdzieś się przenieść, coś bardziej absorbującego, barwnego, no, nie wiem, jak to powiedzieć, ale szkoła bardzo mnie męczy ostatnio. Gdy tak słuchała go uważnie, ogarnęła ją chęć pogłodzić go po tych krótkich, nastroszonych włosach, tak przesuwać dłońią.

Był późny wieczór, kiedy wyszli z kawiarenki „Miś”. Szli wolno. Nauczyciel prowadził ją pod rękę, niezgrabny w tym spacerze, gubił krok, za bardzo wysuwał nogi, to znów drobił ucieszenie.

– No – powiedziała – będziemy po wojskowemu... raz, dwa, lewa...

I tak szli marszowym krokiem, lewa, lewa...

– Tu mieszkam – powiedziała. Zatrzymali się pod jej domem. – Te okna dwa na prawo – dodała.

W jednym paliło się światło. Józek nie śpi, pomyślała ze zdziwieniem, czeka.

Pożegnali się. Patrzyła za nim. Wysoki, przygarbiony...

\*

Nastał dla niej czas intensywnego, wypełnionego treścią życia. Czekala na spotkanie, dni płynęły szybko, niecierpliwie odrywane kartki kalendarza, sprawiła sobie nową sukienkę, kupiła modne szpilki na Chmielnej w prywatnym sklepie, Tłoczykowa, sąsiadka z parteru, wpadała czasem do niej, życzliwa, miła, z takim zrozumieniem w oczach oglądała nowe jej stroje, a ona nie ukrywała wcale przed nią swojej radości, swego nowego życia od spotkania do spotkania. I czasem, gdy sięgała pamięcią wstecz, do swego życia przed, tak nazywała tamten okres, przed, to dni, tygodnie, miesiące przed wydawały jej się czymś przeraźliwie szarym, nijakim, na niczym z niedawnej przeszłości nie mogła skoncentrować uwagi; nic z tamtych czasów nie wryło się jej w pamięć. Przychodził upragniony dzień spotkania, w tym dniu czas dłużył się nieznośnie. Spotykali się już stale w tej młodzieżowej kawiarence „Miś”. Żarliwość jej uczucia podsycala jeszcze czystość, idealny charakter, można powiedzieć, tych spotkań. Nauczyciel nigdy nie wysuwał żadnych propozycji, nie okazywał zwykłej w takich związkach męskiej inicjatywy, i to jeszcze bardziej wiązało ją z nim. Spotkania upływały na rozmowach, opowiadał o swoim życiu, pracy, słuchała chciwie, godziny w kawiarni upływały bardzo szybko. On zmienił pracę w tym czasie, uczył teraz w szkole zawodowej przy fabryce na Woli. Wynajął nowy pokój sublokatorski. W związku z tym, wyczuła, miał kłopoty finansowe. Właścicielka owego pokoju chciała należność za trzy miesiące z góry.

Jego pensja, pomyślała, niewielka, w niełatwej jest teraz sytuacji. Więc gdy już miała pewność, że brakuje mu pieniędzy, ogarnęła ją radość wynikająca z faktu, że ona przecież może mu pomóc. Natychmiast pomyślała o książeczce PKO, na którą z Józkiem odkładali oszczędności. I następnego dnia podjęła z książeczki cztery tysiące. Znów spotkanie w kawiarence „Miś”, wyjęła z torebki pieniądze, wsunęła mu nieznacznie w dłoń pod stolikiem. Oczy Nauczyciela rozszerzyły się w pełnym zdumienia proteście. Lecz ona była stanowcza.

– Masz kłopoty, wiem o tym, a dla mnie to na razie żaden uszczerbek. Weź – powiedziała rozkazująco.

Nie chciał wziąć, czerwony po uszy, zmieszany. Ale ona była nieustępliwa. Schował wreszcie pieniądze do kieszeni. Spłoszony rozejrzał się po kawiarni, czy ktoś tego wszystkiego nie zobaczył.

– Nie wiem, jak ci dziękować... – wybełkotał – i kiedy to oddam.

Zacząła mówić o jakiejś wesołej błahostce, nagle stała się gadatliwa, jakieś bezsensowne kawały opowiadała. Chciała, żeby nie myślał o tych pieniądzach. Była szczęśliwa, że mogła mu w czymś pomóc.

A Józek, jej mąż, nie domyślał się chyba niczego. Niekiedy z pewnym zastanowieniem spoglądała na niego. Wrócił z pracy, ściąga buty, ciągnie za warkocz Jadzię, huśta na kolanie i podrzuca do góry młodszą córeczkę. Co tam do jedzenia, pyta, jego szeroka, z mocnym zarostem twarz najczęściej pogodna, jednakowa w swym wyrazie. Czasem trochę chmurniejsza. – Jestem zmęczony – bąka – marna premia w tym miesiącu.

Siedzi przy stole, bębni twardymi, pościeranymi palcami w blat. Jadzia ciągnie go z tyłu za połą marynarki.

– Zagrajmy w warcaby – domaga się.

Znów dobroduszny, niezachwiany uśmiech na twarzy Józka. Rozkładają pionki na szachownicy.

Tak chłodno obserwowała niekiedy męża i złościło ją nawet, że niczego się nie domyśla. Pewny. Spokojny. Uważa, że wszystko równo, bez żadnych zakłóceń, starym nurtem będzie płynąć do swego kresu. Ta jego dobroduszna ociężałość, powiedzenia i żarty od lat takie same. Ale zaraz wracała do swoich najważniejszych rozmyślań i zapominała o Józku. Raz tylko zdarzyło się jakoś inaczej, dziwniej; wtedy zachowanie Józka wydało się jej zastanawiające. Szykowała się na spotkanie z Nauczycielem. Przedtem przygotowała obiad dla swoich domowych, zostawiła na szafce w kuchni karteczkę z dyspozycjami: „Zupa w czerwonym garnku, odgrzać kartofle, kotlety w schowanku.” Potem ubrała się starannie. W czerwonym sweterku, narzuciła na ramiona szeroki szal moherowy niebieskiego koloru, ostatnie oględziny w lustrze, jeszcze piętnaście minut czasu. I usiadła przy stole, uśmiechając się marzycielsko do swoich myśli, zapaliła papierosa, jaskrawa w tych kolorach swetra i szala. Skrzyp drzwi, uniosła głowę. Józek wrócił z roboty. Stał w drzwiach i zobaczył ją jaskrawą, wyglądającą jak egzotyczny ptak, nieruchomą przy stole, dziwną, obcą jakby w tym ich stołowym pokoju. Patrzył na nią zmęczonym, osłupiałym wzrokiem. Wstała gwałtownie, włożyła płaszcz i wyszła bez słowa. Józek podszedł do okna, zapalił papierosa, przycisnął twarz do szyby. I wtedy właśnie czekał niecierpliwie na jej powrót. Palił dużo, niedopałki rzucał do zlewu. Młodsza córka zbudziła się, płacze i wrzeszczy. Ale on nie zwracał wcale na nią uwagi. Kroki na schodach. Nasłuchiwał. Wyżej. Niżej. Tarł brodę. Obejrzał twarz w lusterku. Zarośnięte policzki. Ogolił się. Wreszcie zgrzyt klucza w zamku, ona. I teraz jej zdziwienie. Patrzy na niego. Zorientowała się od razu, że czekał na nią. Peszy ją nieco uporczywe spojrzenie męża, które towarzyszy wszystkim jej czynnościom. Rozbierała się, ściągała buty, słała łóżko, a on tak wodził za nią oczyma i nic nie mówił. I wtedy poczuła coś jakby zmieszanie, wstyd, żal. Unikając jego spojrzenia, wybąkała: – U przyjaciółki byłam.

Tak czuła się wtedy, jakby to ciężkie, świdrujące spojrzenie męża penetrowało w jej wszystkich sprawach z Nauczycielem, jakby na wierzch wydobywało i prześwietlało ich spotkania, czułe spojrzenia, słowa. I nie mogąc dłużej znieść jego obecności poszła do kuchni i szyla długo w noc, zaciekle, nie czując zmęczenia i sennaści.

Przy tym szyciu rozpamiętywała dzisiejszy wieczór z Nauczycielem... Weszła do kawiarni. On już czekał. Spóźniła się. Nie widzi jej jeszcze. Niespokojny, co chwila spogląda na zegarek. Zobaczył ją, wstaje, radosna ulga na jego twarzy.

– Już myślałem – mówi – że wystawiłaś mnie... – I potem opowiada. Już przeniósł się do tego nowego sublokatorskiego pokoju.

I ona – też chce zobaczyć.

Wstają. Wychodzą. Mały pokój, przyćmiona lampka, tapczan, szafa, ciasno. Ostrożnie, niezgrabnie przechodzi obok niej Nauczyciel, starając się nie dotknąć jej, nie potrącić. Usiadła na tapczanie. – Siadaj – wskazała mu miejsce obok siebie. Siada, sztywny, napięty, ręce złożył na kolanach, zaplata, rozplata palce. Siedzą w milczeniu.

On odsuwa się nieco od niej. Zakłopotany, z tego zakłopotania mówi dużo.

– Może chcesz herbaty – pauza – może wina – pauza – może kawy – pauza – może chcesz obejrzeć moje fotografie z wycieczki do Białowieży. – Wtedy fala czułości w niej narosła, ona, zwykle oschła, rzeczowa, stopiona jak wosk jego nieśmiałością i zakłopotaniem.

Nauczyciel przegarnia dłonią w swym jeżu kolczastym na głowie. Ona nagle obejmuje go za szyję.

– No – szepnęła.

Pocałował ją lekko w usta i zaraz wstał.

– Pójdę zrobić herbatę – wymamrotał.

Wstydlivy, śmieszny dzieciak, powtarzała rozczulona tym jego odskoczeniem niezgrabnym.

Terkot maszyny oddzielał ją od domowych spraw, błogo, radośnie pogrążona we wspomnieniu dzisiejszego wieczora.

I tylko przez chwilę to ukłucie, ta chwila, jakby spadła zasłona: ciężki, intensywny wzrok Józka, gdy wróciła od niego. Ale zapomniała o tym na dobre.

I znów te ranki wczesne, szykowanie śniadania, wyprawianie córek do przedszkola i szkoły, robota w domu, mniej trochę szyła teraz, oszczędzała się. Bo i po co, myślała, będę oczy sobie psuła, wiecznie pochylona, krzyże bołą, garbacieje człowiek. Sprawa z Nauczycielem wzmocniona teraz przez ten jego pocałunek nieśmiały, lekki, przez tę ucieczkę do parzenia herbaty. Śmiała się, ilekroć o tym pomyślała. I był on dla niej trochę jak dziecko bezradne, czyste, któremu trzeba pomagać, które trzeba wspierać. Tak poczuła się w tym związku: mocniejsza, bardziej doświadczona, nawet jemu niezbędna.

Spotkali się znów w kawiarence „Miś”, on był jakiś zgaszony, siedział milcząco, nie patrzył na nią, więc nieco zdziwiona, próbowała ożywić go, zaczęła mówić, jak powinien urządzić swój nowy pokój sublokatorski, żeby miło, żeby przytulnie. To jego milczenie smutne i wygląd jakiś marny jeszcze bardziej wzmocniły w niej przekonanie, że musi mu pomagać i zawsze musi być od niego silniejsza. A on wtedy siedział nieruchomo, obojętny, jakby odległy i zapalką rozrywał, tłamsił niedopałki w popielniczce – czasem ukradkiem, płochliwie, z jakąś wyraźną w oczach udręką zerkał na nią i ze zdwojoną siłą, z pasją w tym przedziwną, tłamsił, miazdżył, rozdzierał zapalką niedopałki pokurczone w popielniczce.

– Co ci jest? – spytała ona na koniec.

– Nic – spróbował ożywić się sztucznie – nic, to tylko zmęczenie.

Ale ona wiedziała, że jest to coś zupełnie innego niż zmęczenie. I z gorliwością zabrała się do urządzania jego sublokatorskiego pokoju, kupiła ładną cepeliowską narzutę na tapczan, zasłonę, lampkę nocną (znów chciała podjąć trochę pieniędzy z książeczki PKO, ale akurat klientka przyniosła należność za kostium); Nauczyciel nie chciał przyjąć tych rzeczy, które kupiła do pokoju; była jednak stanowcza, krzątała się po tym niewielkim pokoiku władczo, energicznie, nie miał nic do powiedzenia, musiał ustąpić przed jej uporem, miała poczucie estetyki, dzięki jej zabiegom pokój stał się przytulny, miły. Nauczyciel patrzył na jej gospodarską krzątanie, radość w jego oczach, i powiedział (nie śmiesznie, nie żartobliwie, ale z prawdziwą, uroczystą powagą to powiedział): – Dzięki ci, Panie.

Spojrzała na niego.

– Za co dzięki?

– Za ciebie – odpowiedział.

I wtedy po raz drugi się pocałowali.

– Za ciebie też dzięki – odpowiedziała. Po tym drugim pocałunku on odsunął się od niej zmieszany, usiadł na tapczanie, ukrył twarz w dłoniach.

– Nie martw się – mówiła miękko, pieszczotliwie jak do dziecka. – Nie martw się. – I gładziła go po sterczących, gęstych włosach... Był Nauczyciel dla niej jak powietrze niezbędny, dla niego sprawiła sobie nowe bluzki, sukienkę, szpilki, dla niego zmieniła ostatnio fryzurę; i

to czekanie na spotkanie z nim, i udział w jego kłopotach, smutkach, jak zaradzić, jak pomóc; bez reszty w tym pogrążona. Toteż gdy mąż jej, Józek, zajrzał kiedyś do książeczki PKO i stwierdził ubytek czterech tysięcy, skłamała ze spokojem i bez wahania, nie zmieszana, wyrecytowała kłamstwo płynnie, budząc zaufanie w mężu, wymyśliła historyjkę o najmłodszej swojej siostrze, która szykuje się do ślubu... I powiedziawszy to spojrzała mu w oczy, i czuła się w środku mocno, pewnie, miała głęboką świadomość, że racja jest po jej stronie, że ta jej sprawa najważniejsza we wszystkim ją usprawiedliwia.

Minął tydzień, poszła do kawiarenki na umówione spotkanie, czekała godzinę, nie przyszedł, wyszła, chodziła pod kawiarnią, też chyba z godzinę, nie przyszedł, wróciła do domu zgnębiona, mijały dni, żadnej wiadomości od Nauczyciela, wyczekiwała na listonosza, przecież znał jej adres, wychudła, stała się opryskliwa dla męża, zbyt surowa dla dzieci, zamykała się w kuchni, udawała, że coś pilnego szyje, a właściwie siedziała beczynn timer, gotowała obiad, zapominała o obiedzie, nie słyszała głosu męża, dzieci i tylko myślała o nim. Żadnej wiadomości, żadnego śladu; w tym sublokatorskim pokoju tak starannie i ładnie przez nią urządzonym już nie mieszkał, wyprowadził się, powiedziała opryskliwie właścicielka mieszkania, chuda, schorowana wdowa po urzędniku pocztowym. Więc żadnego śladu po nim, poczuła się zupełnie samotna, wróciła do domu i płakała bezradnie, a gdy sąsiadka z parteru, Tłoczykowa, przyszła pożyczyć cukru, wtedy ona wybuchła gwałtownym żalem, znikł gdzieś, nie ma go nigdzie, tak zwierzała jej się z tej swojej sprawy najważniejszej, szukała pomocy, rady, ale co tu można pomóc, Tłoczykowa słuchała ze współczuciem, też bezradna, tylko tak czule, dobrze objęła ją, a potem kroki na schodach, mąż wraca, szepnęła Tłoczykowa i odskoczyła jak oparzona.

I rankiem następnego dnia przyszedł listonosz z depeszą. Depesza z Ostrołki od Nauczyciela. Lakoniczna w treści, parę słów tylko, ale jak promień dla niej. „Mam pracę w Domu Kultury. Przyjeżdż. Proszę.” Nie wahała się ani chwili. Szybko ubierała się, już tylko sprawą wyjazdu zaprzątnięta. Zdążyła jeszcze wstąpić do sąsiadki z parteru, klucze zostawiła, kartkę do męża, „odbierz małą z przedszkola”, i już wybiegła, nie zastanowiła się ani przez chwilę, co pomyśli mąż, co będą jadły dzieci na obiad, zatrzymała taksówkę i po kilku minutach ostrej jazdy była na dworcu autobusowym na Żytniej. Kupiła bilet i wtedy zaprzątneła jej głowę ta głupia myśl, czy wyłączyła żelazko, prasowała bluzkę i w żaden sposób nie może sobie przypomnieć, z żelazkiem zawsze ma taką sprawę, często już na ulicy pomyśli o żelazku, wyłączone, włączone, i musi wracać, teraz też; wizja włączonego żelazka, wpierw zaczy na się tlić koc, papier, wreszcie wybuchają ogień... Autobus odchodzi za parę minut, co robić. Korytarzem przeszli tupiąc podkutymi butami dwaj wojskowi, czapki z białymi otokami, patrol WSW. Podeszła do nich.

– Mam wielką prośbę do panów. Podała adres sąsiadki Tłoczykowej. Niech sprawdzi, czy żelazko wyłączone.

– A to na wino dla panów – wsunęła kapralowi banknot pięćdziesięciozłotowy.

Żołnierze zgodzili się chętnie. Uspokojona wsiadła do autobusu.

Droga do Ostrołki z komplikacjami. Autobus popsuł się gdzieś pod Wyszkowem. Wioska, las, pustkowie. Dwie godziny reperował kierowca, czegoś mu brakowało, nie mógł dać sobie rady. Dzwonił do bazy z leśniczówki. Baza nie odpowiada. Wreszcie ruszyli jakoś. Poszarzało już. Zaczął padać drobny deszcz. Wieczorem zajechali do Ostrołki. Gdy tylko wysiadła z autobusu, lunęło rześście. Była bez płaszcza, ranek z czystym, pogodnym niebem przecież, nic nie wróżyło deszczu. Biegła nieznanymi ulicami, sukienka oblepiała ciało, woda spływała po twarzy. Przebiegała od bramy do bramy. Zatrzymywała nielicznych przechodniów, dopytując o Dom Kultury, podawali sprzeczne informacje. Wreszcie dotarła do piętrowego budynku w cieniu wysokich drzew. Ciemno w oknach, tylko w jednym oknie na pierwszym piętrze pali się światło. Drzwi zamknięte, poczęła walić rozpaczliwie pięściami, starła

sobie kostki. Po długiej chwili marudny, zaspany głos zza drzwi. Uchyliły się drzwi, dozorca. Wymieniła nazwisko Nauczyciela.

– Ni ma – odparł dozorca flegmatycznie.

– Jak to! – zawołała przerażona. Naparła na drzwi, wcisnęła się do wnętrza.

Dozorca podrapał się po zmierzwionych włosach.

– A co za jedna? – zapytał.

– Narzeczona – odparła bez wahania. Dozorca uśmiechnął się głupawo, jakby współczująco. Podał adres.

– Tylko – dodał, gdy już odchodziła – on poszedł coś przetrącić, do knajpy, znaczy się.

Znów biegła w deszczu. Namiękle ubranie, cała już przemoczona.

Jasne okna knajpy. Gwar, brzęk, szum wentylatora i pijanych głosów. Otworzyła z rozmachem drzwi. Szła między stolikami, rozglądała się bacznie. Wyglądała dziwnie. Barmanka zapatrzyła się na nią ze zdumieniem. Jakiś pijany próbował obłapić ją wpół. Strząsnęła z siebie jego łapy. Zatoczył się jak kukielka. Nauczyciela nie było tutaj.

Więc znów podążała pograżoną w ciemności i deszczu ulicą. Rynek. Duży szyld „Puszczańska” nad drzwiami, dźwięki muzyki. Wpierw stanęła przy oknie, nic nie widać, tylko zamazane cienie; więc niepewnie uchyliła drzwi... Od razu go dostrzegła! Siedział przy ostatnim stoliku pod ścianą. Był sam. Stwierdziła to z wielką ulgą. Postąpiła parę kroków. Wtedy Nauczyciel uniósł głowę. Zobaczył ją, zerwał się, podbiegł. Oboje bez namysłu chwycili się w objęcia. Włosy opadły jej na oczy, woda spływała strużkami.

– Przyjechałam – powiedziała po prostu.

To napięcie trzymające ją cały dzień ustąpiło, poczuła zmęczenie, rozboleła ją głowa.

Pokoje gościnne; właścicielka przekręca klucz, żółta, brudna żarówka, stojak z blaszaną miednicą, kolorowana fotografia na ścianie, kolekcja bibelotów: słoniki, jelenie i Murzyniątka z fajansu na kredensie... Z drugiego pokoju rozmowa facetów na delegacji:

– Więc rozumiesz, czysty zysk...

– Tak, ale jak z tym zapotrzebowaniem?

– Tu trzeba tylko rubrykę wolną zostawić...

– Klasyfikacja bardzo prosta, na wierzch trochę lepszych, a pod spód barachło... Brzęk szklanek.

– Abyśmy – popijają. Ktoś beknął. Tak przez chwilę, stanąwszy na środku pokoju, przysłuchiwali się głosom zza ściany. Nauczyciel zwiesił głowę.

– Nie ma innych możliwości – powiedział cichym, spłaszczonym głosem – w hotelu nie ma wolnych miejsc, bo zjazd spółdzielców...

On sam mieszka kątem u kierownika Domu Kultury.

– Sama wiesz – tłumaczył – w takim miasteczku... od razu by rozgadali...

Jej było wszystko jedno. Odnalazła go. Więc poszli do tych pokoiw gościnnych. Cuchnąca kapustą sień. Gruba kobieta w różowym, pikowanym jak kołdra szlafroku prowadzi ich do pokoju.

– Łóżeczko doskonale – mówi znacząco – nikt jeszcze nie narzekał... Wygodnie, szeroko...

Łóżko z metalowymi okuciami, stos poduszek, na tym stosie różowa lalka z długimi rękawami. Gruba kobieta obślizguje ich dwuznacznym, brudnym spojrzeniem. Wreszcie poszła sobie. Zostali sami.

Ta rozmowa zza ściany wpierw bardzo głośna, teraz już tylko szepty.

Ona zdjęła mokrą sukienkę. Nie krępowała się go wcale. Powiesiła na poręczy łóżka. Nauczyciel odwrócił wstydliwie głowę. Ruszył w stronę drzwi, ujął za klamkę.

– Dobranoc – powiedział – przyjdę rano. Roześmiała się radośnie. Ta jego prześmieszna wstydliwosć rozczulała ją najbardziej. Podeszła do niego.

– Żadne dobranoc – szepnęła – będziemy razem... Pocałowała go. Wyglądał na jeszcze bardziej zmieszanego. Cofał się, coś mamrotał. Tak spojrział przez chwilę na nią obnażoną,

otaczając ramionami jego szyję; zaraz jednak spróbował wysunąć się z jej uścisku, jak uczeń opuścił powieki. Przygarnęła go mocniej. Usiedli na łóżku, Nauczyciel położył głowę na jej kolanach, przywarł do niej gwałtownie, w tym geście swoim jakby schować się chciał; wydawał się jej bezradny, żalony. Miała teraz pewność, że jest mu niezbędna, konieczna. To stwierdzenie wypełniło ją siłą, zdecydowaniem. A on przyciskając głowę do jej kolan mówił zmęczonym głosem, że nic mu nie wychodzi, że właściwie źle mu jest ciągle, coś go zawsze gna i pędzi, miejsca nigdzie nie zagrzeje i tu też już zaczyna się szamotać... Słuchała go z uwagą, nie rozumiejąc przyczyny jego bólu.

– Przecież jestem z tobą – powiedziała wreszcie (to jej się wydało jedyną, kojącą wszystko odpowiedzią). I utopiła dłoń w jego szorstkich, sterczących włosach, w tym „kolczastym jeżu”, tak gładziła coraz szybciej, coraz zachłanniej. On poruszył się gwałtownie, uniósł głowę.

– No, to ja już... – wymamrotał. Znow chciał odchodzić, jeszcze bardziej przestraszony, pod jej dłonią zadygotał, czuła niespokojne bicie jego serca, ten rytm serca, jak przestraszone, zagonione zwierzątko. I znow nie pozwoliła mu odejść; zgasła światło.

A potem w głuchej ciemności, bo i ci za ścianą przycichli już zupełnie, gdy leżeli w łóżku, coraz bardziej oszalały trzepot serca Nauczyciela; leżał wtulony w kołdrę, znieruchomiły nagle i milczący... Wtedy właśnie zrozumiała, że oni ze sobą nie mogą spać. I stąd ów trzepot jego serca. Wiedziała już wszystko.

I jego głos: – ...już teraz wiesz... więc chyba pójdę sobie... Ogarnęła go mocno ramionami, przywarła do niego. Kochany, pomyślała, biedny, zupełnie samotny. Bo tym odkryciem wcale nie wstrząsnęła. Wcale to nie zmieniło jej stosunku do niego. Bo jakby coś silniejszego, nie do rozsypnięcia łączyło ją teraz z Nauczycielem. I to odkrycie wzmocniło nawet jej uczucie, zacieśniło ten węzeł. Leżeli w ciemności. Gładziła go po twarzy.

– Uspokój się – powtarzała – to nie ma znaczenia. Naprawdę nie ma znaczenia. Nic a nic – mówiła miękko jak szmer kołysanki głosem.

I jak najczulsza piastunka ucieszyła się, gdy wreszcie zasnął. Rankiem lubieżne, porozumiewawcze spojrzenie grubej właścicielki.

– Dobrze się spało? Szerokie łóżeczko, prawda? Kiwała głową z udanym sytym śmiechem. Zapłacili za pokój. Oczy Nauczyciela rozbiegane, skrywające się pod powiekami. Gruba właścicielka teraz uśmiecha się do niego. On czerwieni się jak uczeń. Długi, chudy, niezgrabny, w wyszarzonym, świecącym garniturze. Nowa fala tkliwości w niej.

Dzień był słoneczny, z czystym niebem. Szli wyboistą uliczką do rynku. Trzech wyrostków opartych o motor odprowadzało ich ciekawymi spojrzeniami. Nauczyciel milczący. Ona spokojna, łagodnie uśmiechnięta. Trąbi autobus. Przyśpieszyli kroku.

– Więc za tydzień w „Misiu” – przypomniwała. Pokiwał śpiesznie głową. Ujął ją pod ramię, pomógł wsiąść. Machał chusteczką. Gdy wracała do domu, nie myślała w ogóle o tej sprawie, która ujawniła się w nocy. To odkrycie zostało gdzieś odłożone na spód, już zapomniane, przykryte. Myślała tylko o tym, jak weszła do restauracji „Puszczańskiej” i on siedział tam przy stoliku pod ścianą. Sam, powtarzała. Myślała też o tym, jak położył głowę na jej kolanach i skarżył się żalonym.

Szła powolnie po kamiennych, wyślizganych schodach do swego mieszkania, zapomniwała, że klucz jest u sąsiadki. Tłoczykowa wybiegła za nią. Twarz miała tajemniczą, konspiracyjną.

– Mąż pije... – szepnęła – wczoraj nie poszedł do pracy... Ona podziękowała za opiekę nad dziećmi. Tak zajęta swoimi sprawami, że nawet przez myśl jej nie przeszło skojarzyć pijaństwa męża z jej nieobecnością. Ta sprawa z Nauczycielem nie stykała się dla niej z niczym z dotychczasowego życia. Odległa, czysta sprawa. Więc poszła do siebie na górę, pozostawiając zadziwioną Tłoczykową.

Zabrała się do robienia porządków w mieszkaniu. Zrobiła przepierkę, przygotowała obiad, poszła do przedszkola po córkę, wykapała ją, zacerowała pończochy, starsza też wróciła ze szkoły, obiad już gotowy, nakarmiła dziewczynki, pozwoliła im wyjść na podwórze. Sama



siedziała w kuchni, patrzyła w okno. Późnym wieczorem wrócił mąż. Chwiał się i potykał. Zajrzał do kuchni, zaraz się cofnął. Wkrótce z pokoju doszedł brzęk tłuczonego szkła, płacz dzieci. Pobiegła tam. Józek stał przy kredensie kołyszając się po pijacku. Dokładnym, ciężkim ruchem dłoni wymiatał z przegródek talerze, kieliszki, szklanki. Deptał wszystko z zawziętą pasją. Zbudziły się córki, płakały wystraszone. Józek podniósł głowę, wbił w nią skołowane, mętne oczy. Wytrzymała to spojrzenie, napreżona, z podniesioną głową. Tak mierzyli się przez chwilę. Mąż pierwszy opuścił oczy. Znieruchomiał nad potłuczonym szkłem. Potem niezgrabnie zaczął zbierać ułamki talerzy i szklanek z podłogi. Uspokoiła dzieci. Wróciła do kuchni. Nie wróciła już do pokoju. Położyła się spać na metalowym rozkładanym łóżku w kuchni.

I tak już zostało; ona sypiała na rozkładanym łóżku, mąż w pokoju. Wracał z pracy, obiad był gotowy, już na stole w pokoju, ona siedziała w kuchni przy maszynie do szycia. Tak oczekiwała się tego spotkania z Nauczycielem w stałym miejscu, jak mówiła, w kawiarence „Miś”. Pili wino, spoglądała na niego chciwie, ożywiona, wesoła. Dopytywała go o pracę, pocieszała, jak mogła, obiecała odwiedzić go tam wkrótce, starała się cały czas być pogodna, niefrasobliwa, bo czuła, że on ciągle myśli o tej nocy pamiętnej. Więc mówiła dużo, głośno, z nieco sztucznym ożywieniem.

– Już tam nie pracuję – powiedział Nauczyciel. Odprowadził ją pod dom, zatrzymał się i powiedział ochryple:–Powinniśmy przestać się spotykać, koniecznie, bo... Nie dała mu dokończyć.

– Musimy się spotykać – powiedziała z siłą. Wybuchła potokiem słów, mówiła, że muszą się spotykać, że dobrze im ze sobą, że nic więcej nie potrzeba. Mówiła śpiesznie i nie patrzyła mu w oczy. Wiedziała, że w jego oczach ból i wstyd z powodu tej nocy w pokojach gościnnych. Z powodu tej sprawy ujawnionej. Ból i wstyd, że nie może być inaczej. On pochylił się i pocałował ją. Odszedł, zniknął w ciemności.

I nie odzywał się potem, i nie wiedziała, gdzie on może być. W domu czuła się jak w klatce, obcej, duszącej klatce. Szyła, gotowała, patrzyła na męża, na dzieci. Ale nie widziała nikogo.

Po miesiącu przyszedł list od Nauczyciela.

Rozdarła kopertę. Czytała.

„Wyjechałem. Pracuję na budowie. Szum, huk, może tu będzie lepiej, bo koniecznie muszę o tym, co było między nami, zapomnieć.” Rozpłakała się, łzy rozmazały szminkę i róż, spływało wszystko brudnokolorowymi plamami. Czuła się zupełnie samotna, niezdolna do niczego. Kipi woda, rozgotują się kartofle. Odląła wodę z kartofli. Śmiech córki na schodach. Wraca ze szkoły. Trzeba przygotować obiad. Już późno. Niedługo wraca mąż. Jak drugim, niezależnym nurtem te spostrzeżenia w niej.

Zabrała się do roboty. Rzuciła okiem na przedartą kopertę. I zobaczyła na odwrocie adres. Jego adres. Więc wie, gdzie on jest. Wtedy poczuła lekką ulgę.

## DZIECINNA BUŻKA

Dawno temu pojawił się w warszawskim półświatku szczupły chłopaczek o puchatych, falujących włosach, z zastanawiająco jaskrawymi, jak u kokoty, koralowymi ustami.

Nawet babka klozetowa w „Polonii”, a taka przecież nie dziwi się niczemu, powiedziała o nim: – Ady, to istny aniołek.

Dziecinna Bużka, tak go od razu któraś z dziewczyn nazwała, studiował wówczas na pierwszym roku polonistyki, dzielił czas na ów mętny, dwuznaczny obszar w kawiarni zwanej „Polonią” i gorące, z prawdziwej pasji wynikające wgrzyzanie się w literaturę francuską, rosyjską, Dostojewski, Flaubert, Czechow, Baudelaire, Verlaine, wymieniał jednym tchem i tak miłośniczo, z tym pierwszym czystym uniesieniem mówił o sztuce i ofiarach składanych dla niej. Wysiadywał w Bibliotece Narodowej, wertował roczniki dawnych pism, pierwsze recenzje z *Ludzi bezdomnych*, dławił się niemożliwym do wypowiedzenia wzruszeniem, przepisywał eseje Peipera, na pamięć uczył się jego wierszy. I raz po raz zachwyty przesywał go jak prąd, z takim przepisaniem starannie szkicem Peipera o pobycie w kraju Jakutów obnosił się przez parę dni, cóż za tekst, jakie spostrzeżenia, ruch, muzyka, mówił to wszystkim, najzupełniej przypadkowym słuchaczom, a więc alfonsiakom, handlarzom, cyrkowcom, aktorom, słuchali niewiele rozumiejąc, ale oczarowani jego urodą, zapałem; taki czysty, z innego świata – wydawał się w tej kawiarni ciemnej, zadymionej, tętniącej interesami i handlem miłością, tu przy kotarze liczą forse śliniąc paluchy, tam tłusty lubieżnik godzi się na noc z młodziutką dziewczyną, gwar niski i jednostajny, a Dziecinna Bużka przesuwa niewidzącym spojrzeniem po sali, fascynujące sprawy, przekrzykuje wrzawę, wrócił Peiper z Hiszpanii i od razu awangardowy program artystyczny, i ta jego poezja, jak wykuta, ozdobna, barok, był kiedyś w Hiszpanii taki poeta Gongoria, nie, Gongora, jakie to wszystko zadziwiające, tak kończył swoje wywody niespodzianie, w jego wyrazistych oczach radość, niepokój, taki jakby odurzony tajemnicami życia, zaraz z naiwną, idealizującą pasją zachwycał się brutalną urodą tego handlarza dewizami, rekinka czarnego rynku, eks-policjanta Tłoczyka.

Albo tak zacierał ręce, kołysał nerwowo nogą, jaki tu ruch, szeptał, tyle inicjatywy, dynamika; rzeczywiście, bulgotało i kłębiło się wtedy życie w kawiarni, był to okres zmian i ożywienia, prywatniakom popuszczają, mówili wszyscy, i nawet dziwki studiowały uważnie pierwsze strony gazet, nie to co za Stalina, powiadano, i dawni restauratorzy, kupcy zaczynali już rozglądać się za tym i owym, może pozwolą otworzyć jakiś szyncelek, sklepik, kawiarenkę, a i waluciarze odetchnęli głębiej, nie było już tych dawnych ukazów, co to z dewizówki wyroki sypały się jak z worka, do piętnastu lat, więc teraz już nie tak, i tylko rekinek czarnego rynku, policjant Tłoczyk, patrzył na wszystko sceptycznie, ja tam na nic nie liczę, tu nikt za wysoko nie podskoczy, oblewał entuzjastów zimną wodą, ale naprawdę bulgotało i kłębiło się wtedy życie w kawiarni, i Dziecinna Bużka jak w tyglu tutaj.

Polubiono go też wkrótce, taki uczynny, grzeczny, tak śmiesznie krzywił się słysząc co plugawsze słowo i tak nieumiejętnie pił wódkę, krztusząc się i łzawiąc, tyle w nim pierwszych odkryć, tyle zachwyty dla nędznych, brudnych spraw i taka jakby starcza wyrozumiałość w traktowaniu wszystkiego – tym zadziwił nawet gburów i prostaków. I szybko on, Dziecinna Bużka, w tej kawiarni speluniastej jak ryba w wodzie, czytał tu i pisał, tu do kolo-

kwiów się przygotowywał, dobrze mi robi, mówił, tutejsza atmosfera, mówił też, że bardzo chce poznać, zgłębić ten tętniący wieloznacznym życiem organizm wielkiego miasta, że wsi przecież jestem, więc koniecznie muszę poszerzyć sobie perspektywy, od podszewki poznać wszystko, i tak dalej jakoś wyrażał się zawile, z namysłem, gestykulując i szukając odpowiedniego słowa: a wszystko, rozumiecie, to wcale nie to, co na wierzchu, o, nie, spód najważniejszy, tam do końca, no, coraz głębiej pod skórę, jak świderkiem do końca, milkł zmęczony tą próbą wyrażenia najważniejszego. I tak w tych swoich młodzieńczych pasjach odkrywania włóczył się po mieście, ciekawy, niezmordowany, tak chłonał tę banalną atmosferę półświatka, tak mu oczy pobłyskiwały, dużo nawiązał przeróżnych znajomości, z włóczęgami, stróżami nocnymi, dorożkarzami (ginący zawód, mówił, taka stoicka świadomość końcówki na ich twarzach), kombinatorami, włóczęgami, w ogóle tak jak pies myśliwski rozglądał się za mętami wielkiego miasta, podśmiewano się z niego, ale dobrodusznie, taki gawniaczek, chiński uczony, ale równy, bo też nie było w nim żadnej bufonady i pozy, tak typowej dla zdobywczego młodego wieku, on jakby ponad swoje lata wyrozumiał, coraz to rzadziej bywał na zajęciach uniwersyteckich. Upodobał sobie „Polonię”, tę kawiarnię drugorzędnych aktorów, cyrkowców, handlarzy i dziwek, tutaj, przy stoliku za filarkiem, rozkładał swoje polonistyczne książki i notatki i ta atmosfera mętnego życia, muzyka, interesy, dym, przebłyśki niklowych okuć – wszystko to odurzało go, tak wdychał łapczywie, a zarazem zdawał się być daleko od tego wszystkiego, i dziewczyny z kawiarni traktował grzecznie, ale z pewną obojętnością, a podobał się im ten chłopaczek jak świeży owoc, z cerą delikatną, gładką, bez porów, zmarszczek i nalotu szarżyny, pokrywającej każdą twarz stąd, kwiat z pól i łąk, podśmiewali się zazdrośni o to jego powodzenie u kobiet, on jednak nie złościł się, dla każdego miał uśmiech życzliwy i miękki. Taki był Dziecinnna Bużka, niezmiennie z plikiem papierów, coś kreśli, notuje, nie rozstawał się nigdy ze zdobytym gdzieś w antykwaracie debiutanckim tomikiem wierszy Peipera, z uczuciem deklamował te wiersze, śmiesznie to brzmiało w kawiarnianym gwarze, dalekim od wszelkiej poezji, jego wierną słuchaczką stała się kelnerka, panna Zofia, osoba surowa, wyniosła, ta kelnerka Zofia bardzo nim przejęta, ogarnięta jego urokiem, on zwierzał się jej ze swoich spraw, słuchała pilnie, obojętna na wołanie gości, potem z rozrzewnieniem mówiła o nim: to delikatna i krucha roślinka, od najmłodszych lat taki inny, na wsi u rodziców miał trudne życie, poszturchiwany i łajany, wyobraźcie sobie, on wśród chłopstwa, Czytak, tak go nazywali, tylko babka go broniła, on ciągle nad książką, zamyślony, nieobecny, ani na zabawę, ani do pomocy w gospodarstwie, i tylko dzięki uporowi babki, bo rodzice chcieli go koniecznie do ziemi przywiązać albo do jakiegoś fachu, on zaczął chodzić do gimnazjum, najlepszy uczeń, ale nie żaden kujon, jemu po prostu nauka łatwo przychodziła, kelnerka Zofia rozrzewniona, wzdycha śmiesznie, handlarze, rzemieślnicy, cyrkowcy – mrugają porozumiewawczo, podkochuje się w chłopaczku, ale bardzo byli zadowoleni, że ta oschła, niedostępna stara panna roztopiona jak wosk przez Dziecinnną Bużkę; jego jak swego już tutaj traktowano, taki młody dziwoląg w szorstkim, prostackim świecie pieniędzy, wódki i łatwych kobiet, potrzebny przecież ktoś taki odmienny, aprobujący jednak wszystko, a zarazem czysty, może rzeczywiście, powiadano, coś ekstra z niego wyrośnie, może, kończono niepewnie, bo dalej tym ludziom jednoznacznym nie starczało wyobraźni, raz pewien handlarz obcą walutą próbował skupić się i pilnie wysłuchał recytowanych przez Dziecinnną Bużkę wierszy Verlaine’a „...skrzyпки jesiennej szloch nieodmienny ciągle jęczy, ta sama nuta...”, Dziecinnna Bużka tak skandował muzycznie, przejęty, z wypiekami, skończył, handlarz długo milczał, wreszcie zapytał, to niby twoje, sam zasuwasz? Dziecinnna Bużka wybuchnął śmiechem, chciałbym, powtarzał, i może w związku z tym „chciałbym” niekiedy chmurniał, pulchne usta twardo zaciskał, niespodzianie porzucał swych kompanów, odchodził w zaciszny kąt kawiarni, usta ciągle zaciśnięte, pisał, kreślił, pisał, cały już stos zapisanych bibułkowych serwetek, co to, Bużka, natchnienie cię złapało, on milczał, chyba nie słyszał, zatopiony w jakichś swoich intensywnych rozmyślaniach, nagle miękł, rozluźniał się

i mówił zmęczonym głosem tak: ten świat zbełtany, brudny działa na mnie, och jak działa, jak haszysz na Baudelaire'a, *Sztuczne raje*, nie znacie, to piękny traktat o narkotykach, albo Jesienin, wiecznie w knajpie, z jaką poezją z tej knajpy wychodził; Dziecinna Bużka wicherzył włosy, ten puch kaczęcy targał, bo takie jak puch kaczęcia miał włosy, i dalej mówił, coraz dziwniej, coraz gwałtowniej... Słuchali go pobłaźliwie, ot, ma takie swoje coś, uznawano, tylko jeden szewc z ulicy Widok tak nad tym jego gadaniem zastanawiał się i marszczył czoło w trudnym namyśle: tak jakby po omacku dochodził do tego, na czym najbardziej zależy Dziecinnej Bużce, i milcząco potakiwał jego wywodom.

Ten szewc z ulicy Widok darzył Dziecinną Bużkę prawdziwą sympatią, i tacy oni coraz mocniej zespoleni przyjaciele. Dziecinna Bużka drażący jakieś trudne do wypowiedzenia sprawy i ten rzemieślnik, człowiek w sile wieku, prosty, małowówny, przy tym biegły w interesach, to on przecież pierwszy robił buty pod styl włoski, miękkie, spiczaste, szły jak woda, a on śmiał się, bo i skóra licha, i cienkie takie, uczciwie zresztą mówił kupującemu, kiepskie, bardzo kiepsciutkie, i sam nosił wiśniowe sapogi, grube, podeszwa na pięć milimetrów, to jest robota, powiadał, piąty rok i ani razu nie zelowane. Więc ten rzemieślnik z ulicy Widok często prosił nieśmiało Dziecinną Bużkę, no, gadaj, gadaj, i Dziecinna Bużka opowiadała o wyspach dalekich, morzach południowych, ptakach barwnych jak tęcza, łodziach tubylców, dawnych kulturach, teraz z mozołem odkrywanych, i budowlach pradawnych wyłaniających się z amerykańskiej dżungli, tyle tajemnic, powtarzał Dziecinna Bużka w uniesieniu, zachłystywał się brakiem możliwości wypowiedzenia, słowa mu się plątały, rozbiegały i urywały, już tylko poruszał wargami, ten rzemieślnik z ulicy Widok, wpatrzony w niego jak w obraz, kiwał głową, i chyba naprawdę jakieś podskórne między nimi porozumienie, nigdy przecież ten szewc nie podśmiewał się z niego, nawet wtedy gdy Dziecinna Bużka patrząc na starą, nieruchomą, jakby już poza progiem, twarz babki klozetowej, zaczął snuć taki czuły ciąg przypuszczeń o niej: może kiedyś piękne życie zaczynała, pierwsza miłość, marzenia o przyszłości, a potem tak ją młotkiem raz po raz zaczęło życie tłuc i już coraz głębiej się zapadała, już coraz mniej złudzeń, i wreszcie tak skamieniała, obojętna na wszystko, na nic nie czekająca, straszna, zakończył Dziecinna Bużka, a ci cyrkowcy, aktorzy, handlarze, alfonsiacy wybuchnęli gromkim śmiechem, poeta, wołali, a wtedy właśnie tylko ten szewc z Widok nie uśmiechnął się nawet, zamyślony poważnie, i wreszcie powiedział, że ma rację Bużka, on nie chce żyć jak ślepy, on chce zrozumieć, tak jak to jeden mój znajomy Żydek mówił, trzeba wiedzieć „co jest co”, i tego chce Dziecinna Bużka, tak powiedział szewc, i spojrzeli na siebie długo, ciepło, ze zrozumieniem.

Więc temu szewcowi z Widok, pannie Zofii kelnerce i jeszcze kilku najbliższym przeczytał Dziecinna Bużka swe notatki na bibułkowych serwetkach, tak czytał im nieśmiało, drżącym z emocji głosem: „...a+b, nieskończoność, droga jak wahadło, dwa różowe wielbłądy, dromadery do nikąd, tajemna magia astralna...” – i jeszcze długa kolumnienka wymyślnych słów, jak rachunek te słowa w starannym rzędku, słuchacze trochę z obawą zerkali na Dziecinną Bużkę, milczeli, no cóż, powiedział wreszcie eks-aktor, dawny amant z siwą długą czupryną, dykcja u ciebie znakomita, Dziecinna Bużka, dotąd poważny, wykrzywił twarz w zgrywnym, błazeńskim uśmiechu, zgniótł w dłoni zapiski na bibułkach, macie rację, powiedział, to są śmiecie, puste słowa, barachło, zakończył, taki delikatny, wrażliwy, szepnęła panna Zofia, a szewc z Widok westchnął z troską.

Jednak Dziecinna Bużka tego pisania na bibułkowych serwetkach nic zaprzestał, znów gestem jak maczek piśmem zapełniał bibułki, gdy to robił, stawał się tym wyłącznie pochłonięty, nie odpowiadał na pytania i nieobecny wzrokiem toczył wokół, gniewnie odganiał kelnerów dopominających się o zapłacenie rachunku, i w związku z tym wydarzył się niemiły incydent, akurat wtedy świeżo przyjęty kelner, nie znał jeszcze zwyczajów Dziecinnej Bużki, kelner ów przy tym trochę podпиты, co on tak będzie mnie przepędzał, wrzasnął zaciągliwie (był to lwowiak), co on za figura, jak księżę Sanguszko mnie przepędza, i mocno rozeźlony

chwycił Dziecinną Bużkę za kołnierz, jemu marynarka owinęła się dokoła głowy i rąk, potoczył się na podłogę, niewidzący i zaplątany w marynarkę, tak kłębił się bezradnie na podłodze, groteskowy tłumok, wreszcie wyplątał go z tej śmiesznej uwięzi szewc z ulicy Widok, bić wtedy wszyscy chcieli kelnera ordynusa, ale Dziecinna Bużka nie pozwolił, próbował się nawet uśmiechać, choć broda mu żałośnie drżała, i tak powtarzał, miał rację, miał rację, z masochistyczną satysfakcją to mówił, i bibulek rozrzuconych dokoła stolika nie pozbiarał. Dziecinną Bużkę już wtedy ze studiów wywalili, twierdził jednak z mocą, że wróci, wnet wróci, to jakby urlop dziekański tylko, i zawsze plik książek miał w teczce, żeby nadażyć za programem, trochę zmarniały, ubranie podarte, szewc z Widok chciał mu garnitur sprawić, ale on stanowczo odmówił, i tak całe dni spędzał przy kawiarnianym stoliku, taki wesołek, pozornie beztroski świetny gawędziarz, te słynne przecież jego opowieści o wyspach dalekich, tajemnicach świata, ludzi, obyczajów, tak wyraziście mówił, jakby widziało się wszystko, i różni zbierający się w „Polonii” znawcy sztuki mówienia, aktorzy, konferansjerzy i kłowni, twierdzili jednomyślnie, że urodzony talent z niego, dykcja, warunki zewnętrzne, gest, a jaki skromny przy tym, nic a nic nie przewrócone w głowie, dobrze wychowany, starszych wyręczy, po wódkę do sklepu monopolowego pobiegnie (w tej kawiarni piją wódkę ze sklepu, bo taniej), żadna to dla mnie fatyga, najmłodszy jestem.

I pewnego dnia przyniósł Dziecinna Bużka do kawiarni wszystkie swoje notatki, przeglądał, darł, kreślił, poprawiał, do późnego wieczora nad tym siedział, bilans całego roku, powiedział krzywiąc ucieszenie twarz, co za mimika, zachwycił się Żako, kłown-pederasta, a Dziecinna Bużka w stos ułożył notatki na blaszanej popielniczce przy toalecie i podpalił, ciekawi otoczyli go kręgiem, on ucieszne egzorcyzmy nad płomieniem odprawiał, hymn do ognia wygłosił, płomień wygasł wreszcie. Bużka dmuchał w popiół, dziewczyny klaskały w dłonie, rozbawił wszystkich Dziecinna Bużka, ma jednak pomysły. On poszedł po tej zabawie do panny Zofii na zaplecze, usiadł zmęczony, smutny, cała zabawa znikła bez śladu, panna Zofia zrobiła mu mocnej kawy-szatana, poila łyżeczką jak dzieciaka, on zaś cichym, monotonnym głosem mówił tak: nic mi nie wychodzi, poznawanie życia, odkrywanie życia, na co ja się porywałem, co mam z tego, jeszcze większy bałagan we łbie, i do kupy nie mogę się pozbiierać, zresztą ja nigdy do niczego nie pasowałem, zawsze nie wiadomo co, i już jak byłem niemowlakiem, to moja babka nazywała mnie odmieńcem, bo ani nie krzyczałem, ani nie płakałem, a jak dziecko takie ciche, mówiła babka, to nic dobrego, i miała rację, bo choćby te studia, mogłem przecież, potem jakaś asystentura, praca naukowa, spokojnie bym sobie siedział, albo ta bibułkowa mania, tak się żalił, a panna Zofia gładziła go lekko po włosach. A ożywił się znów i nabrał wigoru, gdy poznał gromadkę pedziów z pobliskiej opery, wciągnął go mocno ten nie znany jeszcze dotąd i dziwny rewir, młodzi, smukli chłopcy, przypudrowani, utrefieni, o miękkich ruchach, tak się zwracali do siebie per Stasia, Danko, Władzio – Dziecinna Bużka słuchał oszołomiony i płonął się jak panienka, gdy mówili do niego z babską zalotnością, jakiś ty ładny, takie koloroki na policzkach, usta; popatrywał też z niejaką obawą na tego najgłośniejszego z nich, kłowna Żako, Rasputin wśród pedziów, tak go nazywano, Żako wyciągał do niego swoje wielkie, żyłaste ręce, porośnięte czarnymi włosami, witał go serdecznie. Dziecinna Bużka w tym czasie taki niepewny a ciekawy nieznanego, całkiem inne życie, inna psychika, zwierzał się panie Zofii, całkiem inni ludzie, ona dosyć przerażona tą nową jego fascynacją, ależ, ależ, próbowała protestować, nie pozwalał jej jednak kończyć, tak już jest, mówił stanowczo, i nic na to nie można poradzić. Więc teraz przesiadywał w gronie tych pedziów, podśmiewali się z niego wszyscy w kawiarni, zmienił płęć, mówiono, jeden tylko szewc z Widok milczał nie wyrażając o tym zdania, a Dziecinna Bużka taki w tym swoim nowym zajęciu prowokujący, tak jakby flirtował przy tym pedalskim stoliku, specjalnie głośny, specjalnie wyzywający. Wkrótce też zaczął go darzyć szczególnymi względami ów słynny Rasputin, kłown Żako, uroczy jesteś, mówił, i tak długo, lubieżnie wpatrywał mu się w oczy, chodzili na spacer. Żako odkrywał mu kulisy życia cyrku, właściwie oni ciągle

razem, tego już nie mogła znieść panna Zofia, przeholował, stanowczo przeholował, mówiła ze smutkiem i coraz spoglądała w stronę tego stolika, gdzie kłown Żako tak znacząco trzymał swą wielką dłoń na dłoni Dziecinnej Bużki... Ta jego penetracja pedalskiego obszaru skończyła się gwałtownie po tej hucznej kolacji, na którą zaprosił go Żako, upoił, a potem próbował uwieść w hotelowym pokoju; uciekł stamtąd dygocący, przerażony, to jednak nie dla mnie, mamrotał, nie; ale był dyskretny i nikogo więcej oprócz szewca z Widok nie wprowadził w te swoje doświadczenia. Po jakimś czasie panna Zofia znów macierzyńsko opiekuńcza dla niego, i jak dawniej mówiła o nim: krucha, delikatna roślinka, on też ochłonął szybko, kłaniał się przyjaźnie kłownowi Żako, i tylko taki uśmieszek lekki, cierpki na jego twarzy świadczył o czymś więcej na ten temat.

Tak żył Dziecinna Bużka, na stałe już przyjęty do grona tych drugorzędnych aktorek, schyłkowych i zniszczonych (ta Ziuta Rotmistrzowa, siwa, z wolem, przed wojną podobno szampańska uroda), tych tancerek z nocnych knajp, przeróżnych Iwon i Żanet, tych po żigolacku ubranych, z sygnetami na najmniejszych palcach cyrkowców, Remigenich i Bressanich, tych rzemieślników i geszefciarzy z pobliskich sklepików i warsztatów. Już doświadczony tego życia uczestnik, znał się na kursie dolara, znał sposoby zdobywania na lewo surowca do różnych warsztatów produkujących torebki, płaszczki z ortalionu, więc dobrze w tym wszystkim zorientowany, a przy tym z daleka, właściwie obojętny na to życie ciemne, które przelewało się i bulgotało dokoła, lewe interesy, szewc z Widok zdobywa skórę od pracowników garbarni z Radomia, oni tę skórę wynoszą w butelkach po mleku, nikt na portierni nie sprawdza, bo ze względu na wyziewy garbnika tam każdy dostaje przydział mleka, więc oni tę skórę wynoszą i wynoszą, niby mleka nie dopijają, i zabierają do domu to mleko, a w butelkach cieniutka skórka, zamszowa skórka, śmiał się do rozpuku z tej pomysłowości Dziecinna Bużka, i te interesy, rozmowy, wycieczki orbisowskie do Bułgarii i na Zachód, przywożą kozuchy, przywożą długopisy, przywożą koszule non-iron, nawet jeden z handlików podarował taką koszulę Dziecinnej Bużce, i ten gwar rozmów wokół niego, niby pozwalają interesy robić, narzekają rzemieślnicy, ale surowca nie ma, małe przydziały dają, trzeba na lewo kombinować, a to kryminałem pachnie, cholera, nerwowe życie, a nie mówiłem, śmieje się sceptyczny rekiniek czarnego rynku eks-policjant Tłoczyk, za wysoko tutaj nigdy się nie podskoczy... Dziecinna Bużka przysłuchuje się temu wszystkiemu ze skupieniem, twarz na przemian wesoła i poważna, mają do niego zaufanie, nic przy nim się nie krępują, on już na dobre swój tutaj; może nieco zmienił się stosunek do niego, bo jeśli dawniej za takie cudowne dziecko był, to teraz bardziej jako świetny zgrzywus, coś jak kłown, komik, tragic, wszystko razem, tak go wychwalano za te aktorskie zalety, jak to pedzia udawał, przecież Żako całkiem serio przyjął go do branży, chwalono również jego przedziwne monologi-improwizacje, które z nagłą wygłaszał przeciw nudzie, filistrom itp., albo słuchano z przyjemnością deklamowanych przez niego wierszy, najczęściej Verlaine i Jesienin, recytator świetny, mówiły aktorki, duże możliwości, Ziuta Rotmistrzowa patrzyła na niego z sympatią, on dziękował patetycznym ukłonem za komplementy, zawsze taktowny, grzeczny, i co najdziwniejsze, żadnych cech chłopskich nie można się było w nim dopatrzeć, nie mówiąc już o uporze i twardości, bo tego chyba zupełnie mu brakowało, choć nie, może on wbrew pozorom uparty i twardy, do czegoś przecież zmierzał nieustannie, ale tak na oko nic w nim z wiochy, nic z tych przysłowiowych pól i łąk, tego nawet ci, co żywiołowo chłopstwa nie znoszą, bo wielki wtedy zalew miasta przez wieś, nie mogli mu zarzucić. Ciekawe również, że właściwie Dziecinna Bużka mocno opancerzony, ten świątek „Polonii” nic zawojował go bez reszty, ani przecież dziwny, ani naciągacz, ani kombinator, wódki też unikał, taki szeroki osobisty margines zachował, a jeśli już podlać go się udało, to wtedy śmiech i wesołość, on listy do rodziców pisał, donosił im o swoich postępach w studiowaniu, już drugi rok zaliczył, egzaminy na dobrze, profesor proponuje mu asystenturę; albo też czytał listy od rodziców, przychodziły do Akademika na Kickiego, portier opłacany przez niego te listy mu przyjmował, śmiech wybuchał

raz po raz, bo Dziecinna Bużka tak cudownie czytał naśladowując chłopski, powolny głos, raz niby kobiecy, raz niby męski, matkę i ojca udawał, a w tych listach donosili mu rodzice, że krowa się ociełiła, cielak piękny i akuratny, że sąsiadowi spłonęła stodoła, drugi sąsiad, co miał złość na niego, podpalił, że gajowy siedzi, bo drzewo sprzedawał z lasu gospodarzom, że zaraza na kury padła, słońce zboże wypaliło, Kółko Rolnicze założyli, i jak refren w tych listach – dlaczego on nie chce żadnej paczki żywnościowej z domu, dlaczego?, powtórzył iluzjonista Boliano, sam bym takiej wiejskiej kiełbasy, kaszanki albo placka. Dziecinna Bużka zezłościł się, bo nie, warknął, bo nie, bardzo go ten żart iluzjonisty wyprowadził z równowagi i od razu humor stracił. Więc tak regularnie przychodził do kawiarni, do biura swojego, powiadał, podpisać listę, w wytartym paletku, mizerny, nie wiadomo z czego żył, panna Zofia bardzo martwiła się o niego, dawała mu herbatę, bułki z szynką, i z taką czułą troską wodziła za nim spojrzeniem, a on sypał facecjami, bawił towarzystwo, panna Zofia nawet bólu jakiegoś, rozpaczy dopatrywała się na jego twarzy, tylko, powiadała, skrzętnie skrywanej, a cyrkowcy, aktorzy, w ogóle cała ta tutejsza branża, zaśmiewali się z jego żartów i zgrywnych drak, on prawdziwy artysta-cygan, mówili chałturzyści, tylko dniem dzisiejszym żyje, jak my, tak gadali, ale sami przecież oszczędni, namolni, wiecznie zapatrzeni w przyszłość, organizujący tę przyszłość, każdemu przed oczyma starość – koniec kariery, ręce sztywne, ruchy kiepskie, i tą nieustanną obawą powodowani robili forszę jak automaty, zima, lato, terenowe występy, afisze w walizeczce – dziś gości u nas światowej sławy..., i na spółkę z urzędnikiem wydziału kultury forsa zebrana z imprezy, ale tak zawsze o sobie mówili, my artyści, i łaskawie Dziecinna Bużkę do swego grona zaliczali, a on naprawdę żył dniem dzisiejszym, wiecznie ten maturalny garniturek, przykusy już i pełen lat, nie wiadomo, czy jutro śniadanie, skąd pieniądze, gdzie nocleg, on już nie mieszkał w Akademiku na Kickiego, wyrzucili go stamtąd. Tak tułał się od przypadku do przypadku, sypiał u znajomych muzyków, cyrkowców, czasem też w sklepikach i warsztatach na Chmielnej, Widok, najczęściej jednak u dziewczyn, one lubiły go za miękką, subtelną urodę, za grzeczność i czułość, za niezmienny szacunek, jakim je darzył, bardzo lubiły go te dziewczyny, krzykliwe i wyblakłe, które stadami jak jaskrawe ptaszzydła wysiadywały w „Polonii”. Tak więc mieszkał kątem Dziecinna Bużka w takich wynajmowanych pokojach, przytłaczające ohydnie wnętrza, karmelkowe tapety, bibeloty na toaletce, stopy poduszek na tapczanie, lalki mrugające oczami na tych poduszkach, mówił, że smutne są przebudzenia w takich pokojach, wszystko, na co spojrzysz, odrzuca brzydką, tępą obojętnością, w ogóle był wtedy przygaszony, coraz mniej mówił, co ty, poszturchiwali go znajomi, zasnąć coś, i on jakby budził się ze snu i tylko kręcił głową, i panny Zofii unikał, bo cóż, powiedział, mam się żalić, pojękiwać, po co... Wreszcie na stałe osiadł na Muranowie, z Białą Emmą się pokumał, Biała Emma pracowała w stołówce przy PKO, po pracy chodziła do „Polonii”, śmieszna wielbicielka *Przeminęło z wiatrem*, och, co za facet ten Rett, mówiła, a ta Scarlett to wydra, wydrzysko, ja, ja, więc z tą książką zawsze w kawiarni, szczególnie upodobała sobie pierwszy tom, czytała na wrywki jak Biblię, czekając na klientów, miała stałą klientelę, takich, co gustowali w kredowo-białym, ciastowym cieple, przeważnie przyjeżdżających na delegację zaopatrzeniowców, i u niej urządził się Dziecinna Bużka, swoje rzeczy, mało tego, zapakował w teczkę, tę teczkę przedtem przechowywał u szatniarza w „Polonii”, i zamieszkał z Emmą w wynajętym pokoju, obok za ścianą kłębiła się rodzina ślepego masażysty, takiego do niedawna wsiowego ślepego, który dzięki poparciu terenowych działaczy dostał się do Warszawy, Emma chichocze, że jakiś wpływowy działacz siostrę ślepego obskakiwał i dlatego tak mu się udało, jak ślepej kurze ziarno, zanoszą się śmiechem Emma, w Warszawie ślepiec skończył kurs masażystów, okazał się biegłym w masażu, dostał mieszkanie w ponurym koszarowcu na Muranowie, ten ślepiec po pijanemu popłakiwał z wdzięczności, państwo ludowe dało mi wsio, wsio, powiadał, a w Szwecji podobno są takie doktry, co wzrok przywracają, więc w tym pokoju u ślepego masażysty jego żona i troje dzieci, żona nie ślepa, często zza ściany słycać jej wrzaskliwy, gniewny głos, mogłabym

chłopa jak malowanie, akuratna jestem, miałam powodzenie, cicho. Stasia, uspokajał pokornie ślepiec, cicho, nie miał na pewno pojęcia o brzydocie żony i traktował ją jak królową, nie pracowała, wylegiwała się do południa, on spełniał każde jej polecenie, zahukany, przerażony, i tylko w łazience miał chwile wytchnienia, w łazience hodował króliki, z rozkoszą obmacywał ich puszyste ciała, smród króliczego łajna w całym mieszkaniu, masażysta brał od Emmy osiemset złotych za pokój, tyle dzieciaków, tłumaczył pocziwie, dorabiać muszę, bo moja bogobojna i żadnych przerywań ani usuwań nie uznaje, więc Emma mogła w tym pokoju przyjmować klientów. Dziecinna Bużka wychodził wtedy na skwer obok albo na bilard do „Smoczej Jamy”, Biała Emma pieniądze od klientów bardzo skrętnie składała na książeczkę PKO, planowała skończyć z tym wszystkim wnet i wyjechać do siebie na Śląsk, i chyba na Dziecinna Bużkę liczyła jako na przyszłego męża. Dziecinna Bużka bierny, przygaszony, rzadko wychodził z domu, przeważnie bawił się królikami, niekiedy cichaczem kupował podaniowy papier, próbował pisać coś, czytał i notował, Biała Emma złościła się tym jego zajęciem, wrywała mu ołówek, darła i paliła papier, chciałem, mówił on nieśmiało, zacząć sobie przypominać, może na studia bym wrócił, skończ te głupstwa, gderła, on kiwał pokornie głową, to jeszcze bardziej złościło dziewczynę, patrzcie, jaki to rozmarzeniec, jak Ashley, ja, ja, zupełnie jak Ashley, opowiedz coś lepiej, żądała, może być o miłości albo kryminalne coś, no, Hanysku mój, usteczka karminowe, rzeczywiście jego usta ciągle barwy jarzębiny, i Dziecinna Bużka opowiadał, ale i wtedy złościła się Biała Emma, bo jakoś tak zgaszonym głosem i obojętnie opowiadał, bez ikry, nie tak jak kiedyś w kawiarni, a taki właśnie on był wtedy, bez ikry, nawet kiedyś żona ślepego zagnała go do noszenia węgla z piwnicy, więc Biała Emma żądała, lepiej gadaj, a on posłusznie wzmacniał głos, zabarwiał życiem swoje opowieści. Biała Emma wzdychała, ona miała szczególną słabość do takich bajd romansowych, gdy coś złego działo się z bohaterem, aż zębami dzwoniła, ona sama zresztą też niezłe bając potrafiła, jej słynna opowieść, niby fakt, o biskupie, który w niej się zakochał, bardzo plastyczny opis jego uczucia, w sutannie pełźnie ku niej, palce rozczapierzone i drgające, jeden palec z biskupim sygnetem... albo znów dyplomata południowo-amerykański, syn potentata kawowego z Bahii, zapragnął Białej Emmy, albo działacz jakiś, wysoka figura, pożąda Emmy, ale nocą tylko w ustronnym miejscu się umawia, bo przecież ktoś mógłby zobaczyć, sunie miękko wołga, staje na uboczu, on do Emmy, takie sugestie czyniła, jakby to co najmniej minister, a może ktoś większy; bardzo śmiesznie ta Biała Emma Ślązaczka bając potrafiła, a najśmieszniej z nią bywało, gdy listy od jej braci górników z kopalni „Marcel” przychodziły, ożywał się Dziecinna Bużka, śmiał się naprawdę wesoło, sam już przestał listy do swoich bliskich na wieś wysyłać, więc gdy listy od braci górników przychodziły, Biała Emma stawiała się uroczysta, po wielokroć te listy czytała, no i masz, mówiła w radosnym uniesieniu, to Bruno ma już drugiego dzieciaka, ta jego Jadźka, ho, ho... I któregoś dnia tego życia u ślepego masażysty Dziecinna Bużka wyszedł przed południem na spacer, bo Emma akurat miała klienta, tak łąził bez celu ulicami, wreszcie usiadł na skwerku na placu Starynkiewicza i tam właśnie poznał tego plugawego, dygoczącego faceta o błędnych, przerażonych oczach, poczęstował go papierosem, tamten chwycił go za rękę, dziękuję, dziękuję, powiedział gwałtownie, co za serce, zupełnie jestem osamotniony, wszyscy odsunęli się ode mnie, i tak mówił coraz gwałtowniej, namiętnie, Dziecinna Bużka zrazu słuchał nieuważnie i potakiwał grzecznie głową, ale później jednak też się ożywił, przysunął do nieznanego, rozstali się późnym popołudniem, razem zjedli obiad w barze mlecznym, umówili się na następny dzień. Odtąd Dziecinna Bużka spotykał się z nim regularnie, wracał do domu zamyślony i jakby zdziwiony, co za historia, szeptał do siebie, wyśmiewała się z niego Biała Emma, jak starzyk jakiś sam do siebie brechasz, on powiedział jej, że poznał takiego faceta przedziwnego, gorączkował się, ty rozumiesz, w jego życiu taki skrót losu ludzkiego, taki groteskowy, komiczny skrót losu człowieka, co za perypetie okropne, wrak, zupełny wrak, i wiesz, zakończył błagalnie, on nie ma gdzie spać, czy nie mógłby parę nocy u nas, nie wygłupiaj się, pierunie, wrza-



snęła rozeźlona na dobre Emma, lepiej byś się do jakiejś roboty wziął, na dwoje już ledwo starczam, a z tym gnojkiem to nie zawracaj sobie głowy, dość tego, przerwał jej Dziecinna Bużka, właściwie to nigdy nie rozumieliśmy się, absolutnie, a to won, krzyknęła Emma, won, won, ty głuptaku, on jakby czekał na to, z pośpiechem spakował swoje rzeczy w ceratową teczkę i wyszedł trzaskając drzwiami, Emma spokojna i pewna, wróci, pomyślała, musi nie-  
dojda wrócić, jak go bida przyciśnie... Dziecinna Bużka jednak nie wracał, Biała Emma tro-  
chę zaniepokojona, próbowała szukać go, zobaczyła go raz, próbowała zatrzymać, lecz nie  
chciał z nią rozmawiać, zaczęła się upijać ze smutku, co robi Hanysek mój maleńki, powta-  
rzała, jak tam daje sobie radę, i ciągle czekała na niego.

Dziecinna Bużka jednak nie chciał wracać, pracował jakiś czas u znajomego prywaciarza, robił kapsle do butelek, sypiał w warsztacie u szewca z Widok, razem tam się urządził z tym facetem dygoczącym, w ogóle oni zawsze teraz razem, tamten gadał bez przerwy, a Dziecinna Bużka zasłuchany, tylko powtarzał, przerażające... A znajomi cyrkowcy, aktorzy, waluciarze, cały ten jego dawny krąg, bardzo zainteresowani tą nową przyjaźnią, coś on szykuje, coś spo-  
sobi, mówili, jakąś hecę w stylu dell'arte, popiskiwała Ziuta Rotmistrzowa, on mi moją mło-  
dość przypomina, mówił czwartorzędny konferansjer Tolo, i tak nie wiadomo na co wszyscy  
czekali, nie wiadomo czego spodziewali się po Dziecinnej Bużce, a on unikał ich z widoczną  
niechęcią i tylko temu szewcowi z ulicy Widok zwierzał się z jakichś swoich pasji i zamia-  
rów, szewc słuchał w skupieniu i mówił z szacunkiem, na duże rzeczy się porywasz, odważny  
jesteś, ciekawe, skąd to zrozumienie mglistych, zagmatwanych spraw Dziecinnej Bużki w  
tym prostym, nieuczonym człowieku. Dziecinna Bużka aż kipiał wtedy ożywieniem inten-  
sywnym, to życie, które znam i drażę, mówił, przeróżni ludzie, ty, wskazywał na szewca, ten  
błotnisty światek kawiarni, teraz on, myślał zapewne o tym dygoczącym, i tyle przeróżnych  
losów i powiązań, upadków i pozorów, wydaje mi się, że już, już będę wiedział, o co w tym  
wszystkim chodzi...

I twarz mu się mieniła ciekawością i ożywieniem, gdy spotykał się z tym dygoczącym fa-  
cetem, tak chciwie, jakby pił z jakiegoś źródła, słuchał jego zwierzeń opowiadanych głosem  
piskliwym, obficie przetykanym pryskającą śliną, tak pytał go raz po raz natarczywie, jakby  
już, już, za chwilę miał coś odkryć, znaleźć, rozwiązać.

A ów Dygot, w tym racje jakieś na pewno, to naprawdę taki groteskowy i tragiczny skrót  
losu ludzkiego. Więc tak siadywali, przeważnie na placu Starynkiewicza na skwerku, Bużka  
częstował go papierosem. Dygot podskakiwał i kłębił się w nerwowych, nieprzewidzinach,  
roznoszących go na wszystkie strony ruchach. Opowiadał chętnie, Dziecinna Bużka przysu-  
wał się bliżej i słuchał z rosnącym napięciem.

Mieszkał ten Dygot kiedyś w Alejach, w tej kamienicy gdzie PKO, urzędniczek zastracha-  
ny, taka chodząca praworządność, akademie, pochody, zawsze pierwszy, trzeba było nieść kij  
z transparentem, nikt nie chciał. Dygot zawsze, na 1 Maja dozorca spóźnił się z wywieszeniem  
flagi, Dygot od razu zameldował gdzie trzeba, o przyjęcie do partii się starał, ale nie chcieli  
go przyjąć, podobno tak motywowali odmowę: brak rozeznania politycznego, więc ten Dygot,  
stary kawaler, takie zasady dewotki przy tym, nie znosił młodych zbyt jawnie okazujących  
swoje uczucia, łajdactwo, syczał, i do zupełnego popłochu można było doprowadzić go opo-  
wiadaniem erotycznych plugawieństw, zwijał się jak węgorz, płonił, żył samotnie w dwupo-  
kojowym mieszkaniu, wtedy już kwaterunek położył łapę na metrażu, dokwaterowali mu do  
stołowego panią Tereszczenko, nauczycielkę muzyki, z siostrzenicą, ładną czarnulką, pielę-  
gniarką z Przemienienia Pańskiego, jej zajęcie przejmowało wstydem panią Tereszczenko,  
więc kłamała, że siostrzenica pielęgniarką tylko chwilowo, bo nie mogła dostać się na medy-  
cyne, wie pan, socjalne kryteria, trajkotała pani Tereszczenko, robotnik, chłop, od razu  
przyjmą... I ten Dygot, jak tylko pierwszy raz spojrział na tę siostrzeniczkę ładniutką, aż cof-  
nął się z wrażenia, nigdy tak na niego nic nie podziałało, zakochał się w niej bez pamięci i  
jeśli przedtem niechluj z niego odrażający, to teraz mył się i ubierał, nawet z pewną elegancją

stroił się, kupował kosze kwiatów i siostrzenicze wręczał, a taki wstydlivy, że przez posłańca wręczał, a potem, jak mu dziękowały, bełkotał zawstydzony, niewiasty podobno lubią kwiaty, pani Tereszczenko zadowolona, może myślało to stare, utrefione pudło z pretensjami jeszcze nie zgasłymi, że dla niej te kwiaty. Dygot coraz intensywniej pograżał się w to uczucie, zdolny do wielkich poświęceń, on, sknera i liczygrosz bezwzględny, kiedyś pani Tereszczenko rzuciła okiem na gdański zegar w jego pokoju, bardzo gustowna rzecz, powiedziała, już następnego dnia gdański zegar był w jej pokoju, mnie niepotrzebny, wyjaśnił Dygot kłamliwie, a przecież bardzo mu potrzebny, bo nie miał ręcznego, i tak wodził tchórzliwym, psim wzrokiem za tą szelmą pielęgniarką, tak gapił się jak w obraz-arcydzieło, która dziewczyna nie lubi takiego uznania, potem zaczął rzeczy po matce wynosić, stare salopy, suknie, kapelusze, w workach przeciwmolowych wynosił i sprzedawał na bazarze, za bezcen to opylał, i za pieniądze z tych staroci siostrzenicze prezenty kupował, maskował się jeszcze, niby dobrotliwy starszy pan, z bezinteresownego upodobania, zresztą starucha Tereszczenko wyrachowana i łasa, siostrzenicze też oczy się tylko świeciły, bo też znał się na rzeczy, to szminke zagraniczną podarował, to lepsze perfumy, to włoską apaszkę czy botki, one kawą go częstowały, trzęsły mu się ręce, kawę rozlewał, i tylko chyłkiem pożerał spojrzeniem tę siostrzeniczkę-pielęgniarkę, a potem czał się na korytarzu, każdy szelest z ich pokoju raził go jak prądem. Pani Tereszczenko wreszcie zorientowała się w sytuacji, bo on wtedy już zaczął wieczorami tę siostrzeniczkę przez dziurkę w drzwiach podglądać, taką dziurę obserwacyjną świdrem wyborował, one odkryły tę dziurkę, zabiły dyktą, ale on inny otwór zrobił, i tak czał się, bez butów chodził, i jak tylko zobaczył siostrzeniczkę, kulił się, ręce chował za plecy, palce jak robaki mu chodziły, najśmieszniejsze, że on chyba nigdy z nią więcej niż dwa zdania nie zamienił, nie mógł, peszył się i zacinał, jej uroda, jego dla niej uczucie, wszystko to było sprawą ponad jego siły i możliwości, więc tylko ani na moment już nie opuszczał dziewczyny, ona na randkę, on za nią, potrafił pod kawiarnią czy pod kinem warować godzinami, wszędzie jak cień, pod łazienką, gdy się myła, też czatował, pod klozetem, za przeproszeniem, też... Ta pielęgniarka poczuła się jak osaczona, bo ta jego sieć spojrzeń i szpiegowania gęsta i nieustająca, starucha Tereszczenko też w strachu, na klucz drzwi do pokoju zamykały, przysuwały jeszcze stół, istny stan obłężenia powstał... I pani Tereszczenko, do reszty już wystraszona, poszła poradzić się Magistra z czwartego piętra. Magister, farmaceuta-zielnik, od lat eksperymentujący nad mieszkanką przeciwrakową, od lat też wielbiciel pani Tereszczenko, uważnie wysłuchał całej historii, sprawa poważna, zamruczał, na ileż okropności narażone są samotne kobiety, proszę się uspokoić, całował zapamiętałe dłonie pani Tereszczenko, wierny jej wielbiciel, wdowiec i galant, wielka uroda mojej młodości, pani Tereszczenko popiskiwała jak podłotek, ach, panie magistrze, stare próchno, złocista peruczka, uróżowana i błyszcząca kremem, obwieszona sztucznymi świecidełkami, kiedyś miałam prawdziwą biżuterię, ale czasy ciężkie, przejadłam, więc teraz nosiła błyskotki firmy „Jablonex”, tak wdzięczyli się do siebie. Magister wzdychał, jak lubczyk działa pani na mnie, kłapał sztucznymi szczękami, pani Tereszczenko trzepotała powiekami...

Jak doskonale widział to wszystko Dziecinnna Bużka, jak czuł, przeżywał. Ta opowieść Dygota jawiła mu się przed oczami, rozgrywała się jakby teraz, w tym ciemnym mieszkaniu w kamienicy, gdzie PKO. Parę niewyraźnie wybełkotanych słów starczało mu, żeby snuć to jak z kłębka... I ta rozmowa u Magistra, mnóstwo ziółek w torebeczkach, buteleczki. Magister w starej połatanej bonzurce. I tak rozmawiają, zastanawiają się, poważna historia, łaskawa pani, mówi Magister, niebagatelna, tak, tak... Wreszcie uradzili wspólnie, że trzeba o tej natarczywości Dygota powiadomić milicję. I tak też się stało. W komisariacie scena jak z farsy. Dygot mówi o tym z obrzydliwą precyzją, swój strach, śmieszność, miłość, desperację – niczego nie ukrywa.

Więc szedł tam jak na stracenie, ostatkiem sił wyprężył się przed dyżurnym milicjantem, bardzo uginały mu się nogi w kolanach. Rozumiem, rozumiem doskonale, szepcze z przeje-

ciem Dziecinna Bużka. Stoi ten Dygot, blady ze strachu, mroczno przed oczyma, i jak nie wrzaśnie: – Precz! Precz z tą niewolą! Ja protestuję. W ogóle jestem przeciw! – Dyszy, parska, pot na dłoniach, twarz mokra. – Jestem wrogiem ustroju (teraz opowiada piskliwym szeptem, dyszkancikiem urywanym). – W domu mam broń. I wszystko mi jedno, mogę kulę w łeb, stryzynek. Jednak nie zaprzestam. Ja zamach przygotowuję (i tak ostatkiem sił napiął się do powiedzenia tego najważniejszego)... – Więc ten milicjant tak uniósł się na krzesło, a ja: – Zamach... Na Niego! Na Stalina!! (I tak popatrzył na nich, myśli Dziecinna Bużka, z napięciem, osłupiały tym, co wykrzyknął, potem tak przeniósł psi wzrok na pielęgniarkę, tak błagalnie, rozpaczliwie na nią popatrzył, ona na pewno zakryła dłonią usta, żeby nie parsknąć śmiechem. A dyżurny milicjant już się śmieje, tak wybucha gardłowym, prostackim śmiechem...)

– Na Stalina – Dygot naśladuje głos milicjanta – za późno, Stalin już dawno...

I długi śmiech zewsząd. Śmieje się starucha Tereszchenko, siostrzenica też parska.

Zamyślił się smętnie Dziecinna Bużka. Dygot teraz zgarbił się, twarz w dłoniach, przeżywa znów swą farsową, tragiczną klęskę... Tak chciał ten urzędniczek zastrachany prawdziwym herosem się stać, zdobyć uznanie swej wybranki, serce jej zdobyć, a przecież w żaden sposób nie mogło mu się udać.

Patrzy Dziecinna Bużka na szarą, plugawą twarz Dygota. W słońcu łupież bieli się na rzadkich włosach. Jak go rozumie, z takim prawdziwym współczuciem podsuwa mu papierosy, sam pochylony, długo, długo coś rozważa zaciskając dłonie na oparciu ławki.

To wszystko, mówi do siebie, od początku z błędem jakimś, złośliwy bies w tym siedział, i nieuchronnie musiała nastąpić plajta. Wyrzucono wtedy Dygota z komisariatu, zagrożono pałami, a pani Tereszchenko wkrótce dostała mieszkanie w nowym budownictwie na Wierzbnie, i ten Dygot nieszczęsny płakał jak dziecko, gdy się kobiety wyprowadzały, szedł za nimi i płakał...

I teraz wspominając też płakał, łzy spływały po obwisłych policzkach, chlipał i siąkał nosem. A Dziecinna Bużka tak jak badacz przedziwny (jakby robił wiwisekcję czy coś podobnego) pytał o przeróżne szczegóły, i tak natarczywie wypytywał, tak klepał Dygota, no, przypomnij sobie, czule, to groźnie, na przemian; nie zważał wcale, że ludzie przyglądają im się z ciekawością, ktoś puka się w czoło, chichoty...

–A ta siostrzenica...–zaczynał bezlitośnie Dziecinna Bużka. Chciał dokładnie wiedzieć, jak wyglądała, co mówiła... Dygot zresztą, mimo że zapłakany i nieszczęsny, chętnie opowiadał jeszcze raz i jeszcze raz... Tak grzebali się z uporem, rozpaczą, z jakąś nieustępliwą chęcią rozgryzienia wszystkiego. Potem Dziecinna Bużka przeszukiwał kieszenie, liczył pieniądze i szli z tym Dygotem do baru mlecznego lub restauracji.

Tak wyglądali jak reżyser i aktor po niezwykle forsownej scenie nagrywania jakiegoś obrazu, a przy tym zastanowić się, i nie wiadomo, kto aktor, kto reżyser... Coś w tym sensie właśnie powiedział szewc z Widok, oni tak jakoś wyglądają, jakby jakąś wspólną sprawę mieli, wspólnicy, czy ja wiem, powolnie, z trudem dobierał słów szewc z Widok, on kiedyś rankiem przyszedł do warsztatu, oni wtedy sypiali u niego, i zastał ich zagadanych. Dziecinna Bużka o sobie temu Dygotowi mówił, tamten znów o sobie, tak siedzieli na szewskich stołkach, mnóstwo niedopałków, nie przespana noc. No i wreszcie ta ich upiorna noc w „Polonii”.

Kolację zafundował Dziecinna Bużka, skąd pieniądze, jedni się śmieją, że od panny Zofii, drudzy mówią, że właściwym fundatorem był szewc z Widok, w każdym razie wystawna kolacja, przystawki, eksportowy winiak, i rozbef. Dygot zażerał się łapczywie, popijał krztusząc się i parskając. Dziecinna Bużka jak kelner przy nim usłużny, a Dygot już dobrze podchmielony, zerwał się i tak wykrzykiwał: – Nic się nie boję! Nic! Słuchajcie, tchórze i konfidenci, słuchajcie uważnie! Ja, jeden z największych spiskowców swego czasu. Było nas kilku idealistów, gotowych na wszystko fanatyków prawdy, zbieraliśmy się przy kaplicy Świętej

Barbary, na czele stał Jerzy W., nazwiska nie mogą ujawnić, wiąże mnie słowo oficera, i wszystko mieliśmy już ustalone, oczekiwaliśmy tylko na zrzut, mieli nam przysłać ładunek wybuchowy, a naszą akcję nazwaliśmy godzina 0. I na polanie leśnej Wiszary, trzy kilometry od leśniczówki tej samej nazwy, w sercu Puszczy Kampinoskiej, nasz sygnał trzy światła zielone co dziesięć sekund, niestety zdrada, to ona na pewno, osoba płci żeńskiej, piękna i przewrotna...

– Ta pielęgniarzeczka, szelma – wtrącił iluzjonista Boliano.

– Nie przeszkadzaj – machnął ręką Dziecinna Bużka zasłuchany.

A Dygot ciągnął dalej, tak jakby recytował, gładko i szybko: – ...Więc zdradziła ta żmija. KBW otoczyło puszcze. Zrzut dostał się w ich ręce, ale ja walki nie zaprzestałem, bez żalu pożegnałem bliskich i udałem się sam do tego ogniska zła, na pewną śmierć szedłem, ale postanowiłem dokonać zamachu... – Nagle zmętniały mu oczy, skulił się strachliwie. – A czy nie ma jej tu czasem? – zaszeptał. – Ładna, czarna. Och, jaka ładna. Czy nie ma jej tu?

Iluzjonista Boliano, Ziuta Rotmistrzowa, kelner lwowiak, wszyscy śmiali się do łez.

– Też sobie wynalazł zabawę nasz cherubinek – powiedziała Ziuta Rotmistrzowa, pieszczotliwie grożąc Dziecinnej Bużce.

Dygot już spokojny, zobojętniały, zabrał się żarłocznie do jedzenia. Dziecinna Bużka, dotąd zasłuchany, cały pogrążony w tym patetycznym przemówieniu, ocknął się też i przysunął do Dygota.

– Zamachu dokonałeś i żyjesz? – zapytał.

– Cudem – odparł śpiesznie tamten, skulił się i zasłonił twarz jak przed uderzeniem.

Znów salwa śmiechu, ten Dygot taką minę miał, śmiesznie strachliwą, tak chytrze, pokornie zerkał na Dziecinną Bużkę, swego opiekuna i chlebodawcę. Dziecinna Bużka też się roześmiała. Dygot odpowiedział na ten uśmiech przymilnym wykrzywieniem twarzy. Ziuta Rotmistrzowa (ta stara erotomanka), wykorzystując roztargnienie Dziecinnej Bużki, przywarła do niego kolanami, ocierała się bezwstydnie, wplątywała swoje nogi w jego.

A Dygot przysypiał, ocieżały jedzeniem i wódką. Wtedy Dziecinna Bużka odtrącił tę Ziułę Rotmistrzową przywierającą już jawnie do niego, ale jak odtrącił, on taki grzeczny zawsze i delikatny, odepchnął brutalnie, starucha zatoczyła się jak słomiana kukła, i chwycił Dygota za ucho, uszczypał raz, drugi. Dygot jęknął, otworzył oczy, w oczach strach, piszczał jak szczur.

– Won! won! – krzyknął Dziecinna Bużka. Tak gwałtownie pchnął Dygota. Obrzydzenie na jego twarzy. Potem spojrzał wokół i jak wytrącony z transu przetarł oczy.

Dygot czmychnął za filar i stamtąd dalej pojełkiwał. Noc ustępowała, robiło się jasno, kierownik sali przechadzał się między stolikami, powtarzając: – Dobranoc państwu. Dziękujemy. Do zobaczenia, do jutra...

Trzeba było wychodzić z tej knajpy.

Sprawę z Dygotem uznano za niezłą zabawę, właściwie tak znów dobrze nie wiedziano, o co chodziło w tym Dziecinnej Bużce, ale on przecież taki enfant terrible, jak mówi Ziuta Rotmistrzowa, więc coś w jego stylu, po prostu mieniąc się gra znaczeń, spraw, uczuć, raz przecież taki troskliwy dla tego szmatławca, to znów pełen obrzydzenia i złości, tak przecież wykrzykiwał w tę noc: bezsens, plajta, wszystko pękło, pękło, pijany czy co... Ten Dygot jeszcze pojawiał się później tu i tam, zebrał, zbierał butelki, plądrował blaszane kosze ze śmieciami, i mowa mu się popsuła, bełkotał, taki bełkot jak szyfr, na widok kobiet uciekał co sił w nogach, skudlony, siwy i cuchnący. Umarł niedawno.

A Dziecinna Bużka wsiąkł gdzieś bez śladu. Na wieś do swoich wyjechał, przypuszczano nawet. Wspominała go z rozczuleniem Zofia kelnerka, czasem pytał o niego szewc z ulicy Widok...

Minęły lata, szmat czasu, i w wigilię Bożego Narodzenia, mroźny to był wieczór, czas tradycyjnego śledzika, choinki, świąteczne zakupy, pijani całują się i przysypiają na śniegu, tłum w sklepach, gwiazdka, szukają ryb, nie ma cytryn, i w takim tłumie płynącym schodami ru-

chomymi w CDT znaleźli się iluzjonista Boliano i konferansjer Tolo, obaj w bułgarskich koczach, dobry sezon mieli, Tolo już poważną sumę na fiata 600 zebrał, więc zajechali na czwarte piętro i tam zobaczyli... Dziecinna Bużkę! On. Nie on. On. Też ich zauważył, ale odwrócił się plecami. Podbiegli do niego.

– Kopę lat! – ucieszyli się.

Pokiwał obojętnie głową. Wyłysiał, siwy na skroniach, w waciaku, wołokowe buty. Wyciągnęli do uścisku dłoń. On palce miał grube, pościerane. Delikatna dłoń iluzjonisty wyczuła to od razu.

– Cóż za kreacja – zdziwił się konferansjer Tolo – taki strój.

– Z roboty się zerwałem – Dziecinna Bużka popatrzył na niego zimno, obco, bez życzliwości – roboczy strój. Sprawunki na święta robimy. Z żoną... No, lecę – nie żegnając się odszedł śpiesznie.

Zatrzymał się przy stoisku z damskimi ubiorami. Ciężarna kobieta wręczyła mu siatkę z pakunkami, wziął ją troskliwie pod ramię, skierowali się do wyjścia.

– O, rany! – wykrzyknął iluzjonista Boliano – to Biała Emma!

Podeszli bliżej. Ta ciężarna kobieta to Biała Emma. Więc żona Dziecinnej Bużki teraz. Wyszli z CDT, zdziwieni i bardzo zaciekawieni. Jeszcze chcieli z nimi porozmawiać. Zawołali. Ale akurat zmieniło się światło. Na czerwone. Dziecinna Bużka przeszedł na drugą stronę jezdni. Oni zostali. Nie obejrzał się nawet. Zginął wraz z żoną w świątecznym tłumie na ulicy.

## ON

Położyłem się wtedy wczesnym wieczorem. Właściwie mogłem jeszcze pójść do ciecia i wziąć na kredyt ćwiartkę, ale nie chciało mi się już pić. Nie byłem pijany, tylko czułem zmęczenie, w szpitalu jednak trochę zdrowia mi odebrali. Byłem sam, żona wyjechała do rodziny w Kieleckie. Otworzyłem okno, duszno w tej suterenie, paskudna nora, wilgoć, smród stęchlizny i latem nie do wytrzymania. Zasnąć nie mogłem, próbowałem na wznak, na boki, brzuchem, ale wciąż wszystko wirowało, cały pokój i ja, do góry, na dół. Kotka Murka ułożyła się obok na poduszce, przycisnęła łepkę do mojego policzka, perkotała jak motorek, ciepło od niej buchało, odsunąłem Murkę, przyłożyłem twarz do wilgotnej ściany, wirowanie ustało. Chyba zaraz zasnę. Jeszcze z daleka zgrzyt klucza, cieć zamyka bramę... i zabrzęczała okienna szyba.

Poderwałem głowę. Czarny kształt mignął z parapetu na tapczan. Poczułem ruchliwy ciężar na nogach. Przetarłem oczy. Murka zamiauczała gwałtownie. Może złudzenie. Czułem jednak ciężar na nogach. I widziałem czarny, podłużny kształt. Okno jeszcze kołysało się lekko. Murka obwąchiwała kołdrę w nogach. Pod tapczanem chrobot. Ostre drapanie w podłogę. Murka wygięła sztywno grzbiet, stara się wcisnąć między tapczan a ścianę, zamiata ogonem. Oświetliłem szczelinę za tapczanem. Nic nie mogłem zobaczyć. Starąłem się ustalić, skąd pochodzi ten chrobot. Ten czarny kształt niemały. Jak Murka. Więc na pewno... Z ubikacji do mojego okna jest kilkanaście kroków. Tam ich pełno. Ktoś musiał go spłoszyć. Usiadłem w kucki na tapczanie.

Murka niespokojna, zjeżona. To bardzo łowna kotka. On na pewno siedzi pod tapczanem. W tej ubikacji z dziurami w podłodze jest ich mnóstwo. Mnie jeden wyprysnął kiedyś spod nóg. Tłusty, wąsaty, ślepa mu błyszcząły jak latarki. Jego obraz prześladował mnie długo. Zamknąłem okno. Siedzi pod tapczanem, wciśnięty, rozplaszczony. Niewygodnie mu tam, dlatego drapał. W jednym miejscu pod tapczanem podłoga wypaczona z wilgoci, wklęsnięta. On tam siedzi. Murka ze zjeżonym grzbietem, ogon, gruby jak wałek, omiata kołdrę. Czuje go. On siedzi i czeka. Szkoda, że nie ma żony. Szkoda, że nie ma wódki. Podsunąłem się do krawędzi tapczanu. Zmierzyłem odległość od podłogi. Na trzy palce. Ciasno. Coś zaszeleściło. Szybko cofnąłem rękę. Najlepiej zapalić światło. Co się dzieje z Murką? Oszałała, przebiera łapkami, ogon jak tańczący wąż. Zapaliłem zapałkę. Oświetliłem szczelinę. Mignęło. Ale to cień od płomienia po prostu. Podbiegłem do drzwi. Przekręciłem kontakt. Ze światłem dużo lepiej. Murka zeskoczyła z tapczanu. Czatuje na podłodze. Spróbowałem odsunąć tapczan. Jak przyrośnięty do podłogi. Niewygodnie mu pod tapczanem. Kłębi się w tym niewielkim wklęsnięciu. Zaklinował się jak korek. Żona akurat wczoraj musiała wyjechać. Jej matka ciągle kwęka i kwęka. I zawsze wszystkie córeczki podnoszą wielki alarm. A matka zdrowa właściwie, tylko histeryczka. A może wcale go nie ma? Może złudzenie po prostu? Wyciągnąłem się na tapczanie. Zapaliłem papierosa. Znowu chrobot. Bardzo wyraźny. Piłuje deski. Chce wyrwać się stamtąd. Za późno zapaliłem światło. Przy świetle on nie wskoczyłby tutaj. One boją się światła. Murka też nasłuchuje. To bardzo łowna kotka. Zawsze z korytarza przynosi myszy. Podrzuca. Chwali się. A teraz nie może nic zrobić. Otworzyłem na oścież okno. Może wyczołga się i wyskoczy. Metr dzieli mnie od niego. Wstałem gwałtownie. Chwyciłem

pogrzebacz, rozrzuciłem węgiel w piecyku, tlił się jeszcze. Wsunąłem gazetę, parę drewniaków, kilka kawałków węgla. Buchnął ogień. Włożyłem w żar pogrzebacz. Nie spuszczałem spojżenia z okna. Może wyskoczy akurat. Nagrzałem koniec pogrzebacza do czerwoności. Wsunąłem pogrzebacz pod tapczan. Przekręciłem mocno. Chrobot. To on. Musiałem go przygrzać. Jeszcze raz przesunąłem pogrzebaczem. Murka czatuje w napięciu. Lekkie, konwulsyjne drganie ogona. Nic. Musiał się wcisnąć poza zasięg pogrzebacza. Uniosłem pogrzebacz. Obwąchiwałem. Lekki śwąd. Chyba jednak przypaliłem go. Dałem do obwąchania Murce. Murka obwąchuje, ale nic po niej nie można poznać. Jeszcze raz przesunę pogrzebaczem. Wygarnę go. Zaraz jednak rozmyśliłem się. On rzuci się na mnie. W oszalałym strachu będzie czepiał się ubrania, popiskiwał. Odstawiłem pogrzebacz.

Położyłem się na tapczanie. Zapadłem w ciężką drzemkę... On siedzi na stole. Siedzi i patrzy na mnie. Nie boi się. Oblizwał się. Na stole butelka z mlekiem. Obwąchał. Pić mu się chce. Podchodzi do butelki. Staje na dwóch łapach, opiera się o blaszane pudełko z kawą, wtyka w szyjkę butelki goły szary ogon, macza w mleku, wyciąga, oblizuje. Już wcale nie wyciąga do końca ogona. Koniec trzyma w butelce, a resztę oblizuje i zaraz szybko wsuwa po następną porcję. W butelce coraz mniej mleka... Zerwałem się z tapczanu. Na stole nawet mleka nie było, tylko blaszane pudełko z kawą. Wczoraj nie kupowałem mleka. Podrzuciłem węgla do ognia, wsunąłem pogrzebacz. A może on teraz powoli pełźnie pod tapczanem, wysuwa łeb, patrzy.

Na podwórzu kroki.

– Halo! – krzyknąłem. – Halo!! Na chwileczkę!

Ale nikt nie podszedł do okna. Szarzej. Kroki znów. Idą do roboty. Nie pójdę do roboty. Muszę poczekać. Ten pośpieszny wychodzi o pierwszej. Przed szóstą powinna być żona. Chrobot. Jakby blisko, tuż pod materacem. Podbiegłem do piecyka. Wygasło. Popiół. Pogrzebacz zimny. W spodzie tapczana jest dziura. Dlatego ten chrobot taki bliski. A w środku stare materace, watolina, kołdra. On tam wlaź. I krąży teraz po starych betach. Dlatego ten chrobot taki bliski. Podnieść wieko tapczana? Wtedy wyprysnie stamtąd. I ukryje się w nowym miejscu. W suterenie pełno zakamarków, starych gratów. Pod stołem cały skład puszek po konserwach. Pod szafą też jakieś rupiecie... Drzwi skrzypnęły przeraźliwie. Skoczyłem gwałtownie. W drzwiach ukazała się żona.

– Marnie wyglądasz... – patrzyła na mnie ze zdziwieniem.

Wskazałem na tapczan.

– On tam siedzi – wyszeptalem.

Żona wyciągnęła z torebki butelkę wina. Jednym uderzeniem odbiłem korek. Domowe wino. Dość mocne. Piłem łączywie. Żona odebrała mi butelkę. Przestałem dygotać. Opowiedziałem o nim.

– Zwid – roześmiała się – zwykły zwid.

– Zobacz – powiedziałem. Chwyciłem za kark Murkę i zacząłem ją wpychać pod tapczan. Zapierała się, sycząc. – Czy przypominasz sobie tę dziurę w spodzie tapczana?

– Najwyższy czas wymienić dyktę – odpowiedziała.

Przygotowałem bijak do kapusty. Odsunęliśmy tapczan. Żona uśmiechała się lekko. Murka wskoczyła na parapet. Przygotowywała się do skoku. Pod tapczanem jego nie było. Więc siedzi w środku, w tych betach. Ostrożnie podnieśliśmy wieko. Kłęb betów. Nie poruszył się. Wyga... Wie, że polujemy na niego. Chwyciłem oburącz bijak i opuściłem ciężko. Bety rozpląszyły się jak placek. Walilem raz po raz. Złe wymierzyłem i rozłupałem bok tapczanu. Zemdlały mi ręce, bijak wyslizguje się z uchwytu. Żona odsunęła mnie za ramię. Miała szyderczą minę, pochyliła się i rękoma zaczęła przebierać bety w tapczanie. Spokojnie przekładała strzępy starej kołdry... Coraz bardziej szydercza mina. Dłonie zatapiała głęboko w tych betach. Murka ocierała się o jej nogi. W tapczanie jego też nie było. Przymknąłem oczy. Wina ani odrobiny. Ogon najwstrętniejszy, jakby namiękły, łysy.

# MIZERYKORDIA

## 1971

### MIZERYKORDIA, CZYLI KRÓTKI ŻYCIORYS

Działo się to wiele lat temu na piaszczystych, porośniętych sosnowym lasem obszarach tego odległego od głównych traktów i większych miast powiatu w środkowej części kraju. Wojna zakończona szybką klęską, okupacja... I Stanisław K., młodzieniec, jakich tam wielu, staje się Mizerykordią, legendarnym akowskim partyzantem.

Skromny i nieśmiały praktykant w niewielkim tartaku, oto pierwsza, zwykła, niczym się nie wyróżniająca część jego życia. Od klęski wrześniowej zaczyna powstawać nagle drugi, odmienny życiorys, jakby szło nie o tego samego człowieka. Talenty i nieoczekiwane cechy charakteru, uśpione dotąd, zaczynają stanowić o jego osobowości. Z praktykanta-leśnika konspiracyjny dowódca. I to nowe życie jak film niezwykle się potoczyło: wysadzał wojenne transporty, w brawurowych potyczkach rozbijał posterunki Gestapo i odbijał uwięzionych patriotów. Powstawała o nim ludowa legenda. Marzyli o jego sławie młodzi, kochały się w nim skrycie hoże dziewczyny. Legenda zwielokrotniała i barwiła jego partyzanckie czyny. A szczęście miał w tym wojowaniu niezwykle, wiele razy śmierci z łap się wymykał, sam szafując śmiercią bezlitośnie. Ile to razy na wieść, że zbliża się Mizerykordia, żandarmi i policjanci na wartowniach zagubionych w lasach, wśród ludu milczącego i wrogiego osadzeni, odkładali broń i zegnali się nabożnie, już czyniąc ostateczny rachunek sumienia.

Wkrótce oddział Mizerykordii powiększył się znacznie, stał się kompanią, a on dowódcą tej kompanii. Sprawny, wypróbowany w podziemnej wojnie oddział, z dowódcą brawurowym, junackim i równocześnie rozważnym, przebiegłym, nie trwoniącym krwi i odwagi niepotrzebnie.

Brał udział Mizerykordia w wielu wspólnych akcjach z partyzantami innych orientacji politycznych. W tych lesistych stronach, sprzyjających guerrilli, działało kilka konspiracyjnych grup, nękających zaciekle okupanta.

Orientacje i poglądy w wojennym życiu Mizerykordii nie liczyły się wcale. Wiedział tylko jedno: należy walczyć z wrogiem – i to było jego wyłącznym celem.

Radziecki partyzant, również słynny w tamtych stronach wojak, brodaty major, podarował Mizerykordii nagan z ozdobnie inkrustowanym napisem: „Druhowi serdecznemu za krwią umocnioną przyjaźń, za zwycięstwo, za szczęście.”

Przypadli sobie do gustu, obaj przecież jednakowo odważni, obejmowali się i całowali podczas leśnych spotkań, zwyczajem słowiańskim niejedni baniak samogonu wypili siedząc w gajówkach i szałasach nad polowymi mapami, planując śmiało wypadki na Niemców.



Nieliczne zachowane z tamtych lat fotografie pokazują Mizerykordię, młodzieńca wysokiego i szczupłego, o delikatnej, okolonej nikłym zarostem twarzy, obwieszono go fantazyjnie granatami, stenem, naganem, w furazerce zsuniętej na tył głowy.

Po wojnie Mizerykordia według londyńskiego nakazu nie poddał się nowej władzy. Żołnierz był z niego mimo pozorów samowoli i porywczowości zdyscyplinowany, przełożonym uległy, nigdy nie próbował niepotrzebnie rozważać i oceniać ich racji. Tak było i po wojnie. Teraz atakował i rozbijał ubowskie komendy, wymykał się obławom i siał strach.

– Mizerykordia nie przestał – szeptano.

Ale sieć stawała się coraz gęściejsza, ginęli jego żołnierze, inni odchodzili, pragnąc już nade wszystko spokoju i bezpieczeństwa, oddział przypominał coraz bardziej zagonione w obławie leśne zwierzęta, dzikość, okrucieństwo i desperacja przeważały już w czynach. Beznadziejność cechowała tę szamotaninę.

Życzliwych i pomocnych coraz mniej, bali się ludzie, drzwi chałup coraz częściej zaparte na sztaby i drągi. Bardziej już uciekał i wymykał się nagonce Mizerykordia, niż walczył, a niewiara i zwątpienie nawiedzały go podczas bezsennych odpoczynków.

Schwytano Mizerykordię na początku drugiego powojennego roku. Bronił się rozpaczliwie, ale nawet najbardziej oddani w oddziale opuścili go i musiał ulec.

Ciężkie miesiące śledztwa i wyprowadzono długi rejestr jego czynów. Wreszcie ten tłum przed sądem. Mizerykordia zmrużył oczy od dawno nie widzianego słońca i przeraził go ten tłum...

I odbył się sąd nad Mizerykordią, dwudziestosześcioletnim młodzieńcem.

Zaczęły się lata więzienia, które według wyroku miały już trwać do końca.

Była w nim wielka tęsknota za wolnością, śnił mu się las, biwaki i potyczki, tam śmierć przychodziła lekko jak wiatr, znienacka; tu miesiąc po miesiącu, rok po roku toczyła jak rak w swoim nieubłaganym wolnym, kalendarzowym rytmie.

Buntował się Mizerykordia, krzyczał i walił pięściami w obite blachą drzwi. Za łamanie regulaminu prowadzili go do ciemnicy uśmiechnięci pobłażliwie więzienni nadzorcy.

Potem ucichł, przedwcześnie postarzały i siwy, gruzlik plujący ukradkiem w chusteczkę. Już nie podbiegał w bezsilnej rozpacz do drzwi czy małego okratowanego okienka. Stał się małomówny i pokorny. Wzorowy więzień. Chwalili go oddziałowi i naczelnicy we wszystkich miejscach jego pobytu.

Tylko oczy jarzyły mu się nieustającym, obłędnym ogniem, a w jego głowie ciążyły kołowrót nie rozwiązanych spraw, ciemny i chaotyczny obraz świata, wcale po latach nie dający się uporządkować, jeszcze bardziej po latach nie do uporządkowania.

W tym czasie więziennej, powolnej śmierci niemało przeróżnych ludzi przewinęło się przez jego celę. Bywali tutaj długim postojem osadzeni i ci, którzy podczas wojny walczyli w imię tej racji, która teraz nastała. Patrzył na nich osłupiały.

– Dlaczego i wy też? – pytał.

Nie wiedzieli.

Bywali również i ci, którzy tamtych oskarżyli i skazali na lata. Też nic nie rozumieli. Przerażeni, załamani. Obchodził ich jak zadżumionych.

Widział też takich, którzy z nim po wojnie walczyli, nową władzę budując i umacniając z fanatycznym oddaniem.

Zrywał się z wyrka, długie godziny przemierzał celę, stukocząc drewniakami.

Właściwie jedni tylko towarzysze więziennej niedoli zrozumieli i w jednoznaczny sposób określili – to byli Niemcy.

Znosili swój los z rezygnacją i spokojem pokonanych oprawców, zdyscyplinowani i schludni. Traktowali go z rycerskim szacunkiem. Gimnastykę uprawiali, jemu również radząc

życzliwie dbanie o sprawność ciała. Tylko spokoju ich sumienia nie mógł zrozumieć Mizerykordia.

A skąpa i fragmentaryczna wiedza o wolności, która docierała tutaj, jeszcze bardziej komplikowała i mąciła jego obraz świata.

Nieraz z powodu tych pytań bez odpowiedzi chwycił się oburącz za głowę, jakby próbując utrzymać rozpadającą się skorupę czaszki, wpatrzony w ten skrawek nieba w okienku, który był wolnością.

Bał się właściwie tamtego świata na zewnątrz murów. Marzył o nim równocześnie.

I skarżył się cichym, nieśmiałym głosem:

– Co ja właściwie miałem w życiu, tylko sama wojna, mogę z zamkniętymi oczyma złożyć i rozłożyć karabin, pistolet, co chcesz, jeszcze w podchorążówce tego się uczyłem, a potem tyle lat strzelałem, bo chociaż skończyła się wojna, przyszli oficerowie i powiedzieli, to wcale nie koniec, dalej bić się trzeba, miałem w piwnicy pukawkę, naoliwioną, w szmaty owiniętą, wyjąłem, płakała moja matka, synku, nic z tego dobrego nie wyjdzie, a później już tylko las, ilu kolegów przez te lata zginęło, z dzieciństwa, z gimnazjum, z podchorążówki, nie było miesiąca, żeby któryś nie odpadł, ale do tego można się przyzwyczaić, zresztą czasu nie było na rozmyślanie, a dziewczyny żadnej nie pamiętam, epizody zdarzały się tylko, ale to wszystko było takie po omacku, po ciemku, twarzy żadnej nie pamiętam, łączniczka Wieśka, tak, ale ona z każdym, jak wypalić papierosa to dla niej, jedną tylko pamiętam, jeszcze przed wojną w podchorążówce, niedziela, dostaliśmy przepustki, poszliśmy na rynek do cukierni, tam córka właścicielki tak na mnie popatrzyła, uśmiechnęła się, ja też do niej, to była bardzo ładna dziewczyna, ale ani słowa z nią nie zamieniłem, patrzyłem, kolega się ze mnie śmiał, teraz, po latach, coraz lepiej jej twarz pamiętam...

Ostatni współtowarzysz Mizerykordii, Franek Kucharz, włamywacz i bandyta, przedwojenny jeszcze kryminalny junak, słuchał tych wspomnień-skarg z kpiącym, pobłażliwym uśmiechem. Tylko sprawą z bronią zainteresował się nieco.

– Nie mów! – powiedział. – Spluwę potrafisz z zamkniętymi oczami rozłożyć i złożyć, to ci numer... – Potem ziewnął: – Lepiej coś zasuń, jak z Niemcami się naparzałeś...

Ale Mizerykordia dalej ciągnął dziwaczną opowieść o jakimś znów innym spojrzeniu dziewczyny gdzieś w leśniczówce, przyniosła dzban mleka...

Więc Franek Kucharz nie wytrzymał smutku i nudy tych spraw ulotnych, migotliwych i nierealnych.

Poprawił się na wyrku i głosem donośnym zaczął opowiadać o napadach i włamaniach, hulankach dzikich i rozpasanych, dziewczynach łatwych i chętnych. Wdzięki tych dziewczyn z lubością opisywał, śmiejąc się chrapliwie i łakomie.

Słuchał Mizerykordia. Przytakiwał zmieszany i przytłoczony tą witalną siłą Franka Kuchacza, kryminalnego recydywisty.

– To było życie... No nie?! – chełpił się Kucharz.

Godził się posłusznie Mizerykordia, już nieobecny, znowu pogrążony w swoim posepnym, nie uporządkowanym milczeniu.

W wieczór wigilijny natomiast, kiedy podzieliwszy się zdobytym przemyślnie przez Kuchacza opłatkiem położyli się na pryczach, nastrój marzeń ich ogarnął.

Franek Kucharz tak marzył: – Może przedterminowo wyskoczę, amnestia jakaś, warunkowe, wiesz... A jak wyskoczę, to zrobię skok najmniej na pół miliona, mniej się nie opłaca, taki skok pewny, przygotowany prawidłowo, a wtedy... – Zamilkł nagle, wzburzony pragnieniem wolności i wielkiego skoku.

Potem Mizerykordia tak marzył: – Może i ja wyjdę kiedyś. Może... Gdzieś do lasu... Do roboty... Na drwala może... Nie, nie dam rady... To może na gajowego... Ptaki, zielono, ładnie... Daleko od ludzi... – Tę nieobecność ludzi w swoim wolnościowym marzeniu bardzo podkreślał i długo jeszcze o lesie mówił. Franek Kucharz już spał mocnym, zdrowym snem.

A gdy pewnego ranka szykowano transport i Mizerykordia również miał zostać przewieziony do innego więzienia, zdarzyła mu się osobliwa przygoda, znów dawny czas wolności przywołująca.

Weszli już na pawilon konwojenci. Strażnik otworzył celę. Wychodzi Mizerykordia. Franek Kucharz poklepuje go na odchodne serdecznie. Konwojent wyciąga z raportówki kajdanki. Mizerykordia wyciąga posłusznie ręce.

Konwojent otwiera kajdanki, coś się zacięło, szarpie. Unosi głowę, spogląda na Mizerykordię nieuważnym wzrokiem. Nieruchomieje. Przybliża swą twarz do jego twarzy. Mizerykordia odpowiedział na to intensywne spojrzenie martwym, obojętnym wzrokiem więźnia.

Konwojent chwyta jego dłoń, ale nie kuje jej w kajdanki, tylko potrząsa nią serdecznie. Zaczyna mówić gwałtownie.

Pochodzili z tych samych stron. Konwojent również był w partyzantce. Tylko w innym oddziale. Ale raz czy dwa brał udział we wspólnej akcji z Mizerykordią. I jak to zapamiętał...

– Wszystko grało; pamięta pan, kapitanie, dojechali do kapliczki, a my tra-ta-ta, jak zaczęliśmy erkaemami kosić, jeden samochód do rowu, oni za samochód, to my granatem brzdęk!... Już się pali... Ale ich wytlukiliśmy... Jak wszy! Oj, kapitanie – już tylko powtarzał, ożywiony tym, jakby młodszy, inny.

Mizerykordia kiwał z lekka głową słuchając konwojenta, oczy jednak pozostały obojętne, nie zapaliły się wcale.

A ręce miał posłusznie do konwojenta wyciągnięte, gotowe. Idealnie regulaminowy, wzorowy więzień. Konwojent, ciągle mówiąc, spojrzął na jego ręce, przeniósł wzrok na kajdanki, które trzymał w lewej dłoni, urwał nagle to wspomnienie odległe i nie patrząc już w twarz Mizerykordii, zakuł mu przeguby w te lśniące sinawo amerykański.

## TECZKA

*„Być albo nie być – oto jest pytanie”  
Szekspir*

Pojechałem do Wrocławia na delegację odnośnie rozruchu dwóch silników, a Babiak Jan jako płatnik miał tam wyrównać ludziom nadgodziny z ubiegłego roku. Więc pojechaliliśmy razem. I jak to bywa w takiej podróży, już w restauracyjnym wypiliśmy po kielichu i kiedy tam zajechaliśmy w południe, to co tu ukrywać, dalej była chęć na gorzałkę.

Ale uprzednio poszliśmy do hotelu i trochę obmyśliśmy się po podróży. W czasie pobytu wyłonił się jeszcze problem, co zrobić z teczką. W teczce Babiak Jan miał 35 724 zł do wypłaty. Radziłem mu, żeby schował pieniądze w numerze pod dywanikiem przy łóżku i tylko wziął ze sobą pustą teczkę dla niepoznaki. Wtedy ewentualnie taki jeden z drugim, co za łatwym zarobkiem zgląda, widzi, że weszli z teczką (a Babiak miał teczkę znaczną, ze świńskiej skóry) i wychodzą z teczką. Wtedy taki jeden z drugim wnioskuje, że co najważniejsze mają przy sobie i nie ma co ich pokoju rewidować. A włóczą się tacy różni po hotelach. Dla przykładu: w ubiegłym roku oskubali naszego zaopatrzeniowca w Będzinie. Chociaż plotkowali u nas w biurze, że sam raczej te pieniądze przywłaszczył i takie alibi sobie wymyślił. Ale ja w to nie wierzę, to szczerzy chłop i w rozmowie ze mną bez świadków nie miał żadnego powodu kręcić.

Babiak jednak uparł się i postanowił teczkę z wypłatą zabrać ze sobą. Jego sprawa, toteż przy swoim nie obstawałem. Poszliśmy do restauracji „Ratuszowa”. Tam popiliśmy i już zrobił się wieczór. I jak to po wódce bywa, dostaliśmy ruchliwości i zapragnęliśmy zmiany lokalu. W związku z tym przenieśliśmy się do restauracji „Lotos”, z dansingiem. Tam już przekroczyliśmy limit swojej gotówki i do rachunku Babiak Jan musiał dopłacić z tych pieniędzy z teczki. Niewiele zabrakło, 250 zł, zresztą tu, we Wrocławiu, miałem znajomych i zobowiązałem się pożyczyć od nich dla wyrównania listy plac. I jeszcze wszystko było w porządku. Tylko na koniec zamówiliśmy ćwiartkę i Babiaka ta wódka zupełnie już rozebrała. Zaczął swoją teczką manewrować, żeby wiadomym dziewczynom, których było tu niemało, zaimponować. Ciągłe te pieniądze z teczki wyjmował, palce ślinił i liczył. Tak się przechwalał po prostu.

– Zamknij tę teczkę – mówiłem. – Zamknij i nie wygłupiaj się, Jasiu...

Ale czy pijanego można przekonać? Jeszcze bardziej tą teczką manewrował.

I miałem rację, gdyż jak już wychodziliśmy, przyczepiło się do nas trzech takich. Jeden w kolejarским mundurze, dwaj młodzi. Niby serdeczni, i jak to po wódce bywa, od słowa do słowa zapoznaliśmy się. Wyszliśmy razem na ulicę. Oni zaczęli nas na następną wódkę namawiać, a też jakby popatrzyli na siebie porozumiewawczo. Stanowczo odmówiłem w imieniu swoim i Babiaka, wymawiając się rannymi obowiązkami służbowymi. Wtedy oni znów po sobie spojrzeli i zaczęli ścisnąć i całować Babiaka. On też odwzajemnił im się pijackimi pocałunkami i wyraził chęć na wódkę.

Za chwilę, sam nie wiem, jak to się stało, znaleźliśmy się w ciemnej bramie. Widzę więc, że nie ma żartów, i znacząco szturcham Babiaka. Zrozumiał moje ostrzeżenie, ponieważ zaczął dążyć do wydostania się z bramy. Ale oni dalej go obściskiwali i całowali, wpychając

jeszcze głębiej w bramę. Nie widząc innego wyjścia z tej poważnej sytuacji, niby zatoczyłem się na niego i delikatnie zabrałem mu teczkę, chowając ją pod płaszcz. Ci trzej nic nie zauważyli, bo tym zatoczeniem się szczęśliwie zamaskowałem przejście teczki. A Babiak Jan, jak już był bez teczki, to od razu pewniej się poczuł i tak do nich powiada:

– Flaszkę możecie kupić, tylko nie za moje pieniądze.

Oni: – Co, nie dołożysz się?

I wywiązuje się awantura. Przepychają się coraz bardziej. W tym bałaganie, nie zauważony przez owych trzech osobników, wyskoczyłem z bramy. Pobiegłem bardzo szybko i przy rynku wskoczyłem w przejeżdżający tramwaj.

Mało co, a bym wpadł pod koła, ale szczęśliwie uplasowałem się na stopniu. Tramwaj zatłoczony, ponieważ robotnicy z kombinatu wracali z drugiej zmiany. Stałem na stopniu i silnie trzymałem teczkę. Następnie na stopień wskoczyli dwaj jacyś osobnicy młodego wieku, mocno podejrzeni.

I zaraz oni do mnie: – Oj, bo pan wypadnie, może pomóc?

Ja: – Dziękuję, dam sobie radę.

Ale oni nie zważając na moją odmowę zaczęli mi pomagać, żebym na pomost się dostał. A przy tym coraz silniej naciskają, jakby tej teczki szukali. I również niby beret mi poprawiają, a całkiem z głowy ściągnęli.

Akurat dojeżdżaliśmy do przystanku, zauważyłem tam milicjanta i z tego skorzystałem. Całe swoje siły zmobilizowałem i wyskoczyłem z tramwaju. Podbiegłem do milicjanta, który był w stopniu plutonowego.

– Panie władzo – melduję – mam ze sobą teczkę z większą sumą państwowych pieniędzy i dwóch takich podejrzanych przyklepiło się do mnie i beret mi zabrali...

– Jaki beret? – milicjant nawet się nie ruszył i tylko na mnie podejrzliwie patrzy.

– Z głowy – mówię. – Ale nie o to chodzi – i na dowód prawdy teczkę odmykam i pieniądze pokazuję. Ale to był jakiś flegmatyk i nim coś pomyślał, tramwaj już odjechał. Z tego powodu z odebrania beretu zrezygnowałem i proszę go usilnie, żeby odprowadził mnie do hotelu. A on mnie za rękaw cap!

– Gdzie? – pyta.

– Do hotelu – powtarzam.

– Do hotelu... – nieprzyjemnie się uśmiechnął i zaprowadził mnie do komisariatu, jeszcze przygrajając, że jak spróbuję uciekać, to z broni zrobi użytek, czym mnie do reszty zdenerwował i powiedziałem mu kilka przykrych słów. W komisariacie wprowadził mnie do dyżurki i tam informuje sierżanta, który za stołem siedział: – Mam tu takiego, co chciał przywłaszczyć państwowe pieniądze.

Bardzo wzburzyłem się tą prowokacją i przedstawiam im całą sprawę po kolei, zaczynając od restauracji i dokładnie to zajście w bramie opisując.

Stwierdziłem jednak brak zainteresowania dla tej wypowiedzi, tak jakby swoje już wiedzieli, następnie polecili mi zdjąć pasek i sznurówki.

– Po co? – pytam.

– Pójdziecie do przechowalni – śmieje się sierżant.

– A my... – dodał ten flegmatyk, co mnie przyprowadził – poszukamy płatnika, pewno go mocno stuknęliście i w bramie gdzieś leży...

Zła krew ponownie mnie zalała, ale przekonawszy się, że nie dogadam się z nimi, oddałem teczkę do depozytu, uprzednio dokładnie w ich obecności przeliczyłem pieniądze i wpisałem tę sumę na kwit, potem dopiero zdjąłem pasek i sznurówki. Jeszcze mnie zrewidowali, motywując to podejrzeniem, czy nie posiadam przy sobie ostrych przedmiotów, i zabrali zapalki. I zaprowadzili na dół. Tam, w areszcie, przebywali już trzej osobnicy. Jeden pijany spał i całą narę sobą zajmował, dwaj pozostali przycupnęli po kątach. Machnąłem ręką na tę moją nieprzyjemną sytuację i jak to po wódce bywa, spać mi się zachciało. Ale przez tego pijaka

wcale nie było dla mnie miejsca na deskach. W dodatku ci dwaj pozostali żartować ze mnie zaczęli.

Jeden mówi: – Dopiero przyszedł i spać wygodnie już chce.

Drugi mówi: – Ja na sankcji od prokuratora, to co innego, należy mi się spanie...

A ja im na to: – Ale za niewinność siedzę.

Oni w śmiech.

Wtedy właśnie ten pijany zerwał się nagle, popatrzył na nas i jak nie rzygnie! Ledwo odskoczyliśmy. Zarzygał całą narę. Po tym incydencie ponownie zasnął. Właściwie już dla nikogo nie było miejsca do spania. Całość dokładnie zanieczyścił. Ponownie zdenerwowałem się tą swoją nieprzyjemną sytuacją pod każdym względem i nic nie mówiąc chwyciłem pijaka za nogi i zacząłem nim przesuwając po deskach. W ten sposób wyczyściłem to, co nabrudził, i usunąłem go na podłogę. Mogliśmy przyzwoicie się przespać.

Rano ten pijak pierwszy się obudził i okazał się bardzo grzecznym facetem, z zawodu elektryk, i przeprosił nas za kłopoty, które sprawił swoją osobą. Właśnie jego pierwszego wzięli na górę. Nie było go chyba ze dwie godziny. A kiedy wrócił, to aż przestraszyliśmy się, taki był zmieniony.

– Jezusie, co ja zrobiłem – wszedł i tak od progu zaczął mówić, a łzy miał w oczach... Po dłuższej chwili opowiedział nam o wszystkim, a to, co powiedział, było straszną tragedią.

Od dawna już miał na pieńku ze szwagrem, a z powodu ciasnoty mieszkaniowej gnieździli się we dwie rodziny w jednym pomieszczeniu. Wczoraj po wódce posądził szwagra o kradzież wózka dziecięcego i od słowa do słowa nożem go przebił. Na śmierć go przebił. I nic nie pamiętał, taki był alkoholem zamroczony. Dopiero dziś na przesłuchaniu dowiedział się o tym zajściu.

Przejęliśmy się jego sprawą. Ten starszy, co miał sankcję od prokuratora, poradził mi, żeby trzymał się tego, że szwagier od dawna przywłaszczał sobie jego rzeczy i prześladował go fizycznie, dlatego po wódce wybuch u niego nastąpił z poczucia swojej krzywdy. W ten sposób będą okoliczności łagodzące. Tamten przyznał mu rację i postanowił trzymać się tej linii obrony w dalszym śledztwie. Co więcej można człowiekowi poradzić w takim nieszczęściu? W tej przechowalni zrobiła się przygnębiająca atmosfera. Po przepiciu bolała mnie głowa, i na dodatek to zabójstwo jeszcze. A gdy z kolei ja przedstawiłem swoją sprawę, to ten starszy facet, co miał sankcję, wcale uwierzyć mi nie chciał, że nie przywłaszczyłem tej teczki.

– Nic cię nie uratuje. Masz wyrok – tak mi zaczął krakać. Zdenerwowałem się i zacząłem walić w drzwi. Po dłuższym czasie przyszedł dyżurny sierżant.

Drzwi uchylił i naigrywa się ze mnie: – Patrzcie, jaki nerwowy zrobił się ten obywatel. Pewnie przyznać się chcecie...

Dopiero na moją stanowczą uwagę, że wobec takiego traktowania napiszę zażalenie do Komendy Głównej, zabrał mnie na górę.

A na górze zaczął się abarotno krzyżowy ogień pytań. Sierżant i oficer, podporucznik, zabraли się we dwójkę do mnie.

Oni: – Przywłaszczyliście państwowe pieniądze.

Ja: – Wprost przeciwnie, uratowałem te pieniądze.

Oni: – A gdzie płatnik?

Ja: – Skąd mogę wiedzieć, pewnie zabradziażył gdzieś.

Oni: –No właśnie. Nie ma płatnika, a jego pieniądze wy macie. Sami się przyznajecie.

Ja: – Oświadczam z wnioskiem o zapisanie do protokołu, do niczego się nie przyznaję.

Oni: – No, no, nie udawajcie głupiego.

Wobec powyższego zaprzestałem odpowiedzi i tylko zażądałem konfrontacji z Babiakiem Janem, płatnikiem naszego przedsiębiorstwa.

Milicjanci popatrzyli na mnie tak wrednie, aż się zaniepokoiłem. I zapanowało dłuższe milczenie.

– Skonfrontujemy – powiedział wreszcie porucznik. – Tylko on zaprzecza, jakoby dał wam teczkę, sami ją drapnęliście.

Nogi się pode mną ugięły. Płatnik Babiak Jan był tak pijany, że mógł nic nie pamiętać.

Wtedy drzwi się otworzyły raptownie i wprowadzili Babiaka. Też był okropnie zmarnowany, brudny i nie ogolony, a jedno oko podsiniaczone. I to była najgorsza chwila w tym całym moim niepowodzeniu. Jeszcze ci milicjanci tak dziwnie uśmiechali się do siebie. A Babiak Jan też tak na mnie popatrzył, jakby pytał albo czekał na odpowiedź, więc wzrok swój z całej siły natężyłem i lekko kiwnąłem głową.

Wtedy zaraz rzucił mi się na szyję i całując po policzkach wykrzykiwał:

– Wybawco, wybawco ty mój!

A ja czując, że sprawa nabrała dobrego obrotu, pocałunki mu odwzajemniałem.

Potem poświadczył moje zeznanie i zwolnili nas z komisariatu. Jeszcze tylko szarpali go, że 250 zł brakuje w teczce według listy płac, i na mnie spojrzeli, sugerując tym sposobem podejrzenie w moją stronę. Ale Babiak Jan zdecydowanie oświadczył, że sam pieniędzmi rozporządził, więc do niczego nie mogli się przyczepić i wyszliśmy na wolność. Tak się poczułem, jakby wielki ciężar spadł mi z serca.

Ale o mały włos i moje losy potoczyłyby się inaczej. Kiedy już po fakcie dogadałem się z Babiakiem, to okazało się, że nic nie pamiętał, co stało się z teczką. Też całą noc spędził w komisariacie, tylko w innej dzielnicy, ponieważ z tamtymi w bramie miał bójkę. Całą noc oka nie zmrużył i opierając się na intuicji doszedł do słusznego wniosku, że ja tę teczkę uratowałem. I wzięty w krzyżowy ogień pytań tak właśnie zeznawał, choć wcale nie był tego pewien.

Tak zakończyła się powyższa sprawa.

Babiak Jan, nasz płatnik, nawet nie najgorzej na tym wyszedł pod względem straty finansowej. To, co przepił z listy płac, zwróciło mu się przy wypłacie za nadgodziny, ponieważ potraçał po dziesięć złotych od łebka, a nikt żalu nie miał, bo to takie dawne pieniądze, ludzie zdążyli się od nich odzwyczaić i teraz jak z nieba spadły. Zwróciło mu się nie tylko 250 zł, ale i część tego, co wydał na wódkę ze swojej prywatnej kieszeni, co zresztą przepiliśmy abarotno we dwóch i Babiak sam stawał, nie pozwalając mi ani grosza wydać.

Należy jeszcze nadmienić o tym, jak niedawno spotkałem tego starszego faceta z sankcją od prokuratora, z którym spędziłem noc w komisariacie. Też szczęśliwie wyszedł ze swego niepowodzenia i opowiedziałem mu o tej teczce, ponieważ wtedy nie wierzył w moją niewinność.

Na co on oświadczył: – Miałeś pan czysty, pewny zarobek. Ja tam bym nie zaczął żadnego milicjanta, tylko sobie bezpośrednio do hotelu, po drodze teczkę do Odry buch, pieniądze chowam mądrze i do łóžeczka, rączki pod głowę i w kimę, rano przychodzi kolega i pyta, nie wzięłaś czasem teczki, a pan, jaka teczka? I już po wszystkim, żadnych dowodów, nic...

– Ale Babiak to przecież mój kolega – mówię. – Jak tak można ?

– E tam, kolega... – ten starszy facet ręką machnął. – Pan dla niego kolega tylko wtedy, jak on potrzebuje, a jak nie, to w łyżce wody by pana utopił.

Może i tak...

## GRAD

Dom Kultury nazwali Świątynią Sztuki. I nawet druki z takim napisem sporządzili. To był pomysł Jarosława Śnitki. Śnitko żył nadal w świecie nie spełnionych artystycznych rojeń. Poezja, malarstwo, ekslibrisy... Wszystkim po trosze się zajmował i wiecznie żywą miał w pamięci atmosferę rodzinnego domu we Lwowie, gdzie na ścianach wisiały ozdobne w secesyjne winiety dyplomy i fotografie matki, znanej operowej śpiewaczki, a ojciec przyjaźnił się z poetycką bohema. Stąd pełne zgiełku, cytatów i alkoholu rozmowy w rodzinnym domu ciągle dźwięczały mu w uszach. I do tego czasu zachował klasyczny wygląd cygana-artysty, długie włosy, szpakowate i gęste, opadały na kołnierz, aksamitny fontaż, stroje niedbałe i dziwaczne. Gdzieś na dnie świadomości wiedział Jarosław Śnitko zapewne, że nic z jego artystycznych aspiracji już nie wyniknie. Za późno przecież i nigdy właściwie nie miał możliwości zająć się swoją ukochaną sztuką, przez duże S, wyłącznie i do końca. Wcześniej zdany na samodzielność, dorabiający korepetycjami student polonistyki, a później najbardziej niszcząco przeorała mu biografię wojna, konspiracja, obozowe perypetie, tamte właśnie doświadczenia wyrobiły w nim trwałą niewiarę w skuteczność ludzkich pragnień i upodobanie do kieliszka, które głużyło strach i pustkę. Więc po wojnie jego pogląd na życie cechował łagodny sceptycyzm i absolutny brak chęci do angażowania się w cokolwiek. Z tego powodu awanse w pracy kulturalno-oświatowej (a w tym był naprawdę rozmiłowany) omijały go starannie. Bo gdy panował schematyzm, buntowała się artystyczna przecież natura Śnitki przeciw zalecanym do recytacji na zajęciach zespołów artystycznych wierszom pozbawionym zupełnie poetyckiej urody, werbalnym i ordynarnie agitatorskim. Toteż nieraz z tych utworów szydził w sposób delikatny i przewrotny, budząc w swoich podopiecznych podobne wrażenia. Wydając natomiast książki czytelnikom powiatowej biblioteki, omijał starannie najnowsze pozycje, zalecając przede wszystkim dziewiętnastowieczną literaturę, ze szczególnym naciskiem na umiłowanych przez siebie Francuzów. Po latach, kiedy zrewidowano oficjalny pogląd na sztukę, Śnitko wykazał brak zaufania i z poczuciem dystansu oraz ironii przysłuchiwał się krzykaczom-reformatorom. Nie bardzo im wierzył, bowiem jego poczucie estetyki i wierności swoim ideałom nie pozwalało mu uwierzyć ludziom, którzy przed chwilą jeszcze wykrzykiwali zapalczywie coś wręcz przeciwnego. Stał więc Jarosław Śnitko na uboczu, chudy, z brzydkimi wyrzutami na twarzy i łupieżem osypującym się gęsto na kołnierz marynarki. Dopiero wtedy, gdy kierownikiem Powiatowego Domu Kultury został mianowany Franek Grad, eks-oficer i wczesny rencista, Śnitko odżył i ożywił się znacznie. Odżył w sensie poczucia swojej wartości, a ożywienie zaczęło cechować jego artystyczno-pedagogiczną działalność. Wiązało się to właśnie z osobą rubasznego Franka Grada, którego nawet, paradoksalnie z pozoru, Jarosław Śnitko polubił serdecznie. Powód sympatii tkwił w małym rozoznaniu i pewnej nieśmiałości Franka Grada w sprawach kulturalnych. Właściwie Jarosław Śnitko stał się rzeczywistym kierownikiem placówki, wykazując niemało inwencji i zdolności organizacyjnych. Franek Grad mało się tym interesował, przywiązując natomiast zasadnicze znaczenie do urządzania swego gabinetu, wygłaszania dziarskich i ogólnikowych przemówień na odprawach pracowników Domu Kultury oraz starannie przestrzegając zagajania wszelkich imprez w stroju paradnym, ze wstążeczkami odznaczeń w klapie. Posiadał jeszcze kilka po-



mniejszych słabości, które świetnie poznał Jarosław Śnitko i zonglując nimi umiejętnie, karmił próżność kierownika.

Chociażby to gęste tytułowanie: – Panie dyrektorze... – z odpowiednią intonacją, niezmiennie sprawiało Frankowi błogą przyjemność. Następnie ten chytry zwyczaj: – ...taki jeszcze mam projekt do pańskiej aprobaty... – chodzić mogło o plan pracy, tematy odczytów, zajęcia w kółkach zamiłowań, konkurs czytelniczy itp. Franek Grad rozsiadł się wtedy wygodniej za biurkiem (gabinet urządził sobie imponujący, palma, bordo dywan, kilka telefonów i piękne oszklone szafy z rzędami grubych tomów) i powiedział: – Dobra, zastanowię się nad tym... – Śnitko pochylony w ukłonie wychodził i od razu wiedział, że jego projekt został przyjęty, a sprawa zastanawiania się stanowi konwencję w ich wzajemnych stosunkach.

I wreszcie to wysłuchiwanie z udanym podziwem wojennych opowieści zwierchnika. Sam Jarosław Śnitko niechętnie czas wojny wspominał, w tym upatrując nade wszystko tę złą siłę, która zniszczyła jego marzenia i górnolotne zamiary.

Ponadto dobrze i bezpiecznie mu było przy szerokich znajomościach Franka Grada, który był za pan brat z różnymi osobami z powiatu, a nawet województwa, na polowaniach czy popijawach często z nimi się spotykając. Wracał zwykle z tych spotkań ożywiony i radosny, a w chwilach zwierzeń tak mówił: – Chwilowo na tym posterunku stoję, rozumiesz... Wyżej niedługo podskoczę... – i dorzucał poufnym szeptem: – Bo tak ciągle nie będzie, rozumiesz... – walił go mocno w plecy, następnie zacierał z suchym szelestem dłońie.

Zwierzeń szefa słuchał Jarosław Śnitko nieuważnie i z pewnym znudzeniem, tylko plecy bolały go nieco od krzepkich poklepywań podpitego Franka.

Ten stan rzeczy trwał dosyć długo i być może ta błoga harmonia uspiła rozeznanie i bystrość Jarosława Śnitki.

Przyjechał właśnie we wtorek, nazywany w ich nomenklaturze (pomysł Śnitki oczywiście) Wieczorem Dysput Helleńskich, znany historyk sztuki z odczytem o impresjonistach. Impreza wypadła nad wyraz dobrze, należycie zabezpieczona frekwencja i zupełnie sensowna dyskusja. Po wieczorze Jarosław Śnitko, pełen uwagi i uznania dla dorobku i pozycji prelegenta, oraz Franek Grad, w skrzypiących butach, brązowym garniturze, ze wstążeczkami odznaczeń w klapie, jako gościnni gospodarze podjęli gościa wódką w restauracji. Popijało im się miło. Nawet Franek Grad poczuł się dosyć swobodnie w towarzystwie „tego inteligenciaka, ale równego chłopca”, jak go sobie ocenił. Śnitko natomiast dwoił się i troił w radosnym podnieceniu. Po prostu przypomniawszy mu się jego lwowska młodość, pierwsze porywy i szumne marzenia o przyszłości. Równocześnie wiedzę z zakresu historii sztuki miał rozległą i doskonałą pamięć. Z satysfakcją dostrzegł parokrotnie uznanie w oczach historyka, kiedy tak ze swadą rozprawiał o ciekawostkach z biografii Degasa czy korespondencji Zola – Cézanne. Franek Grad, podpisawszy sobie więcej, też chciał wziąć udział w rozmowie i na oko określiwszy wiek prelegenta jako odpowiedni do pamięci o wojnie, spróbował zapytać go o przeżycia z tamtego czasu. Już sam na końcu języka miał barwne epizody ze swego życia. Ale z boku Śnitko pyta historyka o jakiegoś malarza z kręgu kubistów. I już obaj pogrążeni w ożywionej rozmowie. Przygasł Franek Grad i nachmurzył się nieco. Potem słyszał fragmentami, jak Śnitko recytuje wiersze. Głos miał Jarosław Śnitko czysty i dźwięczny. Sposepniał Franek jeszcze bardziej i tak niby przypadkiem poruszył się gwałtownie i szturchnął Śnitkę w bok. Ale ten nic nie poczuł, pogrążony w recytacji, aż żyły węzłały mu na szyi z wysiłku. Następnie prelegent recytował wiersze. Jeszcze później rozmawiali o ulubionych swoich autorach współczesnych, nazwiska, tytuły, zapamiętane wrażenia.

Wtedy wypił szklaneczkę wódki Franek Grad, poruszył się na krześle i powiedział nienaturalnie głośno: – Tyle tych książek rozmaitych, tytuły tych literatów, żeby tak wsio przeczytać, to człowiek czasu by nie miał na tę robotę kulturalną w naszej powiatówce... – Prelegent przytaknął zdawkowo. W tym samym momencie wydało się Frankowi, że wymienił jakieś porozumiewawcze spojrzenie z Jarosławem Śnitką. Poczzerwiał silnie i niby dobrodusznie,

ale przymykając oczy, bo w nich pojawiły się złe błyski, pogroził pięścią Śnitce. – Ten to czyta. Dużo czyta. Za mało do roboty go pędzę...

Śnitko nieuważnie tego wysłuchał i ręką poruszył niecierpliwie, a swojego wątku nie przerwał. Gdy skończył, głos prelegenta :

– Imponuje mi pan rozległością swojej wiedzy, kolego...

Franek zapragnął napić się wódki. Butelka jednak pusta już. Rozejrzał się po stole. Kieliszki też opróżnione. Akurat przechodziła kelnerka. Ale nic u niej nie zamówił. Wyprostował się na krześle i walnął pięścią w stół. Tamci przerwali rozmowę.

Wtedy Franek Grad powiedział dobitnie: – My tu gadu, gadu, a na stole puchy... No, Śnitko, sypnij się po wódkę... – I popatrzył na niego po swojemu, dobrodusznie, ale szczęki mocno zacisnął.

Śnitko zwiotczał jakoś i blask w jego oczach zgasł naraz. Zerknął wstydliwie na prelegenta.

A Franek Grad dodał po chwili: – No, przedziej... – I niby żartem uszczypnął go boleśnie w policzek.

Śnitko wstał posłusznie i pobiegł po wódkę do bufetu. Prelegent spojrział na kierownika po raz pierwszy z zainteresowaniem.

Franek Grad rozsiadł się wygodniej, nogę na nogę założył i uśmiechnął się szeroko do prelegenta, błyskając białym, zdrowym uzębieniem. Przychylił się do niego i rzekł: – Może i wie on dużo, no, tego, w sztuce ma rozeznanie, książki, malowidła i temu podobne, naczytał się, chudzina... Ale organizator, znaczy się kierownik, to ja tutaj jestem. Trochę mu popuszczam, ale zawsze mogę... – pstryknął palcami i jeszcze szerzej się uśmiechnął.

I gdy wrócił Jarosław Śnitko z wódką, inna to już była rozmowa. Perorował Franek Grad i różne swoje przygody opowiadał, po wyczerpaniu tego tematu przeszedł do kawałów o kobietach i księżach, a co pewien czas, nie patrząc na Śnitkę, rzucał krótkie polecenie: – Polewaj!

Jarosław Śnitko napełniał kieliszki. Był teraz osowiały, ze zwieszoną głową, tylko czasem z trwożliwym zastanowieniem przypatrywał się czerwonemu na twarzy, z falistą czupryną, szerokiemu w plecach Frankowi Gradowi – i nawet nie uśmiechnął się na widok białych kalesonów z dyndającymi trokami, humorystycznie wylażących spod spodni jego kierownika.

Później Franek Grad upił się i na rękę chciał się brać koniecznie z prelegentem.

– Zdejmij okulary i wystąp... – wykrzykiwał, za nic już mając powagę i dostojeństwo gościa.

Tamten umknął jednak ze swoją prawicą. Wtedy Franek Grad schwycił rękę Jarosława Śnitki, bez wysiłku przygwoździł ją do stołu i powiedział: – Widzisz..

## GDZIE JEST DROGA NA WALNE? 1974

### GDZIE JEST DROGA NA WALNE?

Siedzieli w chałupie. Duszno, rój much, dzieciaki spały, najmłodszemu z pięć wlało w otwarte usta i tam jakby mościło się do snu. Godzina była przedpołudniowa, wrócili akurat z pola. Gospodarz młody, ale mocno brzuchaty, od piwa może, dużo tego trąbi. Przed godziną po wsi poszła wieść, że przywieźli do Lasu (PTTK – tak nazywali) transport „Łomżyńskiego”. Skoczyli tam motorami, w mig rozebrali i tak sobie siedzieli, flaszka po flaszcze opróżniając. Było ich czterech, cztery skrzynki. Już trzy puste, jedna na drugiej ustawione. Pęcherze mieli wytrzymałe, od początku żaden nie wyszedł za swoją potrzebą. Tylko w dużym brzuchu Gospodarza bulgotało czasem, bekiem głębokim szło z dołu do ust. Dosiadł się do nich Magazynier z Miasta. Pił dopiero drugą butelkę, powolutku sączył. Oszczędzał się, przyjechał tu raczej odsapnąć, powietrza i wody zażyć. Zresztą z pustymi rękami się nie zjawił, przywiózł dwie flachy ruskiego koniaku i na prawach mocnego gościa tu był. Siedział więc rozparty, upałem i odpoczynkiem rozleniwiony.

Mucha jak smyczkiem zarzępoliła na szybie. Gospodarz rozgniół ją palcem. Staroświecka waga, czyli bezmian, leżała na przypiecku. Patrzył Magazynier z Miasta i głową kręcił. Jak ważyć co na takiej. Na funty tam była miara. Tak sobie siedzieli. Nowin nie było żadnych. Tyle że stary soltys na kosę stąpnął, a Cześka Zabłoczcza milicjant z tartaku motorem podrzucił, postawił mu ćwiartkę za grzeczność Zabłoczcza, i jeszcze widzieli ludzie, jak ta babka, co mieszka pod lasem, dolary liczyła, podeszli pod okno i widzieli, ale kto ich tam wie, może zwidziało się im.

Gospodyni przycupnęła przy dzieciakach, w trójkę na łóżku stłoczonych, podrzemywała. Gospodarz stał przy oknie i patrzył na swój traktor. Na zielono pomalowany, marki „Ursus”, z czerwonym siodełkiem.

- Hamulce nie trzymają... – powiedział – dwa razy już naprawiali i nic...
- Kiepsko naprawiają... – odezwał się Magazynier z Miasta – tacy teraz fachowcy...
- Musi tak... – przyznał Gospodarz.

Sąsiad przez Płot podrapał się po brodzie. Podpił już i kiwał się lekko. Popatrzył na świecąca czerwoną twarz Magazyniera. Znowu podrapał się po brodzie.

- Też zarost mam twardy, gęsty... – rzekł – byle jaka żyletka nie wybierze.
- Golić się można tylko angielskimi... – Magazynier z Miasta klepnął się po świecącym policzku – a potem kremikiem... „Silver” się nazywają – dodał – te żyletki.
- Gdzie takie dostać? – zainteresował się trzeci z nich, Czesiek Zabłoczcza z kolonii pod lasem, zwanej Wygwizdowem.
- Przyślę ci, Czesiu – powiedział łaskawie Magazynier z Miasta.

– Hamulce nie trzymają... – powtórzył Gospodarz spoglądając w okno – raz mały wsiadł i ruszyło...

– A co z koniem? – skojarzył Magazynier traktor ze zwierzęciem.

– Na łące się pasie, trawę żre, na nic już...

– Koń maszynie ustępuje... – przyznał Magazynier z Miasta. – Ładne bydlę...

Muchy bzykały. Usta Gospodyni też obsiadły.

– Byle jaka nie wybierze... – Sąsiad przez Płot myślał o żyletce i tarł brodę. Chrząściła tygodniowa szczecina.

– Należy splukiwać wodą... – odezwał się Magazynier z Miasta – bezwarunkowo nie wolno czyścić... – też myślał o żyletce.

W izbie panował onuckowo-upalny zaduch, bo gumiaci pościągali i zrzuciwszy też onuce poruszali zdrętwiałymi palcami stóp. Nowin nie było już żadnych, więc milczeli.

Przyszedł ten, którego nazywali Koniem. Chłop prosty i w plecach rozrosły, oczy miał pogodne i żółte mocne zęby. Ale nie z powodu zębów Koniem go nazywali. Przyszedł ten Koń, rozejrzał się po izbie, skrzynkę piwa uważnym spojrzeniem omiół.

– Też się nażłopalem – powiedział. Znowu rozejrzał się po izbie. – Masz to, co miałeś? – zapytał Gospodarza. Gospodarz przez chwilę nie pokapował.

– Aaa... tam – pokazał kąt za stołem.

Zdjął Koń ze ściany blaszaną kwartę, nachylił się nad wiadrem i zaczerpnął ze zgrzytem po dnie. Wypił duszkiem, jeszcze zebrał drugi raz.

– Przysłała – otarł usta. Popił z drugiego wiadra wodą.

– Zacier się nie udał – przyznał Gospodarz. Koń już tylko patrzył w to miejsce, gdzie stał kubek z bimbrem. Spust ma on do picia bez umiaru, dlatego Koniem go nazywają.

Poderwał się Gospodarz, kwartę Koniowi odebrał i sam pociągnął jeszcze trochę z dna. Po nim Czesiek Zabłoczczak łyk zagarnął. A Koń patrzył. Wyraźnie nie dopity. Więcej bimbru mu nie dali, więc utkwiał swój jasny, nachlany wzrok w tych kilku butelkach piwa, co zostały z ostatniej skrzynki. Westchnął, skakała mu grdyka. Gospodarz miał z Koniem swoje obrachunki, jedną flaszką go poczęstował. Koń oderwał kapsel zębami i duszkiem wyżłopał.

– Zęby to on ma – powiedział Magazynier z Miasta.

– Co by nie... – uśmiechnął się skromnie Koń i te żółte łopaty całą gębę mu wypełniły.

I tak sobie siedzieli. Magazynier poczęstował ich carmenami. Palili skrzątnie, popluwając raz po raz. Muchy zrobiły się bardziej natrętne. Obsiadały twarze. Oganiali się od nich leniwie. I cięły te muchy, psiekrawie.

– Jakby na deszcz – powiedział Sąsiad przez Płot. Wyjrzał przez okno. Niebo błękitne, śladu chmurki na nim. Tylko mleczna smuga po odrzutowcu.

A zaraz potem zawarczał motor, tuman kurzu wzbiał się na drodze. Motocykl wjechał na podwórze. Kury poderwały się z gdakaniem. Czerwona jawa, a chłop w białym podkoszulku niezgrabnie z niej zsiadł. To ten Kulawy, co na lewą nogę utyka. I o nim to mówią, że syna Frojzyngera ma na sumieniu. A było to tak: bogaty kupiec był z Abrama Frojzyngera, młyn miał parowy i zboże na pniu kupował, aż przyszła wojna, ukrywał się kupiec po lasach, złapali go Niemcy i powieźli do gazu, ale ludzie mówili: tam w ziemi koło młyna zostawił to wszystko bogactwo zakopane, skończyła się wojna i z całej rodziny kupca Abrama został najstarszy syn, co przy partyzantach ruskich się uchował, wrócił ten syn najstarszy na stare śmiecie, dlaczego wrócił, zastanawiali się ludzie, pewno chce odkopać, co ojciec zakopał, a jak było, nie wiadomo, znaleźli rankiem syna kupca Frojzyngera, od tyłu dostał, kula czołem wyszła, leżał sobie koło młyna, mówili ludzie. Kulawy go sprzątnął, nic nie wiadomo, wykopął Kulawy bogactwo czy nie, gruntu sobie nie dokupił, budynków nowych nie stawiał, po staremu żył, ale kto go tam wie, może to bogactwo ma on głęboko zakopane, milkliwy z niego człek, tylko jak wypije więcej, dostaje rozmowności, ale nie tak, żeby się z czymś wygadać.

Przyjechał więc ten Kulawy i flaszkę z za pazuchy wyciągnął. Koń uśmiechnął się szeroko. A Kulawy kuśtyk, kuśtyk, tą sztywną nogą powłócząc, na ławce pod ścianą usiadł.

– Gorąc – powiedział, a hełmu z łba nie ściągnął. Wtenczas Magazynier z Miasta, który lubił żarty sobie z chłopów robić, wstał i przeciągnął się. Okazały, z wydatnym brzuchem, w krótkich majtkach tylko, na jednej łydce miał tatuaż przedstawiający diabła w kusym surducie pod parasolem. Szacunek do niego mieli za ten okazały wygląd właśnie. Przeciągnął się Magazynier raz, drugi i pierdzieć zaczął. Pierd miał głęboki, donośny.

– Jakby trąbił – roześmiał się ten Kulawy. Inni pokiwali z uznaniem głowami. Kobieta Gospodarza, co przycupnęła siedząc przy dzieciakach, też uniosła gwałtownie głowę.

–Co, co? – powiedziała nieprzytomnie.

– Dzwonią – odparł Kulawy.

Znowu się roześmieli.

A Gospodarz, młody jeszcze i do żartów skory, pozazdrościł i nadał się. Jeden pierd, drugi. Ale pierd pierdowi nierówny. Lepszy był Magazynier z Miasta.

Ta flaszka już została rozpita. Dwa rozlania i koniec.

– To będziesz mógł? – zapytał Kulawy.

– Co by nie – odparł Gospodarz. Wyrzął przez okno. – Tylko hamulce nawalają – dodał.

W sprawie traktora się zgadywali. Zwozić chce Kulawy swoje zboże ciągnikiem Gospodarza. Magazynierowi sennie opadały powieki. Podziękował więc za poczęstunek i spać poszedł do chlewu na siano.

– Akuratnie grzmiał – powiedział za nim Sąsiad przez Plot. Pokiwali głowami, a pot ciekł im strużkami po policzkach.

– Kto by miał coś... – odezwał się Czesiek Zabłoczcaków.

– Może sołtys – wtrącił Gospodarz.

– Skąd... – zaprzeczył Koń, który wiedział szczegółowo, co kto ma – wychlali wczoraj...

– A u Jadźki w sklepie? – pomyślał w głos Gospodarz.

– Nie da... – stwierdził Koń – strasznie jest na to zawzięta. – Wzdychać począł.

Jak Koń tak wzdycha, to wiadomo już, że nijakiego nie ma sposobu. Gospodyni ocknęła się znowu i popatrzyła na buzię swojej najmłodszej, tej jeszcze nie ochrzczonej, pełną much.

– Muchozolu by kupić...

Odgoniła muchy. Ale tylko na chwilę. Znowu dzieci ciąć zaczęły.

Trzyletni zbudził się od tych much uprzykrzonych, zsunął się z łóżka i czołgając się po podłodze, dotarł do drewnianego pieska. Bawić się zaczął tym pieskiem do ściągnięcia cholewianych butów.

I nic już nie mogli wykombinować do wychlania. Wychodzili ociężale z chałupy. Żar bił z nieba, gorączka taka.

– Palić się ludzie będą... – zauważył Kulawy. A na drodze stał głuchy Julek. Do pasa goły, tylko w lnianych kalesonach. Stał i patrzył na tę ulęgałkę samotną, co w polu sołtysa rosła. Od dawna tak już patrzy. A jak go zagadać, to ręce rozkłada, nie słyszy nic, głuchy przecież. I tak ludzie mówią: Julek patrzy; i nic więcej. Tak i teraz.

– Patrzy – kobieta Gospodarza powiedziała.

– Patrzy – potwierdził Gospodarz i wgramolił się na siodło swojego ciągnika. Zwozić zboże pojechali.

\*

Następnego dnia rano, zaraz po pierwszym powrocie z pola, przyjechał szwagier z Mula-czyska. Z powodu tej gorączki wychodzili ze świtem i wracali koło dziesiątej, znaczy o dziesiątej przyjechał tą swoją warszawą i elegancko pod chałupą zatrąbił. Sąsiedzi popatrzyli. Niejeden szwagra Gospodarzowi pozazdrościł. A szwagier przyjechał w interesie. Chciał wę-

gorza wędzonego zamówić parę kilo. Dziadek Olek takie miejsca w szuwarach zna, takie oczka i kociołki, skąd zawsze wraca z rybą. Przyjechał szwagier z flaszką. Gospodyni garnki brudne pod stół czym prędzej wpychała, stół nakryła ceratą i dzieciakom szmatką buzie przetarła. Zależało jej na tym, bo tam u brata zawsze bielutko, czysto jak w szpitalu.

Gospodarz zaprosił dziadka Olka. Gospodyni jajecznicę na boczku usmażyła. Gospodarz do kieliszków polewał. Dziadek Olek duszkiem ciągnął. Jajecznicy trochę podziobał.

– Węgorz... – stękać zaczął – ciężka ryba... – Cenę w taki sposób sobie podbijał. – Musi... w jakimś oczku trafi się – rzekł wreszcie – haki postawić. – Musi, że trafi się... – powtórzył.

Patrzył Gospodarz z szacunkiem na swego szwagra. W białej koszuli, jakby w ziemi nie robił, wódki powściągliwie po pół kieliszka odpijał.

– Za gorąco – powiedział.

Wiedział Gospodarz, na co szwagrowi te węgorze, choć tamten słowem o tym nie wspominał. Ważnego chce ugościć. Co najlepsze dla niego ściąga. Gospodyni też wpatrzyła się w brata.

– Jedzenie mu smakuje?

– Zupy lubi – odpowiedział tamten. – Wczoraj kartoflanki moja nagotowała. Pełny talerz zjadł i jeszcze chciał...

– Żarty taki – pokręcił głową Gospodarz.

– Zupy lubi – powtórzył szwagier. Chlebem patelnię po jajecznicy skrzętnie wyczyścił i dodał: – A skromny taki... – uśmiechnął się chytrze – ale z oczu mu patrzy, władzę to on ma, ho, ho...

Oboje, Gospodarz i jego kobieta, wpieryw krótko spojrzeli po sobie, bo o drzewie na domki kempingowe pomyśleli jednocześnie, a potem wpatrzyli się w gościa. Bo było to tak: tydzień już minął, jak ten Ważny tu zjechał, skręcił fiat z asfaltówki w polną drogę, dzieciaki biegły w kurzu za samochodem, a fiat podjechał pod dom szwagra Gospodarza, ludzie zza płotów wyglądali, rzadko tu letnicy zjeżdżają, wieś na uboczu i jezioro niewielkie, szuwarem zarosłe, potem już cała okolica wiedziała. Ważny ze stolicy na letniaki tu zjechał, milicjant z powiatówki następnego dnia już tam był, do tego Ważnego podchodzi i kopytami trzaska, czego wam, towarzyszu, trzeba, komendant, powiada, przysłał mnie w tej sprawie, niczego, odpowiedział ten Ważny, pod wieczór sam komendant powiatowy osobiście się zameldował, ale i od komendanta nic ten Ważny nie chciał, a szwagier Gospodarza stał sobie skromnie na uboczu i z nogi na nogę przestępował, myśleli ludzie, dlaczego ten Ważny akurat do niego przyjechał, ale do niczego dojść nie mogli, szwagier Gospodarza milkliwy taki i spytał go wprost nijako przecież.

Tak oto siedzieli przy stole.

– I skromny – powtórzył Gospodarz jak echo za szwagrem.

– Rękę każdemu poda – powiedział szwagier. I wtedy drugi raz pomyślał Gospodarz o tym drzewie na domki kempingowe. Miał umowę z PTTK-iem, pięć już zrobił, zmyślny do cieślołki, wszyscy u niego w rodzinie tacy, a zamierował ze dwa domki dla siebie zbić, postawi na stoku pod lipami, letnikom jak nic można wynajmować, cztery osoby na każdy domek, tylko z drzewem kłopot, do leśniczego dojścia żadnego nie miał.

– Ty... – rzekł do szwagra – pogadaj z nim, niedużo mi trzeba...

Szwagier czoło zmarszczył i nie odpowiedział. Wtedy i Gospodyni trąciła brata w ramię.

– Jak nic możesz się wstawić...

Przepili do siebie we trójkę.

– Nie będzie tak, żeby się nie zgodził – powiedział jeszcze Gospodarz.

Razem z tymi muchami, co tak brzęczały, wyczekiwanie zawisło w izbie. Szwagier z Mucalaczyska tak ledwo, ledwo pokiwał głową. Ale pokiwał. Zaświeciły się oczy Gospodarza.

– Może jajecznicy dosmażyć? – zapytała jego kobieta.

Bo po porządku było to tak: parę dni temu niby przypadkiem leśniczy z lasu wyszedł i pod domem szwagra stanął, tak się o płot opiera i stoi, do szwagra się uśmiecha, a nigdy tak się nie uśmiechał, tak się uśmiecha i ślepiami po oknach myszkuje, wiadomo, tego Ważnego szukał.

Szwagier Gospodarza jajeczniczy już nie chciał. Miał jeszcze Gospodarz dwie flaszki piwa. Postawił. Dziadek Olek zadrzemał przy stole. Poświst, chrapnął, opadła mu głowa. Wiekowy i do ziemi przychyłony, zaraza, tak do siebie pogaduje, zaraza, na wszystko. Zły raczej i z synem, też Olkiem, ciągle się gryzie. Gna syn w pole starego, opiera się dziadek Olek jak może, co prawda słabowały i w latach posunięty, ale na wodzie jeszcze krzepki, tylko woda dla niego całe życie... Córkę jedną ma. Głupia ona, od chrztu ją sankami wieźli, podpici byli, zima wtedy, konie poniosły i do śniegu dziecko wpadło, wrócili, szukali, śnieg głęboki, nim znaleźli, parę godzin minęło i na kość już była zmarznięta, ale odratowali, na głowę od tamtego czasu jej padło, nie mówi, tylko gdacze, brzydka jak nie wiem co, po lasach się włóczy, jagodami żyje, nieraz popchnie ją któryś z chłopów, co w lesie robią, obali na mech, rozepnie spodnie i swoje zrobi, mówią ludzie, że najbardziej gajowy Ciubarabajka, coraz ją dopada, ona do niego też jakby lgnie, pod siebie ją Ciubarabajka podłoży, sukienkę zadziera, zimą i latem ta głupia Irena majtek nie nosi, głupia, jak to głupia, pogdacze, z ziemi się podnosi i w las leci, a gajowy tylko pięścią jej grozi. Nie ma serca dziadek Olek dla tej swojej głupowatej córki. Dziś z rana kijem ją wymłócił. Walił gdzie popadło, a ona nawet się nie ruszyła, wstała i nic. Wylał jak chłopa, limo zrobił pod okiem, kłaków parę garści na ostatek wydarł.

Pokazała się akurat w drzwiach chałupy Gospodarza ta głupia i do dziadka Olka po swemu coś gdacze.

– Umykaj, zarazo! – stary zbudził się z drzemki.

Ale ona dalej gdacze.

– Kto ci tak gębę nabił? – zdziwił się obłudnie Gospodarz i do szwagra mruga.

Zamyśliła się głupia. Zerknęła na dziadka Olka. Stary tylko siwe wąsiska skubał. Wąsy ma staroświeckie, długie. Mało kto teraz nosi takie. Głupia uśmiechnęła się naraz i na migi pokazała, że niby jabłko z gałęzi zerwać chciała, a tu gałąź pac ją pod oko. Zmyślna nawet. A szpetna ta głupia Irena, istny strach na wróble, włosy w strąkach, nogi krótkie, ręce niczym małpa, a nochal wielki, chłopski, jak doklejony do gęby.

Kucnęła w progu, jak pies waruje. Tym nochalem pociąga.

– Ma ona tego nosa... – roześmiał się szwagier Gospodarza – jak turecki anioł huja... – Takie jego powiedzenie ulubione. Gospodyni zachichotała na boku.

– Z węgorzem ciężko bywa... – odezwał się dziadek

Olek – nie zawsze jest podchodzący. – Badawczo popatrzył na szwagra Gospodarza. I nogą tupnął.

Głupia Irena poderwała się i już jej nie było w chałupie. Stukot chodaków. W krzaki za wychodkiem się schowała.

– Posłuchanie zna... – powiedział szwagier Gospodarza. Od śmiechu złapało go kichanie. Wysmarkał się zamaszycie na podłogę.

Gospodyni rozpięła bluzkę, pierś wywaliła i dała tej swojej najmłodszej cycka. Przyssało się dziecko łapczywie i sapać zaczęło jak miech.

Chciał jeszcze Gospodarz na motor skoczyć i po flaszkę do spółdzielni pojechać. Ale gość stanowczo odmówił.

– Nie wypada – powiedział tylko.

Domyślnie pokiwali głowami. Na tym stanęło. Podziękował szwagier za gościnę, wsiadł do swojej warszawy, zatrąbił i odjechał. A Gospodarz i jego kobieta poszli w pole snopki stawiać.

\*

Jak drugi raz z pola wrócili, to we wsi już był popłoch. Biegali ludzie to tu, to tam.

– Jezu, Jezu! – zawodziła przystaniowego żona. Za chwilę też Klepacka spod Krzyża płakać zaczęła. Głos miała taki, że po całej wsi się niosło. A Koń, u którego jest telefon, co sił kręcił korbą. Zaraza na świnie padła.

Już z rana przystaniowego żona spostrzegła, że one coś jakby nieswoje. Ale czasu nie było wiele, szli przecież w pole. Kiedy wrócili, to ze świniami było już całkiem źle. Leżały w gnoju, ledwo pochrząkiwały, a żarcie w korycie nie tknięte. Lament podniosła przystaniowego żona. Zbiegli się ludzie.

– Od razu mnie tknęło... – biadolila kobieta. – Za co tak, za co!

Przystaniowy tylko stał, papierosa ćmił i spode łba patrzył na sąsiadów. Wiedział, w czym rzecz. Wiedzieli też ludzie. I tak stali przy chlewiku, na świnie popatrywali i papierosy kurzyli.

To zaczęło się tamtego lata, kiedy został przystaniowym w ośrodku wczasowym handlowców z Warszawy. Co rano łódką przez jezioro pruł i wracał wieczorem z kubłami pełnymi pomyj, jakie to jeszcze pomyje, najlepsze, tam w tym ośrodku ludzi dobrze karmili, tak tuczył świnie tym, co stamtąd przywiózł, a co zostało, to wylewał, z nikim się nie podzielił, tylko do gnojówki chlust, tak samo wtedy popatrywali ludzie, nic nie mówili, tylko popatrywali na to marnotrawstwo, a każdy to samo myślał, skarali go wreszcie za tę pazerność i coś świniakom podrzucili. Ale tylko tak się mówi: skarać, rozniosła się zaraza, kury rozniosły, psy, nie dojdiesz, w trzech już miejscach świnie gorączkują, w gnoju jak kłody leżą.

Tak patrzyli na te świnie gospodarze, a myśleli to samo: skarać a skarać, ogień to co innego, podpalili ludzie rok temu stodołę u strażnika rybnego, poszła z ogniem, jeszcze motor tam stał, też go ogień wziął, strażnik latał koło pożaru. Koń, który jest komendantem straży pożarnej, walnął parę razy w gong dla alarmu, mocny ma głos ten gong, z artyleryjskiego pocisku, zleciała się straż, jak kto stał, tak biegł, w gaciach albo samej koszuli, tylko hełmy ponakładali i z toporkami biegli do pożaru, ale jak zamocowali pompę, już było po wszystkim, akurat dach się zapadł, a strażnikowi gębę sadzą okopciło, motor chciał ratować, skarali go ludzie, pies to był nie do wytrzymania, ganiał rybaków i mandaty spisywał, najbardziej na dziadka Olka polował, trzciniami za nim po pas w wodzie, ale nie dał się dziadek Olek, sam strażnik rybę na boku sprzedawał, ale ludziom ze wsi nic a nic, nieraz mu po dobremu mówili, Wacek, no przestań, co taki jesteś, a on – nie i nie, uparty człowiek, choć co prawda bardziej miękki się zrobił od pożaru.

Tak sobie ludzie myśleli, popatrywali na świnie zarazą zwalone i wzdychali.

A baby nic, tylko: – Jezu, o, Jezu!!

I ta przystaniowego żona jak głupia. – Ludzie, za co! – Jakby nie wiedziała.

– Pomór – westchnął sołtys i przeżegnał się zamasyście.

– Ostrzeżenie należy dać – rzekł Koń.

Zawołał swojego Janka. Chodzi ten chłopak do piątej klasy i piękne litery stawia.

Za chwilę już na tablicy przy remizie zostało kredą napisane:

„Uwaga. Rejon zapowietrzony. Pomór świń.” Tak przepisy każą.

Patrzyli ludzie na tablicę i chwalili tego Janka za litery.

Czekali na Weteryniarza. Weteryniarz samochodem miał przyjechać. Nowy, nie znany, pół roku będzie, jak tu nastał. Każdy o nim myślał. Wiedza była skąpa: niestary, wysoki i ma własną taksówkę.

Już się zmierzchało, a głuchy Julek na drodze stał i w ulegalkę samotną popatrywał. Biełały w zmierzchu jego gacie. Coraz ciemniej i na drodze raz po raz rozbłyskiwały światła i żwir przyskał na boki. Wioskowe chłopaki zaczęły na tych swoich junakach i jawach pruć. Do



dziewuch jeździli. Potem z dziewczuchami na siodełku z tyłu. Na kawalerską wódkę i z wódki. Coraz szybszy świst i warkot, gaz wyciskają z rączki do końca. A dziewczuchy piszczą. Żwir przyskał, ludzie odskakiwali.

– Motorowe demony... – powiedział Magazynier z Miasta – oni przeważnie atakują drzewa, no nie?

Gospodarz przytaknął. Stał oparty o płot i w ten warkot się wsłuchiwał.

– Coś jakby – natężył słuch.

Ale to znowu motocykl tylko. Gospodarz na głos samochodowego silnika oczekiwał. Przyszedł Sąsiad przez Płot. Dziadka Olka syn, też Olek, i paru innych.

– Ogołilem się należycie – powiedział Sąsiad przez Płot. Magazynier z Miasta też wsłuchał się w daleki jakiś warkot. Ale to nie był samochód.

– ...mój zarost mocny, twardy – ciągnął rozwlekłe Sąsiad przez Płot – byle jaka nie wybiecze...

Dzieciak w chałupie Gospodarza rozwrzeszczał się nagle. Niósł się ten wrzask w wieczornej ciszy. Westchnął Gospodarz i złożyli się po dziesiątce. Koń skoczył na motor. Z Lasu wnet skrzynkę piwa przywiózł. Wódkę już mieli. Ale piwo jeszcze na wszelki wypadek. Postawili skrzynkę przy progu.

– Z Konia demon motorowy nie będzie – powiedział Magazynier z Miasta – nawet jak się bardzo ochla...

– Musi tak – przytaknął Gospodarz.

– Iiitam – Koń uśmiechnął się wstydliwie. Niepokój o świnię zakłuł Gospodarza. Pod chlewik podszedł. Ostrożnie uchylił drzwi, poświecił sobie latarką i patrzył.

– Coś nieswoje... – zamruczał – tylko polegują...

– A i moje coś nie takie – wtrącił Sąsiad przez Płot. Zapalili. Stali w progu chałupy. Cisza teraz. I motorowych demonów nie słyszeć na drodze. Kobieta Gospodarza jęczeć zaczęła. Siedziała na łóżku przy dzieciakach, myślała o wieprzach i zawodziła coraz głośniej.

– Cichaj! – zniercierpliwiał się Gospodarz. Czekali. Nietoperze latać zaczęły.

– Podobno we włosy się wkręcają – odezwał się Magazynier.

– Takie tam gadanie... – zwątpił Gospodarz.

– Wkręcić się nie da rady – powiedział stanowczo Sąsiad przez Płot.

Koń popatrzył na tę skrzynkę z piwem, co stała za progiem, i ani się obejrzeni, już przyssał się do jednej flaszki. Zębami kapsel oderwał, ma on te zęby zdrowe, psiajucha, tylko zgrzyt, brzdęk, spadł kapsel. Więc i oni po flaszcze sobie wzięli.

A kiedy do chałupy brzuchatego Gospodarza wszedł Weteryniarz, to wszyscy grzecznie wstali. On po kolei rękę każdemu fundował. Postawny, garniturek na nim i pod krawatem, zęby miał białe jak ser i ciągle je pokazywał. Gospodynię w rękę pocałował. Do dzieci skotłowanych, śpiących we trójkę pod derką też się uśmiechnął.

– Udane. Ładne takie...

I zapach za nim poszedł, smaruje się czymś, kropi. Niedobrze, pomyśleli, bo tak popatrzili po sobie. Słodki taki, układny, żeby nie daj Boże żmija jakaś, co wycisnąć potrafi bez litości. Ale nic poznać po sobie nie dali i patrzyli na niego z szacunkiem. A nie siedli, dopóki on nie usiadł. Taboret Gospodyni fartuchem wytarła i pod tyłek mu podsunęła.

Zaraz najmłodszy, Czesiek Zabłoczczaaków, do studni pobiegł. W studni dwie flaszki chłodzili. Gospodyni też się postarała. Była kura w rosole i placki z jabłkami. Weteryniarz podjadać zaczął i chwalił sobie smak. Sami gospodarze tylko po trochu brali, jakieś skrzydełko, szyjkę, podróbki, dla niego zostawiając całą wyzerkę. Pić zaczęli. Weteryniarz, trzeba to przyznać, kolejek nie opuszczał, a krople z kieliszka na podłogę wytrząsał.

– Niezła – powiedział – zmęczenie odchodzi. – Do Gospodyni zęby wyszczerzył.

Ona aż się zaczerwieniła.

Kury pojadł i dodał: – Taka moja praca... bez przerwy w gotowości...

Zgodnie pokiwali głowami.

– Ciężka i niewdzięczna... Znowu zrobili się niespokojni.

– Nieraz... – ciągnął Weteryniarz – nocą zrywają, a to poród klaczy, a to krowa się wzdeła... – Tak powiedział i popatrzył na nich badawczo, kołnierzyk sobie rozpiął, krawat rozluźnił. Krawat miał piękny, kolorowy.

Nieswojo im się zrobiło, chrząkać zaczęli, a poniektórzy szurać butami. Tak popatrywali na niego nieznacznie i z innymi weterynarzami przymierzali. A Koń, nie wiedząc czemu, wzdychać zaczął ciężko. Szturchnął go Gospodarz i też się poprawił, tak w sobie skupił i zaczął:

– Z samego rana patrzy przystaniowego kobieta, a tu świniaki coś nie takie...

Ale Weteryniarz ręką niecierpliwie poruszył. Urwał Gospodarz od razu.

– Bo choćby taki fakt...–powiedział Weteryniarz, przerwał na chwilę, po kawałek kury sięgnął, rosółem popił – w jednej wsi zaraza na drób padła, taczało się ptactwo jak pijane, skrzydłami załopotaly i brzdęk na ziemię, gotowe, więc stosowałem rozmaite środki, szwajcarskie nawet, nie skutkowało, dopiero drugiego dnia właściwa blokada...

Trudny, bardzo trudny, pomyśleli ludzie, bo przytakiwać zaczęli skwapliwie. Gospodyni z boku sobie stała i też oczu z tego Weteryniarza nie spuszczała.

– ...albo buhaj zachorował, jaki to był buhaj, rasowy, dorodny, operacja konieczna, i to natychmiast, trzeba go ciąć, z takiego buhaja to był majątek...

– Majątek... – powtórzył jak echo Sąsiad przez Płot.

Weteryniarz dalej mówił tak: – Teraz sztuczny inseminator, pyk, pyk, i po zwarcu... – rozeźmiał się nagle i do Gospodyni się zwrócił: – Przepraszam, ale to fakt...

I oni też się uśmiechnęli. Grzecznie do niego przepili. Przerwał więc na chwilę i przełknął. Znowu kury pojadł. Talerz odstawił i jeszcze bardziej krawat rozluźnił. Ostro po nich popatrzył. Uśmiechali się do niego wstydliwie, półgębkiem.

Ale on się nie uśmiechał.

– Takie to moje życie – powiedział – od wypadku do wypadku po wioskach ganiam...

– Ciężkie, wiadoma rzecz – przytaknął niepewnie Gospodarz, coś chciał jeszcze powiedzieć, ale jakby go zatkało. Oczyma przewracał i nic.

– A wiecie, panowie, ile czasu się uczyłem? – zapytał ich Weteryniarz.

Poruszyli się niespokojnie. Patrzył na nich wyczekująco. Gospodarz ślinę głośno przełknął i głową pokręcił.

– Trzy lata dłużej od tego, co ludzi leczy, rozumiecie, trzy lata... – uniósł rękę wysoko, rozstawił trzy palce. Koń westchnął jeszcze ciężiej niż poprzednio.

– Człowiek... – zamyślił się Weteryniarz – mówi, co mu dokuczają, lekarza na trop naprowadza, a zwierzę, no, czy zwierzę powie? – Powiódł wzrokiem po zebranych.

Skwapliwie zaprzeczyli.

– Wiadomo, nie... – odezwał się Koń – zwierzę nijakiej pomocy nie da...

– No, sami widzicie! – ucieszył się Weteryniarz. – Do choroby w bydłociu samą tylko wiedzą medyczną można trafić.

I tak popatrzył po stole. Kury już nie było. Talerze puste. Czym prędzej Gospodyni półmisek z plackami mu podsunęła. Ale placków to on nie chciał. Gospodarz na kobietę krzywo spojrział.

– Może jajecznicy dosmażyć? – odezwała się Gospodyni.

Ale Weteryniarz nie usłyszał. Zamyślił się naraz, brodę podparł łokciami i w okno patrzy.

Co on tam widzi? Też popatrzyli w okno. A tam czarno, nic. Ale za chwilę jakby coś... Szelest. Kroki. Czujny ten Weteryniarz.

To dziadek Olek do okna siwy swój łeb wpakował. Syna swego, też Olka, wypatrzył.

– Wędzieć będę – powiedział i chciał go zagonić do zbierania olszyny.

– A wam to nie łaska dupy ruszyć – odciął się syn jego, też Olek.

– Zaraza! – parsknął stary w wąsiska i okiennicą trzasnął. Sam poszedł za olchowymi gałęziami po nocy się tarabanić.

– Głupi stary – powiedział Gospodarz.

– Na świnie mór padł, a on nic, tylko wędzić i wędzić – dodał Koń.

Popatrzyli przepraszająco na Weteryniarza. Ale on wodził teraz roztargnionym wzrokiem po suficie. Długo tak po tym suficie czarnym od much myszkował. Co on znowu tam widzi? Sufit drewniany, belkowanie popękane, a pośrodku wbity hak do rozbierania świńskiej tuszy. Podsunęli mu flaszkę piwa. Wódka już się skończyła. Niech się piwem chociaż zgłuszy. Popił piwa Weteryniarz. Gardło ma jak chłopskie, lekko na jeden łyk butelkę wziął. Gul, gul, już pusta. Poprawił się na taborecie, po suficie ślepiami znowu miotnął, a uśmiechał się tak jakoś i zaczął:

– My tu gadu, gadu, tak można całą noc... Tylko czasu szkoda, tyle jest innych spraw, wzniosłych, pięknych, ciekawych, bo choćby architektura, pod dachem przecież siedzimy, czyli jak zbudować dom, pałac, zamek, świątynię, rozumiecie?

Od razu przytaknęli.

– Architektura, czyli ucieleśnienie w drzewie czy kamieniu fantazji, polotu, świadomość celu, cel i fantazja, fantazja skrzydła ludzkiemu wysiłkowi daje. A jak to wyglądało w czasach dawnych, tak zastanowić się i wyobrazić sobie tę przeszłość odległą, jak to człowiek nie ustępował i do góry swój gmach wznosił, kamień po kamieniu, coraz wyżej i wyżej, mały taki człowiek, a budowa jego do nieba, siła i cierpliwość, nie tylko dach nad głową, ale potrzeba chwały, trwały ślad w kamieniu... – mówił coraz szybciej, a dłonie splótł i palcami młynka kręcił.

Więc tak w te palce, którymi kręcił, wpatrywali się pilnie.

– W starożytnej Grecji rozróżniamy trzy style w architekturze, podstawowe kierunki wznoszonego w trwałym materiale piękna, dorycki, joński, koryncki, te kolumny doryckie jak pień drzewa z ziemi wyrastały, kapitel, pilaster, głowica, która dźwigała dach cały, proste te kolumny, surowe, i żłobił Grek pionowo kolumnę, przez to jakby rosła, olbrzymiała, bo już koryncki to coraz więcej ozdób, ornament rzeźbiony niech oko cieszy, to wyliczanie, proporcje i symetria tak nieomylna, a żadnych udogodnień przecież nie mieli, mózg i fizyczny wysiłek, wysokość, podstawa, utrzymać sklepienie, kształt nadać porywający, światło i radość, ile w tym spokoju, wzniesłego spokoju i trwałości, niezmacona jasność i harmonia, albo ta gra światła i cieni... taki pałac był na Krecie, Labirynt, rozumiecie, panowie...

Popatrzyli na siebie i nie wiedzieli, w czym rzecz. Ten Kulawy, co go o Frojzyngera podejrzewają, swój hełm motocyklowy ścisnął, aż mu żyły na dłonie wystąpiły grube jak postronki. I na Weteryniarza ponuro patrzył. A on już palcami młynka nie kręcił.

– Labirynt, czyli pałac króla tamtejszego Minosa, komnat miał kilkaset, wejść tam było łatwo, a wyjść... – ręką w powietrzu jakieś zawijasy porobił, oczy przymknął i uśmiechał się gapowato, dziwnie tak.

Gospodarz z Magazynierem ostrożnie, wysoko unosząc nogi wysunęli się z izby. Za potrzebą na podwórze wyszli.

– A ile on sobie policzy? – zaniepokoił się Gospodarz. Niebo było czarne i gwiazd na nim dużo. Gwiazdy pogodę wróżą.

– Tego nie można przewidzieć – odrzekł Magazynier z Miasta – o tej architekturze dużo wie, może być kosztowny.

Zafrasował się Gospodarz. Stał przy płocie, trzymając fujarę. Dawno już mu się sikanie skończyło, a on tak trzymał fujarę w dwóch palcach i myślał, myślał.

Gwiazdy na niebie jakby mrugały. Gdzieś zaszczekał pies.

Kiedy wrócili do izby, Weteryniarz wciąż mówił o tych stylach.

– ...Świątynie złotem błyszcząły, marmur i złoto, Akropol ta góra się nazywała, Grecja, czyli Hellada, w Atenach to miejsce święte się znajdowało, bogów siedziba, Zeus był najważ-

niejszy, świątynie i posągi, powiadam wam, tylko marmur i złoto, ale czas nieubłagany zębem swoim, zostały jedynie miny, ślady piękne tamtej architektury... – I cały czas w sufit patrzył, a tam muchy spały. Gospodyni za nim wzrokiem po suficie wodziła.

– Muchozolu by... – zaczęła.

Ale Gospodarz dał jej znak i nie dokończyła swego. Coraz bardziej niespokojni wszyscy. Co ten sufit ma do siebie, że tak wszystko się zachachmęciło?...

Ten Kulawy, co go o Frojzyngera podejrzewają, pierwszy wyciągnął pieniądze. Za nim inni. Cichaczem na wódkę się złożyli. Nikt się nie opierał, nawet Koń skwapliwie do kieszeni sięgnął.

Gospodarz z chałupy się wymknął, na motor skoczył i po wódkę do tartaku pojechał.

– ...W Rzymie natomiast Koloseum gigantyczne zostało wzniesione... ogromna to budowla i wspaniała. Koloseum, ma się rozumieć, było bez dachu, tak to człowiek sztukę budowania doskonalił... do słońca, do gwiazd, bogom i sobie... – Weteryniarz uniósł się na taborecie i ręce ponad głową trzymał.

Też zadarli głowy.

Naraz tarabanienie natarczywe do drzwi się rozległo. I stękanie jakiegoś, przekleństwa...

W progu stanął chłop czymś białym zawałany, jakby mąką czy wapnem. O rower ciężko się wspierał, kołysał się z boku na bok. Gały ślepe na ludzi wytrzeszczył i powiedział tak:

– A nie wiecie, gdzie jest droga na Walne? – Zaraz nogi się pod nim złamały, ukłękł prawie.

– Za płotem na lewo pójdziecie... – powiedział ten Kulawy, co go o Frojzyngera podejrzewają – do pola i od ulęgałki żwirówka jak strzelił na Walne...

Wytoczył się z izby ten pijany.

A Weteryniarz dalej mówił:

– Świątyń tych piękność była niesłychana, smukłe, strzeliste, ale i siła od nich szła...

Wrócił Gospodarz, ale z niczym. Nie trzyma już ten sklepowy z tartaczego GS-u wódki w chałupie, ludzie donos złożyli i tak zdjęli go z tego sklepu, a nowy jeszcze nie obyty. Wrócił Gospodarz z pustymi rękoma i patrzy w Weteryniarza pokornym wzrokiem.

– ...setki lat ludzi wzruszały. Piękno zawsze wzrusza, coś takiego ono w sobie ma... Dotąd jeszcze do Grecji czy Rzymu pielgrzymują, żeby na rozsypane w gruzy budowle popatrzeć, siadają gdzie bądź, patrzą na kamienie i niektórzy nawet płaczą... – głos mu się zmienił, cienki taki i drżący – płaczą... – powtórzył.

Zaskrzypiały deski, zadudniła podłoga w sionce. Drzwi się z rozmachem otworzyły. Znowu ten z rowerem zakolebał się w progu.

– Ludzie! – zawołał przeraźliwie – nie wiecie, gdzie jest droga na Walne?!

– Idźże, ty skurwancki! – zezłościł się Koń. Ale co zrobić takiemu? Przyłożyć, ręki szkoda, nic to nie pomoże. Czesiek Zabłoczcak już się do niego rwał, ale go odciągnęli. A poniektórzy przypomnieli sobie Ciumbarabajkę. Także samo ochlany gajowy błąkał się po lesie i nijak nie mógł wyjść, Chrystusie Nazareński, wołał i bach, obijał się łbem o pniaki. Więc znowu wytłumaczyli mu akuratnie. Ten z rowerem mankiety nogawek próbował sobie podwiązać, żeby mu w szprychy nie włożyły. Pochylał się ciężko i w żaden sposób nie mógł ułapić.

Wytoczył się na podwórze, a w krzakach coś zaraz zachrzęściło. Wyrzwał za nim Czesiek Zabłoczcak. Padł ten z rowerem pod płot. Leżał z nogami rozrzuconymi szeroko i księżyc oświetlał go zimnym światłem. Postękiwał w ziemię i trochę wierzgał, ale słabo.

Weteryniarz już nie patrzył w sufit, w drzwi uchylone teraz się gapił, ale jeszcze mówił: – ...bo w Rzymie wielkość i przepych zastąpiły greckie piękno... – Naraz ręką machnął i już nie dokończył. Tak poruszył się cały jak pies, co otrząsa się z wody.

Zaniepokoił się wszyscy. – Wódka człowieka zmęczyła – wyjaśnił Gospodarz.

Weteryniarz drugi raz tak się otrząsnął.

Gospodyni znowu te placki z jabłkami podsuwa.

A Koń grzebać zaczął w skrzynce po piwie. Liczył pewnie, że jakąś pełną flaszkę znajdzie. Weteryniarz w pieska do ściągania cholewianych butów się zapatrzył. Oni za nim też.

– Zmyślny – powiedział.

– Ano, ano... – przytaknął Koń.

Oblatany, wie, do czego służy, bo tak trzewik swój czarny elegancki do tego pieska przyłożył. Później, jak uniósł głowę, to oni to samo.

– Od wódki – powiedział – jeszcze gorszy haszysz... I poruszał dalej ustami, ale dźwięku żadnego nie słyhać, zatkało go czy tchu mu brak... Nic go nie zrozumieli. Co tak na nich patrzy? Pokrętnik taki. Trudny człowiek, nieodgadniony. Magazynier z Miasta też durnego oka dostał. Ciężki zaduch w izbie, gorąc i posapywania. Gospodyni przysnęła przy dzieciakach, usta rozdziawiła szeroko i ślina jej kap, kap. Cisza była długa. Muchy na suficie spały, dzieciaki też, a oni tak siedzieli, sztywno wyprostowani, i na kolanach dłonie trzymali.

– Wracając do naszych spraw... – Weteryniarz spojrział na zegarek, błyszczała mu twarz, spociał się nielecho. Szyje wyciągnęli. W słuch się zamienili.

– ...znaczy zaraza trzodę chlewną zaatakowała... – głos miał inny już, nie taki jak o tych stylach gadał. Nogę na nogę założył i odchrząknął.

Wtedy to trzeci raz wtargnął do chałupy ten chłop w mące czy czymś utyłany, rower oburącz za kierownicę trzymał. Łapy miał wielkie, spracowane, tak kierownicę w żelazny uchwyt chapnął.

– Ludzie! – zawył i łzy mu ciurkiem pociekły – a nie wiecie, gdzie jest droga na Walne?! Jak turecki anioł wyglądał.

Nowakowski urodził się w Warszawie 2.IV. 1935 r. W latach 1953–1958 studiował prawo na UW, a w r. 1957 debiutował opowiadaniem Kwadratowy, które weszło do tomu Ten stary złodziej (1958). Kolejne tomy opowiadań to Benek Kwiciarz (1961), Silna gorączka (1963), Zapis (1965), Gonitwa (1967) oraz Przystań (1967), tom wyróżniony nagrodą CRZZ. W tym samym roku Nowakowski uzyskuje nagrodę Kościelskich za całokształt twórczości, do której należą ponadto trzy powieści: Trampolina (1964), Robaki (1968) Marynarska ballada (1968). W roku 1971 ukazuje się nowy tom opowiadań Mizerykordia, a po wydanym w r. 1972 opowiadaniu Zdarzenie w Miasteczku (w tomie Układ zamknięty) w roku 1973 opowiadania Gdzie jest droga na Walne? Cała twórczość Nowakowskiego jest zapisem ostro widzianej współczesności, przy czym w miarę rozstawania się z lumpiarsko-przestępczym środowiskiem swych pierwszych opowiadań autor ogarnia całą społeczność, i to zarówno miejską, jak wiejską. Na takim tle – niezależnie od prezentowanego środowiska – autorskie wątki-obsesje ujawniają społeczne, biologiczne i losowe uwarunkowania życia ludzkiego.